

AGATA CHRISTIE

**TAJEMNICA LORDA
LISTERDALE'A**

SCAN-DAL

Tajemnica lorda Listerdale'a

Pani St Vincent dodawała cyfry. Raz czy dwa westchnęła, odruchowo dotykając ręką bolącego czoła. Nigdy nie lubiła rachunków, a teraz, jak na złość, jej życie było niekończącym się pasmem obliczeń - ustawicznym sumowaniem drobnych domowych wydatków, którego wynik zresztą nigdy jej nie zdziwił ani nie zatrwożył.

Jeszcze by tego brakowało! Ponownie sprawdziła rachunki. Zrobiła drobny błąd w pensach, ale pozostałe cyfry się zgadzały.

Pani St Vincent znów westchnęła. Ból głowy wyraźnie się nasilił. Oderwała wzrok od papierów, gdy do pokoju weszła jej córka, Barbara.

Barbara St Vincent była bardzo ładną dziewczyną. Po matce odziedziczyła delikatne rysy i ten sam szlachetny kształt głowy, ale jej oczy nie były niebieskie, tylko ciemne, i miała inne usta - wydatne, nie pozbawione powabu czerwone wargi.

- Och, mamó - zawołała. - Stale ślęczysz nad tymi okropnymi rachunkami? Wrzuć je wszystkie do ognia.

- Musimy wiedzieć, na czym stoimy - zauważyła niepewnie pani St Vincent.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy niezmiennie w tej samej sytuacji - powiedziała sucho. - Diabelnie ciężkiej sytuacji finansowej. Jak zwykle splukane do ostatniego pensa.

Pani St Vincent westchnęła.

- Chciałabym... - zaczęła, ale zaraz urwała.

- Muszę znaleźć jakąś pracę - powiedziała Barbara poważnym głosem. - I to szybko. Cóż z tego, że ukończyłam kurs stenotypii i maszynopisania! Podobnie uczyniło milion innych dziewczyn! „Ma pani jakieś doświadczenie?” „Nie, ale...” „Och, dziękuję, do widzenia. Zawiadomimy panią”. Oczywiście nigdy tego nie robią! Muszę znaleźć jakąś inną pracę - jakąkolwiek pracę.

- Jeszcze nie, kochanie - poprosiła ją matka. - Poczekaj trochę.

Barbara podeszła do okna i błdziła nieobecny wzrokiem po ciemnych konturach domów naprzeciwko.

- Czasami żałuję - zaczęła wolno - że ostatniej zimy kuzynka Amy zabrała mnie ze sobą do Egiptu. Och! Wiem, że się rozerwałam - po raz pierwszy i być może ostatni w życiu. Bawiłam się, bawiłam wysmienicie. To było jednak rozstrajające... Myślę o powrocie tutaj. - Powiodła ręką po pokoju.

Pani St Vincent rozejrzała się i wzdygnęła. Był to typowy pokój skromnie umeblowanego, wynajętego mieszkania. Zakurzona aspidistra, przesadnie ozdobne meble, krzykliwe tapety w wyblakłe plamy. Kilka drobiazgów jednak świadczyło o odmiennych gustach lokatorów: jedna czy dwie sztuki dobrej porcelany - co prawda potłuczone i posklejane, tak że nie stanowiły już większej wartości - haftowana makatka zarzucona na oparcie sofy, akwarelowy szkic młodej dziewczyny w stroju sprzed dwudziestu lat, którą tak jeszcze przypominała pani St Vincent, że trudno się było pomylić.

- To wszystko nie miałooby znaczenia - ciągnęła Barbara - gdybyśmy niczego innego nie zabrały. Kiedy się jednak pomyśli Ansteys...

Urwała, w obawie przed własnymi słowami o jakże kochanym domu, od wieków należącym do rodziny St Vincent, który teraz był w obcych rękach.

- Gdyby tylko ojciec... nie spekulował... nie zapożyczył się...

- Moja droga - powiedziała pani St Vincent. - Twój ojciec nie był człowiekiem interesu w żadnym znaczeniu tego słowa.

Stwierdziła ten niepodważalny fakt z pewną pobłażliwością. Barbara podeszła do matki, pocałowała ją i szepnęła:

- Biedna mamusia. Nic już nie powiem.

Pani St Vincent wzięła pióro i pochyliła się nad biurkiem, Barbara zaś powróciła do okna. Wkrótce odezwała się znowu.

- Mamo, dziś rano dowiedziałam się... że Jim Masterton chce mnie odwiedzić.

Pani St Vincent odłożyła pióro i obrzuciła córkę badawczym spojrzeniem.

- Tutaj? - zawołała.

- Cóż, nie możemy zaprosić go na kolację do Ritza - odparła drwiąco.

Matka nie wyglądała na uszczęśliwioną. Barbara ponownie z nie ukrywanym wstrętem rozejrzała się po pokoju.

- Masz rację - przyznała. - To okropne miejsce. Szlachetne ubóstwo! Kojarzy się dobrze: biały domek na wsi, podniszczone perkale w dobrym gatunku, wazon z różami, serwis Derby do herbaty, który pani domu własnoręcznie zmywa. Tak jest w książkach. A w rzeczywistości syn dopiero zaczynający karierę urzędniczą w Londynie, niechlujne gospodynie, brudne dzieciaki na schodach, na wpół zdeklasowani sąsiedzi, a na śniadanie dorsz, który nie jest całkiem... i tak dalej.

- Gdyby tylko to... - westchnęła pani St Vincent.

- Zaczynam się jednak obawiać, że nie zdołamy utrzymać dłużej nawet tego mieszkania.

- A to oznacza wspólny pokój dla nas obu - powiedziała Barbara. - Okropność! I pokoik na poddaszu dla Ruperta. A kiedy przyjdzie Jim, przyjmę go na dole w tym strasznym salonie pełnym starych plotkarek, które będą robiły na drutach i bacznie się nam przyglądały, z ledwością powstrzymując śmiech. Zapadło milczenie.

- Barbaro - odezwała się w końcu pani St Vincent. - Czy chcesz, to znaczy... chciałybyś...

- Nie musisz być taka subtelna, mamó - powiedziała Barbara. - Dzisiaj mówi się pewne rzeczy wprost. Masz na myśli, czy chcę poślubić Jima, tak? Zrobiłabym to błyskawicznie, gdyby tylko poprosił o moją rękę. Ale obawiam się, że on tego nie zrobi.

- Och, Barbaro, kochanie.

- Widzisz, to zupełnie co innego widzieć mnie tam z kuzynką Amy, kiedy obracałam się, jak to się czyta w powieściach, w najlepszym towarzystwie. Spodobałam mu się. A teraz przyjdzie i zobaczy mnie tutaj! Wiesz, z niego jest dziwny osobnik, wybredny i staroświecki. Za to właśnie go lubię. To mi przypomina Ansteys i wieś. Wszystko o sto lat przestarzałe, ale tak... tak... Och, sama nie wiem... Takie upajające jak zapach lawendy!

Roześmiała się, trochę zawstydzona ujawnieniem swych pragnień.

- Chciałabym, abyś poślubiła Jima Mastertona - szczerze wyznała pani St Vincent. - On jest... jednym z nas. Jednocześnie jest bardzo zamożny, ale na tym mi wcale nie zależy.

- Ale mnie zależy - powiedziała Barbara. - Mam już naprawdę dość naszego ciężkiego położenia.

- Ależ Barbaro, chyba...

- Chcesz powiedzieć, czy to jedyny powód?

- Nie. Naprawdę chcę wyjść za niego. Ja... Och, mamó, czyż nie widzisz, że chcę?

Pani St Vincent miała bardzo nieszczęśliwą minę.

- Chciałabym, żeby zobaczył cię w odpowiednim otoczeniu, kochanie - powiedziała z zadumą w głosie.

- Och - zachnęła się Barbara. - Dlaczego się zamartwiasz? Spróbujmy zachować dobry humor. Przepraszam, że tak zrzędziłam. Głowa do góry, mamusiu! - Pochyliła się nad matką, lekko pocałowała ją w czoło i wyszła z pokoju.

Pani St Vincent zaniechała dalszych wysiłków arytmetycznych i usiadła na niewygodnej kanapie. Myśli krążyły jej po głowie jak uwięzione w klatce wiewiórki. „Można

mówić, co się chce, ale mężczyźni wierzą pozorom, które często mylą. Zaręczyny zmieniłyby sytuację. Jim szybko by się zorientował, jaką słodką i kochaną dziewczyną jest Barbara. Młodzi ludzie zbyt łatwo ulegają wpływom otoczenia... Na przykład Rupert jest teraz całkiem inny niż kiedyś. Wcale bym nie chciała, żeby moje dzieci były zarozumiałe - co to, to nie. Ale nie byłabym zadowolona, gdyby Rupert zaręczył się z tą okropną dziewczyną z trafiki. Co prawda, ona może okazać się bardzo miła, ale nie jest przecież jedną z nas. Och, wszystko jest takie trudne! Biedna mała Babs. Jeśli tylko mogłabym coś zrobić... cokolwiek. Skąd jednak wziąć pieniądze? Wyprzedaliśmy się ze wszystkiego, żeby dać Rupertowi możliwość startu. Doprawdy, nawet tego ciężaru nie jesteśmy w stanie podźwignąć”.

Aby odsunąć złe myśli, pani St Vincent wzięła „Morning Post” i przejrzała ogłoszenia na pierwszej stronie. Większość z nich znała na pamięć. Ludzie szukali kapitału albo też zamierzali go na własną rękę zainwestować; inni chcieli kupić zęby (zawsze zastanawiała się, po co), jeszcze inni oferowali do sprzedaży futra i suknie, żywiąc optymistyczne nadzieje na uzyskanie wysokiej ceny.

Nagle skupiła uwagę. Kilkakrotnie przeczytała wydrukowane słowa.

Wyłącznie dla dystyngowanych ludzi. Wytwornie umeblowany mały dom w Westminster oferujemy tym, którzy należycie o niego zadbają. Czynnosc czysto symboliczna. Pośrednicy wykluczeni.

Zwyczajne ogłoszenie. Czytała wiele podobnych ogłoszeń. Symboliczny czynsz - w tym zwykle kryła się pułapka.

Mimo wszystko jednak, aby się uspokoić i oderwać od dręczących myśli, szybko założyła kapelusz i pojechała autobusem pod wskazany w ogłoszeniu adres.

Był to adres firmy pośrednictwa mieszkaniowego. Owa firma nie wyglądała na nową i prężną. Sprawiała wrażenie raczej podupadłej i dość staroświeckiej. Pani St Vincent nieśmiało pokazała wyrwane z gazety ogłoszenie i zapytała o szczegóły.

Siwowłosy dżentelmen, który ją obsługiwał, pogładził w zamyśleniu brodę.

- Doskonale. Tak, doskonale, proszę pani. Wspomniany w ogłoszeniu dom mieści się na Cheviot Place pod numerem siódmym. Czy chciałaby go pani wynająć?

- Najpierw chciałabym wiedzieć, ile wynosi czynsz? - powiedziała pani St Vincent.

- Ach, czynsz! Dokładna kwota nie została ustalona, ale zapewniam panią, że będzie czysto symboliczna.

- Symboliczna cena może być różnie rozumiana - powiedziała pani St Vincent.

Stary dżentelmen pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Owszem. To stara i znana sztuczka. Daję pani jednak słowo, że w tym wypadku to nie ma miejsca. Prawdopodobnie dwie lub trzy gwinee tygodniowo, nie więcej.

Pani St Vincent zdecydowała się zainteresować ofertą. Oczywiście nie sądziła, aby miała szansę utrzymać ten dom, mimo to chciała go choćby zobaczyć. Tak niska cena mogła przecież świadczyć o istnieniu jakichś poważnych niedogodności.

Serce zabiło jej lekko, kiedy ujrzała front domu numer siedem na Cheviot Place. Perła architektury - królowa Anna, i to w znakomitym stanie! Lokaj, który otworzył drzwi, miał siwe włosy i małe bokobrody. Na jego twarzy malował się kontemplacyjny biskupi spokój. Miły biskup, pomyślała pani St Vincent.

Lokaj z życzliwą miną zainteresował się potencjalną klientką.

- Oczywiście, proszę pani. Oprowadzę panią. Dom jest przygotowany do zamieszkania.

Szedł przed nią, otwierał kolejne drzwi i objaśniał:

- Salon, biały gabinet, a tu obok - buduar.

To był szczyt marzeń. Wszystkie meble z epoki, z oznakami pewnego zużycia, ale w doskonałym stanie; kilimy na ścianach w pięknych, stonowanych barwach; w każdym pokoju wazony ze świeżymi kwiatami. Tył domu wychodził na Green Park. Zewsząd emanował czar starego, minionego świata.

W oczach pani St Vincent pojawiły się łzy. Z trudem powstrzymywała się od płaczu. To przypominało Ansteys... Ansteys...

Zastanawiała się, czy lokaj zauważył jej wzruszenie. Nawet jeśli tak było, należał do zbyt doświadczonych służących, aby dać cokolwiek po sobie poznać. Lubiła takich starych służących, czuła się przy nich bezpiecznie i swobodnie. Byli jak prawdziwi przyjaciele.

- Piękny dom - wyszeptwała. - Bardzo piękny. Cieszę się, że go zobaczyłam.

- Czy ma pani zamiar wynająć go dla siebie samej?

- Dla siebie, córki i syna. Obawiam się jednak... - Urwała. Pragnęła tego domu tak bardzo, tak bardzo.

Instynktownie wyczuła, że lokaj ją rozumie. Nie patrząc na nią, powiedział obojętnym głosem:

- Przypadkowo wiadomo mi, proszę pani, że właścicielowi nade wszystko zależy na odpowiednich lokatorach. Pieniądze nie mają tu znaczenia. Chce, żeby nowi mieszkańcy należycie zadbali o dom.

- Uczyniłabym to - powiedziała cicho pani St Vincent i odwróciła się do wyjścia. -
Dziękuję za oprowadzenie - dodała grzecznie.

- Nie ma za co, proszę pani.

Stał w drzwiach jak przystało wyprostowany, kiedy pani St Vincent oddalała się ulicą. Pomyślała sobie: „On wie. Żałuje mnie. Należy tak jak my do starej gwardii. Chciałby, żebym to ja wynajęła dom, nie zaś jakiś człowiek z gminu albo fabrykant guzików. Nasz gatunek wymiera, ale trzymamy się razem do końca”.

Postanowiła nie wracać do pośrednika. Co prawda, mogłaby podołać czynszowi, ale pozostawała kwestia służby. W takim domu jak ten utrzymywanie służby było konieczne.

Następnego dnia rano obok talerza pani St Vincent leżał list z biura pośrednictwa mieszkaniowego. Oferowano jej wynajem domu przy Cheviot Place na sześć miesięcy za dwie gwinee tygodniowo. W liście zaznaczono: Zapewne wzięła pani pod uwagę fakt, że służba pozostanie na utrzymaniu właściciela. To rzeczywiście wyjątkowa oferta.

Niewątpliwie oferta wyglądała na wyjątkową. Pani St Vincent była tak zaskoczona, że przeczytała list na głos. Zarzucona pytaniami, opowiedziała o wczorajszej wizycie.

- Ależ z mamusi konspiratorka! - zawołała Barbara. - Czy naprawdę ten dom jest taki uroczy? Rupert odchrząknął i zawyrokował:

- Coś się za tym kryje. Moim zdaniem to jest podejrzane. Mocno podejrzane.

- Zupełnie jak moje jajko - powiedziała Barbara, kręcąc nosem. - Och, dlaczego coś miałoby się za tym kryć? To zupełnie w twoim stylu, Rupercie, zawsze i we wszystkim doszukiwać się tajemnic. To przez te okropne kryminały, które ciągle czytasz.

- Czynsz jest śmieszny - zauważył Rupert, po czym dodał, robiąc ważną minę: - Pracując w mieście człowiek styka się z różnego rodzaju dziwnymi sprawami. Mówię wam, że w całej tej sprawie kryje się coś podejznanego.

- Bzdura - skwitowała Barbara. - Właściciel jest zamożnym człowiekiem, lubi swój dom i chce, aby na czas jego nieobecności zamieszkali w nim przyzwoici ludzie. Coś w tym rodzaju. Pieniądze prawdopodobnie nie grają roli.

- Jaki adres podałaś, mamó? - spytał Rupert.

- Cheviot Place numer siedem.

- No, no! - Rupert odsunął krzesło. - A nie mówiłem, że to podejrzana sprawa? Ten dom należy do lorda Listerdale'a, który zniknął.

- Jesteś pewien? - spytała pani St Vincent z powątpiewaniem.

- Całkowicie. Lord Listerdale posiada wiele innych domów poza Londynem, ale tutaj właśnie mieszkał. Pewnego popołudnia wyszedł, oznajmiając, że udaje się do klubu i więcej już go nie widziano. Sugerowano, że wyjechał do Afryki Wschodniej lub gdzie indziej, ale nikt nie wie, dlaczego. Możecie mi wierzyć, na pewno został zamordowany w tym domu. Powiedziałaś, że jest tam sporo boazerii?

- Tak... - zaczęła niepewnie pani St Vincent - ale... Rupert nie pozwolił jej dokończyć i mówił dalej z wielkim entuzjazmem:

- Boazeria! Otóż to! Z pewnością jest tam tajemniczy schowek, w którym ukryto ciało. Być może wcześniej je zabalsamowano...

- Rupercie, kochanie, nie opowiadaj głupstw - przerwała mu matka.

- Jesteś skończonym idiotą - oświadczyła Barbara. - Stanowczo za często zabierasz tę tlenioną blondynkę do kina.

Rupert powstał z godnością - z taką godnością, na jaką mu młody i niewdzięczny wiek pozwalał - i wygłosił ostateczną sentencję:

- Wynajmij ten dom, mamó, a przekonasz się, że odkryję tajemnicę. - Po czym wyszedł w pośpiechu, aby nie spóźnić się do pracy.

Kobiety skrzyżowały spojrzenia.

- Czy mogłybyśmy, mamó...? - szepnęła Barbara niepewnym głosem. - Och, żebyśmy mogły!

- Służba - powiedziała pani St Vincent uroczystym głosem - musi jeść. Oczywiście, chodzi o to, że trzeba... Rozumiesz, w tym jest sęk. Można łatwo obejść się bez wielu rzeczy, jeśli jest się samemu. - Spojrzała żałośnie na Barbarę, która skinęła głową ze zrozumieniem. - Musimy się jeszcze nad tym zastanowić - dodała.

W rzeczywistości jednak powzięła decyzję. Zobaczyła błysk w oczach dziewczyny i pomyślała: „Jim Masterton musi zobaczyć ją we właściwym otoczeniu. To jest szansa, cudowna szansa. Wynajmę ten dom”.

Usiadła i napisała do pośrednika, że przyjmuje ofertę.

- Quentin, skąd się wzięły te lilie? Doprawdy nie stać mnie na kupowanie drogich kwiatów.

- Zostały przysłane z King's Cheviot, proszę pani. To zawsze było tutaj w zwyczaju.

Lokaj odszedł. Pani St Vincent odetchnęła z ulgą. Jak poradziłaby sobie bez Quentina? Przy nim wszystko stawało się takie proste. „To zbyt piękne, żeby mogło długo trwać -

pomyślała. - Wkrótce się obudzę. Wiem, że się obudzę i stwierdzę, że to tylko sen. Jestem tu taka szczęśliwa. Minęły już dwa miesiące, a mnie wydaje się, że to chwila”.

Życie rzeczywiście toczyło się nadzwyczaj przyjemnie. Quentin, lokaj, niepodzielnie nad wszystkim panował. „Najlepiej pani uczyni - powiedział kiedyś głosem pełnym szacunku - jeśli wszystko pozostawi pani mnie”.

Co tydzień przynosił do wglądu księgę wydatków domowych. Figurujące w niej sumy były zadziwiająco niskie. W domu pracowały jeszcze dwie służące - kucharka i pokojówka. Obie były sympatyczne i sprawne, ale tak naprawdę domem zarządzał Quentin. Na stole pojawiały się czasem dziczyzna i drób, co wprawiało panią St Vincent w zakłopotanie. Quentin ją uspokajał. Były przysyłane z King's Cheviot, wiejskiej posiadłości lorda Listerdale'a, lub z jego łowisk leśnych w Yorkshire. „To zawsze było tutaj w zwyczaju, proszę pani” - mawiał lokaj.

W skrytości ducha pani St Vincent powątpiewała, czy nieobecny lord Listerdale zgodziłby się na te praktyki. Skłaniała się do podejrzeń, że Quentin uzurpuje sobie władzę swego chlebodawcy. Było oczywiste, że lokaj do tego stopnia polubił nowych lokatorów, że chciał im nieba przychylić.

Wiedziona ciekawością, którą rozbudził w niej Rupert, napomknęła o sprawie lorda Listerdale'a w czasie następnej wizyty u pośrednika. Siwowłosy dżentelmen potwierdził bez wahania, że lord Listerdale od osiemnastu miesięcy przebywa w Afryce Wschodniej.

- Nasz klient to ekscentryczny człowiek - powiedział z uśmiechem. - Być może pani pamięta, że opuścił Londyn w sposób wielce oryginalny, nie mówiąc nikomu ani słowa. Pisano o tym w gazetach, a nawet prowadzono śledztwo w Scotland Yardzie. Na szczęście lord Listerdale osobiście nadesłał wiadomość ze Wschodniej Afryki. Przysłał pełnomocnictwo dla swego kuzyna, pułkownika Carfaxesa, który teraz prowadzi wszystkie jego sprawy. Tak, lord to dziwaczny osobnik. Zawsze był wielkim samotnikiem. Całkiem możliwe, że długi czas nie powróci do Anglii, chociaż ma już swoje lata...

- Przecież nie jest jeszcze tak bardzo stary - wtrąciła pani St Vincent, przypominając sobie nagle rubaszną, brodatą twarz podobną do wizerunków żeglarzy z epoki elżbietańskiej, twarz, którą widziała kiedyś w ilustrowanym czasopiśmie.

- Jest w średnim wieku - odparł siwowłosy dżentelmen. - Ma pięćdziesiąt trzy lata, jak podaje Debrett.

Pani St Vincent powtórzyła tę rozmowę Rupertowi, żeby wybić mu z głowy niestosowne domysły.

Rupert jednak nie dał za wygraną.

- Sprawa wygląda więc bardziej podejrzanie, niż sądziłem - oświadczył. - Któż to jest ten pułkownik Carfax? Być może ma dziedziczyć po lordzie, jeśli temu coś się przytrafi. Niewykluczone, że list z Afryki Wschodniej został sfalszowany. Za jakieś trzy lata ten cały Carfax uzna lorda za zmarłego i wejdzie w posiadanie majątku. Tymczasem trzyma wszystko w garści. Doprawdy, uważam, że to bardzo dziwne.

Rupertowi dom się spodobał, co raczył łaskawie zauważyć. W wolnych chwilach opukiwał boazerie i rozważał szczegółowo rozmaite koncepcje, gdzie może znajdować się sekretny pokój. Z czasem jednak zainteresowanie Ruperta tajemniczym zniknięciem lorda Listerdale'a słabło. Wszystko wskazywało również na to, że z coraz mniejszym entuzjazmem odnosił się do córki właściciela trafiki.

Barbarze dom sprawił wielką radość. Jim Masterton przyszedł w odwiedziny i od tej pory stał się częstym gościem. Z panią St Vincent był w doskonałej komitywie. Pewnego dnia powiedział Barbarze coś takiego, co ją zupełnie zaskoczyło.

- Ten dom jest wymarzonym miejscem dla twojej matki.

- Dla mamy?

- Tak. Jest jakby dla niej stworzony. Ona przynależy do niego w jakiś szczególny sposób. W ogóle w tym domu jest coś dziwnego, niesamowitego, coś, co nie daje spokoju.

- Nie zachowuj się jak Rupert - poprosiła Barbara. - Mój brat uważa, że nikczemny pułkownik Carfax zamordował lorda Listerdale'a i ukrył jego ciało pod podłogą.

Masterton roześmiał się.

- Jestem pełen podziwu dla detektywistycznych talentów Ruperta, ale nie miałem na myśli niczego w tym sensie. Po prostu coś tu wisi w powietrzu, jakaś atmosfera, której nie sposób zrozumieć.

Po trzech miesiącach pobytu na Cheviot Place, Barbara przysła do matki z rozpromienioną twarzą.

- Jim i ja... zaręczyliśmy się. Tak, wczoraj wieczorem. Och, mammo! to wszystko wygląda jak urzeczywistnienie bajki.

- Och, kochanie! Jestem taka szczęśliwa! Matka i córka przytuliły się do siebie.

- Wiesz, Jim jest prawie tak samo zakochany we mnie, jak w tobie - powiedziała Barbara z figlarnym uśmieszkiem.

Pani St Vincent zarumieniła się uroczo.

- To prawda - potwierdziła Barbara. - Sądziłaś, że dom ten będzie wspaniałym miejscem dla mnie, w rzeczywistości zaś on jest stworzony dla ciebie. Ty do niego pasujesz o wiele bardziej niż ja czy Rupert.

- Nie opowiadaj głupstw, kochanie.

- To nie są głupstwa. Wokół tego domu roztacza się aura bajkowego zamku, z tobą jako zaczarowaną królową i Quentinem jako... och... jako dobrym czarodziejem.

Pani St Vincent roześmiała się; zgodziła się zwłaszcza z ostatnim określeniem.

Rupert bardzo spokojnie przyjął wiadomość o zaręczynach siostry.

- Wiedziałem, co się święci - oznajmił przemądrzale.

Siedział przy obiedzie tylko z matką, Barbara bowiem wyszła z Jimem.

Quentin postawił przed nim kieliszek portu i bezszelestnie opuścił pokój.

- To dziwny gość - powiedział Rupert, wskazując na zamknięte drzwi. - Jest w nim coś osobliwego, coś...

- Podejrzanego? - wtrąciła pani St Vincent, uśmiechając się lekko.

- Ależ mam, skąd wiedziałaś, co chcę powiedzieć? - zapytał z całkowitą powagą Rupert.

- Przecież to twoje ulubione określenie, kochanie. Wszystko dla ciebie jest podejrzane. Zapewne sądzisz, że to Quentin pozbawił życia lorda Listerdale'a i ukrył jego ciało pod podłogą?

- Za boazerią - poprawił Rupert. - Zawsze troszeczkę się mylisz, mam. Otóż nie. W tej sprawie przeprowadziłem dochodzenie. W tym czasie Quentin przebywał w King's Cheviot.

Pani St Vincent uśmiechnęła się do syna, wstała i poszła do salonu. Swoją drogą, minie jeszcze sporo czasu, nim Rupert dorośnie.

A jednak po raz pierwszy ogarnął ją nagły niepokój i zaczęła się zastanawiać, jakie powody mogły skłonić lorda Listerdale'a do tak niespodziewanego opuszczenia Anglii. Ta decyzja musiała mieć jakieś wytłumaczenie, coś się za tym kryło. Oddawała się właśnie tym rozmyśleniom, kiedy wszedł Quentin z dzbankiem kawy na tacy. Pani St Vincent odezwała się z nagłą:

- Długi czas służyłeś u lorda Listerdale'a, nieprawdaż, Quentinie?

- Tak, proszę pani. Było to jeszcze za czasów poprzedniego lorda. Miałem dwadzieścia jeden lat, kiedy zacząłem tu pracę jako trzeci lokaj.

- Musiałeś zatem znać bardzo dobrze lorda Listerdale'a. Jaki to człowiek?

Lokaj podsunął jej tacę tak, by mogła wygodniej sięgnąć po cukier, po czym stwierdził beznamiętnym, chłodnym głosem:

- Lord Listerdale był wielkim egoistą, proszę pani. Nie miał względów dla nikogo. -
Zabrał tacę i wyniósł ją z pokoju.

Pani St Vincent siedziała z filiżanką kawy w dłoni i zagadkowym wyrazem twarzy. Coś uderzyło ją w wypowiedzi Quentina niezależnie od sformułowanych przez niego poglądów. Po chwili doznała olśnienia.

Quentin użył słowa „był” zamiast „jest”. W takim razie musiał myśleć... musiał wiedzieć... Otrząsnęła się. Miała takie same niedorzeczne myśli jak Rupert! Niepokój w sercu został jednak zasiany; w tym momencie zrodziły się jej pierwsze podejrzenia.

Ponieważ Barbara była szczęśliwa i miała już zapewnioną przyszłość, pani St Vincent mogła oddać się własnym myślom. Mimo że wcale tego nie chciała, jej rozważania dotyczyły stale tajemnicy lorda Listerdale'a. Jak wyglądała prawda? Jakkolwiek by było, Quentin musiał coś o tym wiedzieć. Użył dziwnych słów: „wielki egoista - nie miał względów dla nikogo”. Co się za tymi słowami kryło? Mówił jak sędzia - obojętnie i bezstronnie.

Czy Quentin był zamieszany w zniknięcie lorda Listerdale'a? Czy wziął czynny udział w ewentualnej tragedii? Bez względu na to jak dziwaczne mogłyby się wydawać podejrzenia Ruperta, ten jeden jedyny list z pełnomocnictwami, który nadszedł z Afryki Wschodniej był... cóż, mógł otwierać pole do różnych domysłów.

Nie potrafiła jednak - choć usiłowała uwierzyć - by Quentin był rzeczywiście wcieleniem zła. Powtarzała sobie w kółko z dziecięcą prostodusznością, że Quentin jest dobrym człowiekiem. Quentin jest d o b r y. Musi jednak coś wiedzieć!

Nigdy więcej nie rozmawiała z nim o lordzie Listerdale'u. Ten temat na pozór przestał istnieć. Rupert i Barbara zajęci byli czym innym i nie wszczynano dalszych dyskusji.

Dopiero pod koniec sierpnia rzeczywistość potwierdziła niejasne podejrzenia pani St Vincent. Rupert wyjechał na dwutygodniowy urlop razem z kolegą, który został szczęśliwym posiadaczem motocykla z przyczepą. Toteż jakieś dziesięć dni później pani St Vincent została wielce zaskoczona widokiem Ruperta nagle wpadającego do pokoju, gdzie właśnie siedziała zajęta pisaniem.

- Rupert! - wykrzyknęła.

- Wiem, mam, że spodziewałaś się mnie dopiero za trzy dni, ale wydarzyło się coś ważnego. Widzisz, mojemu kumplowi, Andersonowi, było wszystko jedno, dokąd pojedziemy, zaproponowałem więc, żebyśmy wpadli do King's Cheviot...

- Do King's Cheviot? Po co?

- Doskonale wiesz, że przez cały czas instynktownie coś podejrzewałem. Postanowiłem więc obejrzeć sobie starą posiadłość. Ona jest wynajęta, rozumiesz - nic tam nie ma. Nie pojechałem tam zresztą w przekonaniu, że coś znajdę. Po prostu chciałem, jak to się mówi, trochę poniuchać.

„Rupert w tej chwili rzeczywiście wygląda jak pies na polowaniu - pomyślała sobie. - Węszy w kółko za czymś nieokreślonym i niejasnym, jest zaaferowany i szczęśliwy.”

- Przejeżdżaliśmy przez wieś, jakieś osiem lub dziewięć mil od King's Cheviot, kiedy to się wydarzyło. To znaczy, kiedy go ujrzałem.

- Kogo?

- Quentina. Właśnie szedł w kierunku małego domu. Coś tu nie gra, pomyślałem sobie. Zatrzymaliśmy się i poszedłem za nim. Zapukałem do drzwi i on we własnej osobie mi je otworzył.

- Ależ nie rozumiem. Przecież Quentin nie wyjeżdżał...

- Zaraz do tego dojdę, jeśli tylko będziesz słuchać i nie przerywać. To był Quentin, a jednocześnie to nie był Quentin, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

Pani St Vincent zupełnie nie rozumiała, więc Rupert wyjaśniał sprawę dalej:

- To był Quentin, ale to nie był nasz Quentin. To był prawdziwy Quentin.

- Rupercie!

- Posłuchaj, najpierw mu się przyjrzałem i zapytałem: „Czy pan nazywa się Quentin?” A facet odpowiedział: „Tak jest, proszę pana, tak się nazywam. Czym mogę panu służyć?” I wtedy zorientowałem się, że to nie nasz lokaj, choć jest do niego całkowicie podobny z głosu i wyglądu. Zadałem kilka pytań i prawda wyszła na jaw. Facet nie miał pojęcia, że dzieje się coś podejrzanego. Rzeczywiście był kiedyś lokajem lorda Listerdale'a, ale przeszedł już na emeryturę. Otrzymał ten domek, mniej więcej w czasie, kiedy lord, jak się przypuszcza, wyjechał do Afryki. Rozumiesz teraz, do czego zmierzam. Pracujący u nas człowiek jest oszustem. Odgrywa rolę Quentina dla siebie tylko wiadomych celów. Moja teoria jest taka, że ten człowiek przyjechał owego wieczoru z King's Cheviot do miasta, udając lokaja, dostał się do lorda Listerdale'a, zamordował go, po czym ukrył ciało gdzieś za boazerią. To stary dom, na pewno znajduje się tu jakiś tajny schowek...

- Och, nie wracaj znowu do tych niedorzeczności

- przerwała mu gwałtownie pani St Vincent. - Nie zniosę tego. Dlaczego miałby... Oto co chcę wiedzieć: dlaczego? Jeśli nawet dopuścił się czegoś podobnego, w co ani przez moment nie wierzę, zastanów się, jaki miałby powód?

- Masz rację - powiedział Rupert. - Motyw jest bardzo ważny. Przeprowadziłem więc dochodzenie. Lord Listerdale miał wiele posiadłości. W ciągu ostatnich dwóch dni odkryłem, że niemal każdy z tych domów w czasie minionych osiemnastu miesięcy został wynajęty ludziom takim jak my za symboliczną opłatą - pod warunkiem, że nowi lokatorzy zatrzymają służbę. We wszystkich tych domach Quentin, to znaczy mężczyzna udający Quentina, służył przez jakiś czas jako lokaj. Wygląda na to, że kosztowności czy też papiery wartościowe były ukryte w jednym z domów lorda Listerdale'a, tylko gang nie wiedział, w którym. Przypuszczam, że chodzi tu o gang, ale oczywiście ten cwaniak, Quentin, równie dobrze mógł działać w pojedynkę. To jest...

Pani St Vincent przerwała mu z pewną dozą stanowczości:

- Rupercie! Zamilknij na chwilę. Kręci mi się w głowie. Tak czy owak, to, co opowiadasz o tych gangach i ukrytych kosztownościach, jest bzdurą.

- Istnieje druga możliwość - przyznał Rupert. - Lord Listerdale mógł skrzywdzić owego Quentina. Prawdziwy lokaj opowiedział mi długą historię o pewnym człowieku, który nazywał się Samuel Lowe. Był pomocnikiem ogrodnika, mniej więcej tego samego wzrostu i budowy co Quentin. Ten człowiek żywił urazę do lorda Listerdale'a...

Pani St Vincent wzdrygnęła się.

„Nie miał względów dla innych”. Przyszły jej na myśl słowa wypowiedziane w beznamietny, wyważony sposób. Słowa, które niekoniecznie musiały, ale czyż nie mogły jednak o cośś świadczyć?

Zajęta własnymi myślami, ledwie słuchała Ruperta. Wyjaśnił coś szybko, czego nie zrozumiała, i równie szybko opuścił pokój.

Po chwili otrząsnęła się. Dokąd poszedł Rupert? Co zamierzał uczynić? Nie pojęła jego ostatnich słów. Może udał się na policję. W takim razie...

Nagle wstała i nacisnęła dzwonek. Jak zwykle bezzwłocznie pojawił się Quentin.

- Pani dzwoniła?

- Tak. Wejść, proszę, i zamknij drzwi.

Lokaj wykonał polecenie. Pani St Vincent przez chwilę milczała, przyglądając mu się baczny wzrokiem.

Pomyślała sobie: „Był dla mnie miły - nikt nie wie, jak bardzo miły. Dzieci nie potrafią tego zrozumieć. Ta szalona teoria Ruperta może być kompletną bzdurą, ale z drugiej strony... tak, może... może coś w tym być. Czy ma się jednak prawo do osądzania? Nigdy nie można wiedzieć na pewno. Dobro i zło... Mogłabym ręczyć życiem - tak, mogłabym - że on jest dobrym człowiekiem!”

- Quentinie - odezwała się, zarumieniona i drżąca. - właśnie wrócił pan Rupert. Był w King's Cheviot... w wiosce nie opodal... - Urwała dostrzegając nagłe drgnięcie, którego nie mógł opanować. - Widział tam... kogoś - dokończyła spokojnym tonem.

Został ostrzeżony - pomyślała. - Przynajmniej został ostrzeżony.

Quentin, po pierwszym wstrząsie, odzyskał już niewzruszony spokój, ale w jego uważnym, przenikliwym spojrzeniu było coś, czego nigdy przedtem nie widziała. Po raz pierwszy patrzył na nią jak mężczyzna, nie jak służący.

Po chwili wahania odezwał się głosem, w którym również zauważyła pewną zmianę:

- Dlaczego mi pani o tym mówi, pani St Vincent?

Zanim zdołała odpowiedzieć, gwałtownie otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Rupert, a wraz z nim dystyngowany mężczyzna w średnim wieku, z małymi bokobrodami i twarzą dobrotliwego biskupa. Quentin!

- Oto on! - powiedział Rupert. - Oto prawdziwy Quentin. Kazałem mu poczekać w taksówce. A teraz, Quentinie, spójrz na tego człowieka i powiedz mi, czy jest to Samuel Lowe?

Jednak triumf, który Rupert święcił w tym momencie, miał krótki żywot. Niemal od razu chłopak zorientował się, że coś tu nie gra. Przez chwilę prawdziwy Quentin patrzył zmieszany i skrupowany na drugiego Quentina, ten zaś uśmiechał się szeroko, nie ukrywając radości. Wreszcie poklepał po plecach swego zakłopotanego sobowtóra.

- W porządku, Quentinie. Odnoszę wrażenie, że wyszło szydło z worka. Możesz im powiedzieć, kim jestem.

Obcy człowiek wyprostował się z godnością.

- To jest - oznajmił głosem pełnym wyrzutu - mój pan, lord Listerdale.

Wiele się wydarzyło chwilę później. Przede wszystkim zrozumiwały Rupert poniósł dotkliwą porażkę. I zanim jeszcze dotarło to do jego świadomości, kiedy wciąż stał z otwartymi ze zdziwienia ustami, zrozumiał, że jakiś znajomy i przyjaźnie teraz brzmiący głos wyprasza go grzecznie za drzwi.

- Wszystko w porządku, chłopcze. Nic się nie stało. Chciałbym jednak zamienić słowo z twoją matką. Wykonałeś dobrą robotę, demaskując mnie w ten sposób.

Rupert stał na korytarzu, wpatrując się w zamknięte drzwi. Stojący obok niego prawdziwy Quentin uprzejmie dokonywał potocznych wyjaśnień. Za drzwiami zaś lord Listerdale stawiał czoło pani St Vincent.

- Niech mi będzie wolno się wytłumaczyć! Przez całe życie byłem potwornym egoistą i ten fakt pewnego dnia do mnie dotarł. Pomyślałem sobie, żeby dla odmiany spróbować trochę altruizmu, a ponieważ jestem nieprawdopodobnym szaleńcem, rozpocząłem tę działalność w sposób równie niebywały. Finansowałem wiele różnych przedsięwzięć, ale odczuwałem potrzebę zrobienia czegoś... tak, czegoś „osobistego”. Zawsze współczułem tym, którym nie wypada żebrać i którzy muszą cierpieć w milczeniu - zubożałym ludziom z wyższych sfer. Jestem właścicielem wielu posiadłości. Wpadłem więc na pomysł wynajęcia tych domów osobom, które ich potrzebują i które je docenią - młodym małżeństwom na dorobku, wdowom obciążonym dziećmi, które dopiero zaczynają karierę. Quentin był nie tylko moim lokajem, był moim przyjacielem. Za jego zgodą i przy jego pomocy wcieliłem się w niego. Zawsze wykazywałem zdolności aktorskie. Ten pomysł wpadł mi do głowy pewnego wieczoru w drodze do klubu, więc udałem się prosto do Quentina. Kiedy zorientowałem się, że wokół mego zniknięcia narobiono hałasu, zaaranżowałem sprawę z owym listem z Afryki Wschodniej, w którym wydałem odpowiednie polecenia kuzynowi, Maurice'owi Carfaxowi. No i... Cóż, w skrócie to wszystko.

Urwał z wahaniem, rzucając pani St Vincent błagalne spojrzenie. Ona zaś stała wyprostowana, dzielnie wytrzymując jego wzrok.

- To był życzliwy plan - powiedziała wreszcie.

- Bardzo niecodzienny, taki, który przynosi panu chlubę. Jestem... ogromnie wdzięczna, ale... rozumie pan, że nie możemy tu dłużej pozostać.

- Spodziewałem się - odparł - że duma nie pozwoli pani przyjąć tego, co zapewne określa pani mianem „jałmużny”.

- Czyż to nie jest właściwe określenie? - powiedziała poważnym głosem.

- Nie - odrzekł - ponieważ proszę o coś w zamian.

- O co?

- O wszystko. - Jego głos zagrzemiał jak głos człowieka przyzwyczajonego do rządzenia. - Kiedy miałem dwadzieścia trzy lata - ciągnął - ożeniłem się z dziewczyną, którą

kochałem. W rok później zmarła. Od tamtej pory czuję się straszliwie samotny. Bardzo pragnąłem znaleźć kobietę... kobietę swych marzeń...

- Czyżbym ja nią była? - zapytała bardzo cicho.

- Jestem przecież stara... przywiędła.

- Stara? - Roześmiał się gromko. - Pani jest młodsza od własnych dzieci. To ja jestem stary, przyznaję.

Tym razem ona, rozbawiona, wybuchnęła miękkim, perlistym śmiechem.

- Pan? Pan jest ciągle chłopcem - chłopcem, który uwielbia maskarady.

Wyciągnęła ręce, które on ujął w swoje.

Domek „Pod słowikami”

- Do widzenia, kochanie.

- Do widzenia, skarbie.

Alix Martin stała, opierając się o małą wiejską furtkę, i obserwowała swego męża podążającego w kierunku wsi.

Wkrótce skręcił i zniknął z pola widzenia, ale Alix nadal pozostawała w tej samej pozycji. Z roztargnieniem odgarniała kosmyki ciemnych bujnych włosów, które, targane wiatrem, co chwila opadały na twarz. Jej oczy miały nieobecny, rozmarzony wyraz.

Alix Martin nie była piękna. Prawdę mówiąc, nie była nawet ładna. Jednak jej twarz, twarz kobiety nie pierwszej już młodości, była teraz tak rozpromieniona i łagodna, że koledzy z dawnych biurowych czasów mogliby mieć trudności z rozpoznaniem koleżanki. Panna Alix King była bowiem rzetelną młodą kobietą, kompetentną w swym fachu, nieco szorstką w obejściu, niewątpliwie zdolną i praktyczną.

Alix przeszła twardą szkołę. Przez piętnaście lat, począwszy od osiemnastego do trzydziestego trzeciego roku życia, utrzymywała się, a przez siedem lat również matkę - inwalidkę, pracując jako stenotypistka. Ta walka o byt wyostrzyła miękkie rysy jej dziewczęcej twarzy.

Co prawda była i miłość - swego rodzaju - do Dicka Windyforda, kolegi z biura. Alix intuicyjnie wyczuwała, że mu na niej zależy, mimo że nie okazywał tego w widoczny sposób. Pozornie byli jedynie przyjaciółmi. Ze swej skromnej pensji Dick musiał opłacać edukację brata. W takiej sytuacji nie mógł, oczywiście, myśleć o małżeństwie.

Wyzwolenie od codziennej harówki spadło na dziewczynę w sposób najmniej oczekiwany. Zmarł daleki kuzyn i pozostawił jej w spadku kilka tysięcy funtów - sumę przynoszącą dochód paruset funtów rocznie. Dla Alix oznaczało to wolność, życie, niezależność. Teraz ona i Dick nie musieli już dłużej czekać.

Dick zareagował jednak inaczej, niż się spodziewała. Nigdy przedtem bezpośrednio nie wyznał Alix miłości, a teraz sprawiał wrażenie jeszcze mniej skłonnego do takich deklaracji. Unikał jej, stał się markotny i ponury. Alix szybko domyśliła się prawdy. Teraz była zamożną kobietą, skromność więc i duma nie pozwalały Dickowi na oświadczenia.

Jej sympatia do niego wcale nie zmalała i zastanawiała się nawet, czy sama nie powinna zrobić pierwszego kroku, kiedy nagle po raz drugi spadło na nią coś nieoczekiwanego.

W domu przyjaciół poznała Geralda Martina, ten zaś zapalał do niej tak gwałtowną miłością, że już po tygodniu byli zaręczeni. Alix, która nigdy dotąd nie uważała się za zdolną do nagłych uniesień, tym razem została całkowicie podbita.

Jednocześnie, zupełnie niechcący, Alix znalazła sposób na zdopingowanie poprzedniego amanta. Dick Windyford przyszedł do niej, jękając się z gniewu i wściekłości.

- Ten człowiek jest ci całkowicie obcy! Nic o nim nie wiesz!

- Wiem, że go kocham.

- Jak można to wiedzieć po tygodniu?

- Widać nie każdy potrzebuje jedenastu lat, żeby zorientować się, że jest zakochany! - wykrzyknęła Alix ze złością.

Twarz Dicka pobiła.

- Zakochałem się w tobie, gdy tylko cię poznałem. Sądziłem, że nie jestem ci obojętny.

- Również tak myślałam - przyznała zgodnie z prawdą. - Okazało się jednak, że nie wiedziałam, czym jest prawdziwa miłość.

Wówczas Dick wybuchnął ponownie; pojawiły się prośby, błagania, a nawet groźby - groźby pod adresem mężczyzny, który zajął jego miejsce. Alix myślała, że dobrze zna Dicka, toteż była niebotycznie zdumiona, widząc istny wulkan uczuć w człowieku na zewnątrz tak pełnym rezerwy.

I teraz, tego słonecznego poranka, kiedy tak stała wsparta o furtkę, powróciła myślami do tamtej rozmowy. Od miesiąca była idyllicznie szczęśliwą mężatką. A jednak, podczas chwilowej nieobecności ukochanego męża, cień niepokoju zmaćcił ową sielankę. Przyczynę tego niepokoju stanowiła osoba Dicka Windyforda.

Trzykrotnie od dnia ślubu Alix miała ten sam sen. Zmieniały się w nim niektóre szczegóły, ale główne fakty pozostawały niezmiennie. Widziała oto Dicka Windyforda, jak stał nad jej martwym mężem, i uświadamiała sobie jasno i wyraźnie, że to ręka Dicka zadała śmiertelny cios.

Chociaż sen sam w sobie był przerażający, jeszcze bardziej przerażona czuła się w momencie przebudzenia, ponieważ we śnie sytuacja wyglądała na całkowicie naturalną i nieuniknioną. Ona, Alix Martin, była z a d o w o l o n a, że jej mąż nie żyje! Wyciągała z wdzięcznością ręce do mordercy, czasami mu dziękowała. Sen zawsze kończył się tak samo - Dick tulił ją w ramionach.

Alix nie opowiedziała mężowi o śnie, ale w głębi duszy czuła się nim bardzo zaniepokojona. Czy miało to być ostrzeżenie, ostrzeżenie przed Dickiem Windyfordem?

Ostry dzwonek telefonu przerwał jej myśli. Weszła do domu i podniosła słuchawkę. Nagle zachwiała się i wsparła ręką o ścianę.

- Przepraszam, kto mówi?

- Jak to? Alix, czemu masz taki zmieniony głos? Ledwie cię poznałem. Mówi Dick.

- Och! - powiedziała Alix. - Och! Gdzie... gdzie jesteś?

- W zajeździe „Pod godłem podróżnika”. Tak się nazywa, prawda? Jestem tu na urlopie, na rybach. Czy szanowni państwo będą mieli coś przeciwko temu, jeśli ich odwiedzę dziś wieczorem, po obiedzie?

- Tak - odparła Alix ostro. - Nie powinienes przychodzić.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Dick odezwał się lekko zmienionym głosem.

- Wybacz mi - powiedział oficjalnym tonem.

- Oczywiście, nie będę wam przeszkadzał..

Alix szybko zaprzeczyła. Musiał uznać jej zachowanie za niezwykle. Ono istotnie było niezwykle. Nerwy miała w strzępach.

- Chciałam tylko powiedzieć... że dziś wieczorem jesteśmy zajęci - wyjaśniła starając się, by głos zabrzmiał naturalnie. - Może przyszedłbyś na obiad jutro?

Dick wyczuł w zaproszeniu wyraźny brak serdeczności.

- Dziękuję bardzo - powiedział sztywno - ale w każdej chwili mogę stąd wyjechać. Wszystko zależy od tego, czy pojawi się tu mój przyjaciel. Do widzenia, Alix. - Urwał, a potem dodał pośpiesznie innym tonem:

- Wszystkiego najlepszego, moja droga.

Alix z uczuciem ulgi odwiesiła słuchawkę. „Nie powinien tu przychodzić - powtórzyła do siebie. - Nie powinien. Och, ależ ze mnie idiotka! Że też wyobraźnia doprowadziła mnie do takiego stanu! Zresztą wszystko jedno, dobrze przynajmniej, że nie przyjdzie”.

Wzięła ze stołu słomkowy kapelusz. Zanim weszła do ogrodu, zatrzymała się na chwilę przed domem i spojrzała na napis wyryty nad gankiem: „Pod słowikami”.

- Czyż nie jest to wymyślna nazwa? - powiedziała do Geralda jeszcze przed ślubem, a Gerald się wówczas roześmiał.

- Moja mała mieszczko - odparł z czułością. - Nie sędzę, byś kiedykolwiek słyszała słowika. I jestem z tego faktu niezmiernie zadowolony. Słowiki śpiewają tylko dla zakochanych. W letnie wieczory będziemy ich słuchali razem, siedząc przed naszym domkiem.

Stojąc teraz na progu domu, Alix przypomniała sobie chwile, kiedy rzeczywiście słuchali razem słowików. Na to wspomnienie aż zarumieniła się z radości.

To Gerald znalazł domek „Pod słowikami”. Przyszedł wówczas do Alix ogromnie podekscytowany i oznajmił, że wyszukał miejsce w sam raz dla nich. Kiedy Alix zobaczyła dom, była nim również oczarowana. Co prawda leżał w miejscu trochę odludnym - trzy kilometry od najbliższej wsi - ale był uroczy, trochę staroświecki, a jednocześnie miał komfortowe łazienki, ciepłą wodę, elektryczność i telefon. Alix od razu poddała się jego osobliwemu urokowi. Pojawiły się jednak przeszkody. Właściciel, człowiek zamożny, kierując się własnymi kapryсами, odmówił wynajęcia domu. Zgadzał się wyłącznie na sprzedaż.

Gerald Martin, chociaż dysponował okazałymi dochodami, nie mógł w danej chwili naruszyć kapitału. Był w stanie co najwyżej zgromadzić tysiąc funtów, właściciel zaś żądał trzech tysięcy. Alix, której dom niezwykle przypadł do serca, zdecydowała się pomóc. Jej pieniądze, ulokowane w obligacjach na okaziciela, można było podjąć bez kłopotu, przeznaczyła więc połowę tej sumy na zakup domu. W ten oto sposób domek „Pod słowikami” stał się własnością nowożeńców. Ani przez chwilę Alix nie żałowała wyboru. To prawda, że trudno było znaleźć służbę doceniającą uroki wiejskiego odludzia - w tej chwili rzeczywiście nie mieli nikogo - ale Alix, stęskniona za rodzinnym życiem, niezwykle cieszyła się przyrządzaniem wymyślnych posiłków i zajmowaniem się domem.

Ogród, pełen wspaniałych kwiatów, pielęgnował stary ogrodnik, który przychodził ze wsi dwa razy w tygodniu.

Kiedy Alix wynurzyła się zza węgła domu, ze zdziwieniem spostrzegła owego ogrodnika, zajętego pracą przy rabatkach. Była zaskoczona, ponieważ ogrodnik przychodził w poniedziałki i piątki, dziś zaś była środa.

- Ależ, George, co tutaj robicie? - spytała podchodząc do niego.

Staruszek wyprostował się i pozdrowił ją, uchylając daszek wysłużonej czapki.

- Wiedziałem, że pani będzie zaskoczona. Ale sprawa ma się tak: w piątek dziedzic urządza przyjęcie, więc powiadam sobie, ani pan Martin, ani tym bardziej jego dobra żona, nie wezmą mi za złe, jeśli przyjdę raz w środę zamiast w piątek.

- Wszystko w porządku - zgodziła się Alix. - Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić na przyjęciu.

- I ja tak myślę - powiedział George z prostotą.

- Przyjemnie jest się najeść ze świadomością, że się za nic nie płaci. Dziedzic urządza podwieczorek dla swych dzierżawców. Pomyślałem sobie, że zdążę zobaczyć się z panią, zanim pani wyjedzie, i dowiem się przy okazji, jak sobie pani życzy obsadzić brzegi klombów. Podejrzewam, że nie wie pani dokładnie, kiedy pani wróci?

- Ależ ja nigdzie nie wyjeżdżam.

- Nie jedzie pani jutro do Londynu? - George wytrzeszczył oczy.

- Nie. Skąd wam to przyszło do głowy?

- Wczoraj we wsi spotkałem pana Martina - obruszył się George. - Powiedział mi, że jutro wyjeżdżacie państwo do Londynu i nie wiadomo, kiedy wróćcie.

- Bzdura - powiedziała Alix z uśmiechem. - Musiałeś go źle zrozumieć.

Zaczęła się jednak poważnie zastanawiać, co też takiego mógł powiedzieć Gerald, że ogrodnik wyciągnął tak niedorzeczny wniosek. Wyjazd do Londynu? Nigdy więcej nie chciała wyjeżdżać do Londynu.

- Nienawidzę Londynu - wyrwało jej się niechcący.

- Aha - skonstatował George. - Widocznie musiałem się pomylić, ale zdawało mi się, że pan powiedział dość jasno. Cieszę się, że państwo tu zostają. Nie rozumiem, po co to się gdzieś szwendać. Mnie Londyn nie obchodzi, nigdy nie musiałem tam jeździć. Samochody - oto utrapienie naszych czasów! Gdy tylko ludzie kupią samochód, to cud boski, jeśli usiedzą w jednym miejscu. Pan Ames, poprzedni właściciel domu, był miłym, spokojnym dżentelmenem, póki nie kupił sobie samochodu. Za ledwie minął miesiąc i już wystawił dom na sprzedaż. A przecież włożył w niego niezłą sumkę... Te wszystkie urządzenia w łazienkach, elektryczność... „Nigdy to się panu nie zwróci” - powiedziałem mu, a on na to: „Co też mówisz, dostanę za ten dom dwa tysiące funtów, co do pensa”. No i z pewnością dostał.

- Otrzymał trzy tysiące - powiedziała Alix z uśmiechem.

- Dwa tysiące - powtórzył George. - To była suma, której wówczas żądał.

- W rzeczywistości były trzy tysiące - odrzekła Alix.

- Kobiety nie mają głowy do cyfr - odparł George nieprzekonany. - Nie powie mi pani, że pan Ames miał czelność stanąć przed panią i zażądać trzech tysięcy?

- Nie rozmawiał o tym ze mną - wyjaśniła Alix. - Powiedział to mojemu mężowi.

- Cena wynosiła dwa tysiące - powtórzył z uporem George, pochylając się nad rabatką.

Alix zrezygnowała z dalszego sporu. Podeszła do klombu i zaczęła zrywać kwiaty. Gdy z pachnącym bukietem wracała do domu, na jednej z mijanych rabatki zauważyła leżący

wśród liści mały ciemnozielony przedmiot. Zatrzymała się i podniosła go. Był to kieszonkowy notes jej męża.

Z rozbawieniem przeglądała zapisane w nim notatki. Zaraz po ślubie spostrzegła, że impulsywny i uczuciowy Gerald był jednocześnie człowiekiem zdyscyplinowanym i pedantycznym. Niezwykle drobiazgowo przestrzegał pór posiłków i każdy dzień planował z dokładnością rozkładu jazdy pociągów.

Wertując kartki notesu, z rozczeniem przeczytała zapis pod datą 14 maja: Ślub z Alix w katedrze św. Piotra o 14.30.

- Głuptasek - szepnęła do siebie, przerzucając strony. Nagle przystanęła.

Środa, 18 czerwca. Przecież to dzisiaj!

Pod tą datą Gerald napisał swym porządnym, pedantycznym pismem: 9 wieczorem. Nic więcej. Co też Gerald zamierzał robić o dziewiątej? Alix zamyśliła się głęboko, ale po chwili uśmiechnęła pod nosem; skojarzyła tę historię z podobnymi, o których czytała w gazetach. Dzięki notesikowi zapewne można dokonać jakichś sensacyjnych odkryć. Niewątpliwie powinno tu gdzieś być imię innej kobiety... Jednak na próżno kartkowała strony. Widniały tam daty, spotkania, tajemnicze uwagi dotyczące interesów, ale pojawiało się tylko jedno, jedyne imię kobiece - jej własne.

Kiedy jednak schowała notes do kieszeni i weszła z naręczem kwiatów do domu, uświadomiła sobie nagle, że jest lekko zaniepokojona. Przyszły jej na myśl słowa wypowiedziane przez Dicka Windyforda: „Ten człowiek jest ci całkowicie obcy. Nic o nim nie wiesz”. Słowa te brzmiały w uszach tak wyraźnie, jak gdyby sam Dick stał tuż obok i je powtarzał.

W tych słowach była prawda. Co właściwie wiedziała o Geraldzie? W końcu miał już czterdzieści lat. Musiały być w jego życiu inne kobiety...

Alix otrząsnęła się z irytacją. Nie powinna dopuszczać do siebie takich myśli. W tej chwili miała zresztą istotniejszą sprawę do rozważenia. Czy powinna powiedzieć mężowi o telefonie Dicka Windyforda?

Możliwe, że Gerald spotkał już Dicka we wsi. Wówczas z pewnością sam o tym wspomni, jak tylko wejdzie, i sprawa od razu przybierze inny obrót. W przeciwnym wypadku... Co robić? Alix uświadamiała sobie wyraźnie, że pragnie zataić ten fakt.

Jeśli powie, że dzwonił Dick Windyford, Gerald na pewno zechce go zaprosić do domu. Wtedy będzie musiała wyjaśnić, że Dick chciał przyjść, ale ona wymówiła się od zaproszenia. I kiedy zapyta ją, dlaczego tak postąpiła, co mu wówczas odpowie? Zwierzy się

ze snu? On zapewne roześmieje się albo, co gorsze, uzna, że Alix przywiązuje wagę do spraw, które dla niego są zupełnie nieistotne.

W końcu, trochę zakłopotana, Alix zdecydowała się nic nie mówić. Po raz pierwszy zataiła coś przed mężem i z tego powodu czuła się zażenowana.

Kiedy na krótko przed obiadem usłyszała kroki Geralda wracającego ze wsi, pośpieszyła do kuchni i aby ukryć zmieszanie, udała, że jest zajęta gotowaniem.

Od razu się zorientowała, że Gerald nie spotkał Dicka Windyforda. Odczuła ulgę, ale zakłopotanie pozostało. Wiedziała, że w tym momencie wkroczyła na drogę sekretnej dyplomacji.

Dopiero kiedy zjedli kolację i siedzieli w salonie, którego sufit zdobiły dębowe belki, Alix przypomniała sobie o znalezionym notesie. Przez szeroko otwarte okna wpadało świeże, wieczorne powietrze, przesycone zapachem fiołków i białych lewkonii.

- Oto czym podlewałeś kwiaty - powiedziała, rzucając mężowi notes na kolana.

- Zgubiłem go w ogrodzie, prawda?

- Tak. I teraz znam wszystkie twoje tajemnice.

- Niewinny - powiedział Gerald, potrząsając głową.

- A co z twoim dzisiejszym spotkaniem o dziewiątej?

- Ach, to... - Przez moment sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale po chwili uśmiechnął się, jak gdyby coś szalenie go rozbawiło. - To spotkanie z wyjątkowo miłą dziewczyną, której na imię Alix. Ma ciemne włosy, niebieskie oczy i jest bardzo podobna do ciebie.

- Odbiegasz od tematu - powiedziała Alix z udawaną surowością.

- Ależ skądże. Zanotowałem sobie, żeby nie zapomnieć o wywołaniu kilku negatywów dziś wieczorem. Chcę, żebyś mi pomogła.

Gerald Martin był zapalonym fotografem. Miał trochę staroświecki aparat, za to z doskonałymi obiektywami,

i wywoływał klisze w małej piwnicy, gdzie urządził ciemnie.

- I to musi zostać zrobione dokładnie o dziewiątej? - zakpiła Alix.

Gerald wyglądał na lekko zirytowanego.

- Moja droga - powiedział z pewnym rozdrażnieniem. - Zawsze powinno się planować wszystkie czynności na określonej porę. Wówczas pracę wykonuje się prawidłowo.

Alix milczała przez chwilę, przypatrując się uważnie mężowi. Siedział w fotelu, z ciemną głową odrzuconą do tyłu, i palił. Wyraziste rysy gładko wygolonej twarzy odcinały się

od ciemnego tła. I nagle, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, ogarnęła ją fala strachu. Nie mogąc się powstrzymać, wykrzyknęła:

- Och, Geraldzie, chciałbym więcej o tobie wiedzieć! Mąż zwrócił ku niej zdumioną twarz.

- Ależ, kochana Alix, wiesz o mnie wszystko. Opowiadałem ci o dzieciństwie w Northumberlandzie, życiu w Afryce Południowej i o tych ostatnich dziesięciu latach spędzonych w Kanadzie, gdzie odniosłem sukces.

- Ach, interesy! - powiedziała Alix z lekceważeniem. Gerald roześmiał się nagle.

- Już wiem, co masz na myśli. Przygody miłosne. Wy, kobiety, jesteście wszystkie takie same. Nic was nie interesuje oprócz spraw osobistych.

Alix poczuła, że zasycha jej w gardle. Wyszepiała niewyraźnie:

- Och, przecież musiałeś mieć... przygody miłosne. To znaczy... chciałabym tylko wiedzieć...

Przez chwilę znów panowała cisza. Gerald Martin zmarszczył brwi, a na jego twarzy malowało się niezdecydowanie. Wreszcie odezwał się poważnym głosem bez cienia poprzedniej żartobliwości:

- Czy masz na myśli, Alix, jakieś... tajemnice alkowy Sinobrodego? Owszem, były kobiety w moim życiu. Nie zaprzeczam. Nie uwierzyłybyś zresztą, gdybym zaprzeczył. Jednak mogę ci przysiąc, że żadna z nich nic dla mnie nie znaczyła. - W jego głosie zabrzmiała szczerłość, która podniosła Alix na duchu. - Czy jesteś zadowolona? - dodał z uśmiechem, po czym spojrzał na żonę z pewnym zaciekawieniem. - Cóż to skierowało twe myśli na tak nieprzyjemny temat właśnie dziś wieczorem?

Alix wstała i zaczęła niespokojnie spacerować po pokoju.

- Och, sama nie wiem - powiedziała. - Przez cały dzień byłam zdenerwowana.

- To dziwne - mruknął Gerald, jak gdyby mówił do siebie. - To bardzo dziwne.

- Dlaczego cię to dziwi?

- Och, moja droga, nie gniewaj się na mnie. Powiedziałem, że to dziwne, jedynie dlatego, że zazwyczaj jesteś taka słodka i spokojna. Alix uczyniła wysiłek, aby się uśmiechnąć.

- Wszystko dziś przysięgło się przeciwko mnie - wyznała. - Nawet stary George wbił sobie do głowy jakiś niedorzeczny pomysł, że wyjeżdżamy do Londynu. Powiedział, że ty mu o tym doniosłaś.

- Gdzie go widziałaś? - spytał Gerald ostrym tonem.

- Pracował dzisiaj w ogrodzie, żeby nie przychodzić w piątek.

- Przeklęty stary dureń - powiedział Gerald gniewnie.

Alix wpatrywała się w niego zdumionym wzrokiem. Twarz jej męża była wykrzywiona z wściekłości. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Gerald, zauważywszy jej zaskoczenie, z trudem się opamiętał.

- Och, to skończony stary dureń - zapewnił uroczyście.

- Co mu takiego powiedziałaś, że wyciągnął błędny wniosek?

- Ja? Niczego nie powiedziałem. Przynajmniej... och, tak, teraz sobie przypominam; dziś rano zażartowałem, mówiąc coś o Londynie, a on, przypuszczam, wziął to na serio albo źle usłyszał. Oczywiście wyprowadziłaś go z błędu?

Niecierpliwie wyczekiwał odpowiedzi.

- Rzecz jasna, ale to uparty staruszek, który jeśli raz wbije sobie coś do głowy, trudno go przekonać.

Następnie opowiedziała o uporze George'a w kwestii ceny domu.

Gerald przez chwilę milczał, po czym wolno odpowiedział:

- Ames zgodził się wziąć dwa tysiące gotówką, a tysiąc zostawił na hipotecę. Sądzę, że stąd wzięło się całe nieporozumienie.

- Bardzo możliwe - zgodziła się Alix. - Powinniśmy zejść już na dół, Geraldzie. - Złośliwie wskazała palcem na zegar. - Jesteśmy pięć minut spóźnieni.

Na twarzy Geralda Martina pojawił się bardzo dziwny uśmiech.

- Zmieniłem zdanie - powiedział cicho. - Nie będę dziś wywoływał zdjęć.

Dziwna jest psychika kobiety. Tej środowej nocy, leżąc w łóżku, Alix była zadowolona i spokojna. Na chwilę utracone poczucie szczęścia ponownie z tryumfem zagościło w jej sercu.

Jednak następnego dnia wieczorem zdała sobie sprawę, że jakieś nieuchwytnie siły pracują nad tym, aby je zburzyć. Dick Windyford po raz drugi nie zadzwonił, mimo to wyczuwała w tym wszystkim wpływ jego osoby. Stale powracały do niej te same słowa: „Ten człowiek jest ci całkowicie obcy. Nic o nim nie wiesz”. Wraz z nimi stawała jej w pamięci wyraziście utrwalona twarz Geralda, gdy mówił: „Czy masz na myśli, Alix, jakieś... tajemnice alkowy Sinobrodego?” Dlaczego tak się wyraził?

W słowach tych pobrzmiwało ostrzeżenie - cień groźby. Zupełnie tak samo, jakby powiedział: „Lepiej nie szperaj w moim życiu, Alix, bo możesz doznać okropnego wstrząsu”.

W piątek rano Alix przekonała samą siebie, że musiała być w życiu Geralda jakaś kobieta, której istnienie chciał przed nią ukryć. Z wolna budząca się zazdrość ogarnęła ją teraz na dobre.

Czy tamtego wieczoru o dziewiątej miał się spotkać z kobietą? Czy historyjka o wywoływaniu zdjęć była kłamstwem stworzonym na użytek chwili?

Jeszcze trzy dni temu mogłaby przysiąc, że zna męża na wskroś. Teraz odnosiła wrażenie, że Gerald jest obcym człowiekiem, o którym ona nic nie wie. Przypomniała sobie, jak bezsensownie rozgniewał się na starego George'a. Ten wybuch złości nie pasował do jego zazwyczaj spokojnego zachowania. Drobiazg - być może - ale uzmysławiał, że tak naprawdę wcale nie znała mężczyzny, który był jej mężem.

W piątek po południu zaproponowała, że uda się do wsi zrobić konieczne sprawunki. Ku swemu zdumieniu napotkała gwałtowny sprzeciw ze strony Geralda. Nalegał, żeby to ona została w domu i popracowała w ogrodzie, natomiast on sam pójdzie po zakupy. Alix w końcu ustąpiła, ale dziwny upór męża zaskoczył ją i zaniepokoił. Dlaczego tak bardzo mu zależało, żeby nie poszła do wsi?

Nagle doznała olśnienia. Możliwe przecież było, że Gerald, choć jej o tym nie wspomniał, spotkał we wsi Dicka Windyforda! Ona stała się zazdrosna o męża dopiero teraz. Może z Geraldem było inaczej? Może po prostu nie chciał, aby spotkała ponownie Dicka Windyforda? To wyjaśnienie było logiczne i jednocześnie kojące jej niepokój, Alix więc uchwyciła się go skwapliwie.

Minęła jednak pora podwieczorku, a Alix nadal odczuwała zdenerwowanie. Od chwili wyjścia Geralda z domu walczyła z przemożną pokusą. Wreszcie, zaopatrzywszy się dla zachowania pozorów w ściereczkę do kurzu, poszła na górę do garderoby męża, po drodze uspokajając sumienie, że przecież kiedyś trzeba dokładnie tam posprzątać.

- Jeśli tylko miałabym pewność - powtarzała sobie. - Jeśli mogłabym być pewna...

Z jednej strony przekonywała się, że wszystkie kompromitujące rzeczy na pewno zostałyby dawno temu zniszczone, z drugiej zaś podpowiadała sobie, że czasami mężczyźni ze względów sentymentalnych zachowują obciążające dowody.

W końcu uległa pokusie. Z policzkami płonącymi ze wstydu, zadyszana, przeszukała pliki listów i dokumentów, przewróciła wszystko w szufladach, zajrzała nawet do kieszeni ubrań męża. Tylko dwie szuflady zamknięte były na klucz: dolna szuflada komody oraz szufladka po prawej stronie biurka. Alix straciła już nadzieję. Prześladowała ją myśl, że w

przeszłości Geralda istniała jakaś kobieta. Była teraz przekonana, że w jednej z tych szuflad znajdzie na to dowody.

Przypomniała sobie, że Gerald w roztargnieniu zostawił swoje klucze na dole, na kredensie. Przyniosła je i próbowała jeden po drugim dopasować do zamków. Trzeci z kolei klucz pasował do szuflady w biurku. Alix otworzyła ją z rozmachem. W środku leżała książeczka czekowa, wypchany banknotami portfel, w głębi zaś przewiązany wstążeczką pakiet listów.

Oddychając nierówno, Alix rozwiązała wstążkę. Nagle ciemny rumieniec oblał jej twarz. Odłożyła listy z powrotem na miejsce, zasunęła szufladę i zamknęła ją na klucz. To były jej własne listy, które pisała przed ślubem do Geralda Martina.

Podeszła teraz do komody. Nie spodziewała się tam niczego znaleźć, ale postanowiła nie pominąć ostatniej możliwości.

Zirytowała się, ponieważ żaden z kluczy Geralda nie pasował do zamka. Nie dając za wygraną, przyniosła klucze z innych pokoi. Udało się. Klucz do szafy z pokoju gościnnego pasował. Przekręciła zamek i wysunęła szufladę. Nie było w niej niczego poza zwojem przybrudzonych i wyblakłych ze starości wycinków prasowych.

Alix odetchnęła z ulgą. Rzuciła jednak okiem na owe wycinki, ciekawa, co też tak interesowało Geralda, że zadał sobie tyle trudu, by je przechowywać. Prawie wszystkie wycinki pochodziły z amerykańskich gazet sprzed około siedmiu lat i dotyczyły procesu notorycznego oszusta i bigamisty, Charlesa Lemaitre'a. Lemaitre był podejrzewany o mordowanie kobiet. Pod podłogą jednego z domów, które wynajmował, znaleziono szkielet. O większości kobiet, które „poślubił”, wszelki śluch zaginął.

Wybronił się z oskarżenia z niezwykłą zręcznością, wspomagany przez kilku najlepszych prawników w Stanach Zjednoczonych. Wydano werdykt „nie udowodniono”, który być może najlepiej wyjaśniał sprawę. Z braku dowodów uniewinniono Lemaitre'a z głównego oskarżenia, chociaż skazano go na wieloletnie więzienie na podstawie innych wniesionych przeciw niemu oskarżeń.

Alix przypomniała sobie, jakie podniecenie swego czasu wzbudzała ta sprawa oraz sensację wywołaną ucieczką Lemaitre'a w trzy lata później. Nigdy go nie złapano. Angielska prasa poświęciła wówczas wiele miejsca tej sprawie, opisując osobowość przestępcy oraz niezwykły wpływ, jaki wywierał na kobiety. Relacjonowano egzaltowane reakcje oskarżonego na sali sądowej, jego gorące protesty i nagłe omdlenia, spowodowane, jak się

okazało, chorobą serca, choć nieświadomi tego faktu skłonni byli przypisywać je raczej zdolnościom aktorskim.

Na jednym z wycinków zamieszczona była fotografia. Alix przyglądała się jej z zainteresowaniem. Na zdjęciu widniała twarz brodatego mężczyzny o wyglądzie uczonego.

Kogo ta twarz jej przypominała? I nagle z przerażeniem stwierdziła, że to Gerald we własnej osobie! Oczy i brwi były bardzo podobne. Może dlatego Gerald zatrzymał te wycinki... Przykuła jej uwagę notatka zamieszczona obok fotografii. Napisano, że daty zaznaczone w notesiku oskarżonego odpowiadały datom kolejnych morderstw. Jakaś kobieta złożyła zeznanie, w którym zidentyfikowała więźnia na podstawie pieprzyka na lewym nadgarstku, poniżej dłoni.

Alix zachwiała się i upuściła papiery. Na lewym nadgarstku jej mąż miał małą bliznę...

Pokój zawirował jej przed oczami. Od razu nabrała tak całkowitej pewności, że sama była tym zaskoczona. Gerald Martin to Charles Lemaitre! Pojęła to i w oka mgnienia przyjęła do wiadomości. W głowie kłębiły jej się chaotyczne myśli, które, niczym elementy obrazkowej układanki, zaczynały do siebie pasować.

Pieniądze zapłacone za dom - jej pieniądze, wyłącznie jej pieniądze! Obligacje na okaziciela, które zawierzyła pieczy męża... Nareszcie zrozumiała swój sen. W głębi duszy, podświadomie, zawsze bała się Geralda Martina i chciała od niego uciec. To jej podświadomość zwracała się ku Dickowi Windyfordowi. Zapewne i w tym tkwiła przyczyna, że teraz mogła tak łatwo przyjąć prawdę, bez wątpliwości i wahania. Miała stać się kolejną ofiarą Lemaitre'a. Być może już wkrótce...

Nagle przypomniała sobie: środa 9 wieczorem. Nieomal krzyknęła. Piwnica, w której bez trudu można było podnieść płyty podłogowe! Już kiedyś pogrzebał jedną ze swych ofiar w piwnicy. Wszystko zostało zaplanowane na środę wieczór. Ale żeby to z góry odnotować, w sposób tak metodyczny - szaleństwo! Ależ nie, przecież to było logiczne! Gerald zawsze notował daty swoich spotkań; morderstwo było dla niego takim samym przedsięwzięciem, jak każde inne...

Co ją ocaliło? Co takiego mogło ją ocalić? Czyżby się wzruszył w ostatniej chwili? Nie. Nagle zrozumiała - stary George!

Dopiero teraz pojęła przyczynę wybuchu złości Geralda. Niewątpliwie przygotowywał grunt, oświadczając każdemu, kogo napotkał, że nazajutrz wyjeżdżają do Londynu. Tymczasem George, przyszedłszy niespodziewanie do pracy, wspomniawszy o tym, ona zaś kategorycznie zaprzeczyła. Zamordowanie jej tego wieczoru stanowiło więc zbyt duże

ryzyko, zważywszy, że ogrodnik mógłby przypomnieć sobie tę rozmowę. Cóż za szczęśliwe ocalenie! Gdyby jednak nie napomknęła o tej błahej sprawie... Alix zadrżała.

Nie było czasu do stracenia. Musiała natychmiast uciec - uciec, zanim on wróci. W pośpiechu odłożyła na miejsce zwój wycinków. Wsunęła i zamknęła szufladę.

Nagle zastygła w bezruchu. Usłyszała skrzyp furtki, Gerald wrócił.

Przez moment stała jak sparaliżowana. Potem na palcach podeszła do okna i wyjrzała zza zasłony.

Tak, to był jej mąż. Uśmiechał się do siebie i nucił coś wesołego pod nosem. Serce Alix niemal przestało bić, kiedy zobaczyła, co Gerald trzyma w ręku. Była to nowa łopata.

Alix instynktownie zrozumiała. To ma się stać dzisiaj...

Ale istniała jeszcze szansa ucieczki. Gerald, nucąc pod nosem, skierował się na tył domu.

Nie wahając się ani przez chwilę, zbiegła ze schodów i wypadła przed dom. Gdy tylko pojawiła się w drzwiach, zza węgła wyłonił się mąż.

- Cześć - powiedział. - Dokąd tak pędzisz?

Alix rozpaczliwie usiłowała zachować spokój. Na razie nie udało się uciec, ale jeśli zachowa ostrożność i nie wzbudzi w nim żadnych podejrzeń, szansa pojawi się znów. Być może nawet teraz...

- Miałam zamiar trochę pospacerować - powiedziała głosem, który zabrzmiał słabo i niepewnie nawet dla niej samej.

- Dobrze - powiedział. Gerald. - Pójdę z tobą.

- Nie... proszę cię, Geraldzie. Jestem zdenerwowana... Boli mnie głowa... Wolałabym pójść sama.

Spojrzał na nią badawczo. Przez chwilę miała wrażenie, że w jego oczach pojawił się cień podejrzliwości.

- Co się z tobą dzieje, Alix? Jesteś blada, cała drżysz.

- Nic mi nie jest. - Zdobyła się na chwilowy uśmiech. - Trochę mnie boli głowa. Spacer dobrze mi robi.

- To niezbyt miło z twojej strony, że nie życzysz sobie mojego towarzystwa - oświadczył Gerald, uśmiechając się swobodnie. - Pójdę z tobą, czy tego chcesz, czy nie.

Nie ośmieliła się dłużej protestować. Mógłby zacząć coś podejrzewać...

Z trudem opanowała emocje i starała się zachowywać możliwie normalnie. Jednak kiedy Gerald spoglądał na nią raz po raz z ukosa, odnosiła niepokojące wrażenie, że nie został całkowicie przekonany. Czuła, że niezupełnie udało jej się rozwiać jego podejrzenia.

Po powrocie do domu nalegał, aby się położyła. Przyniósł jej wodę kolońską do natarcia skroni. Zachowywał się jak oddany małżonek. Alix czuła się bezsilna niczym mysz schwytana w pułapkę.

Ani przez chwilę nie zostawiał jej samej. Pomógł przynieść z kuchni przygotowaną uprzednio prostą, zimną kolację. Zmuszała się do jedzenia, choć stawało jej w gardle, i starała się sprawiać wrażenie zadowolonej i naturalnej. Zdawała sobie sprawę, że walczy o życie. Była sama z tym mężczyzną, z dala od ludzi, całkowicie na jego łasce. Jedyna szansa tkwiła w uśpieniu jego podejrzeń tak dalece, by mogła pozostać przez chwilę sama i zatelefonować z holu po pomoc. To była teraz jedyna nadzieja.

Nagle, z błyskiem nadziei, przypomniała sobie, jakie okoliczności sprawiły, że uprzednio zrezygnował ze swego planu. A gdyby mu powiedziała, że Dick Windyford odwiedzi ich dziś wieczorem?

Słowa jednak zamarty jej na ustach. Ten człowiek nie zawaha się po raz drugi. Pod maską spokojnego zachowania skrywał determinację i podniecenie, które Alix obserwowała ze ściśniętym sercem. Mówiąc o Dicku, mogłaby jedynie przyspieszyć zbrodnię. Zamordowałby ją, a potem spokojnie by zadzwonił do Dicka Windyforda, wymyślając bajeczkę o nagłej konieczności wyjazdu. Och! Gdyby tylko Dick Windyford przyszedł dziś wieczorem! Gdyby Dick...

Raptem wpadł jej do głowy pewien pomysł. Zerknęła niespokojnie na męża w obawie, czy przypadkiem nie czyta w jej myślach. Układając plan, pokrzepiła się na duchu. Zaczęła zachowywać się tak naturalnie, że aż podziwiała samą siebie.

Zaparzyła kawę i wyniosła ją na ganek, gdzie często przesiadywali w ciepłe wieczory.

- Wiesz - odezwał się nagle Gerald - później wywołamy te fotografie.

Alix przeszły po plecach ciarki, ale odpowiedziała obojętnym głosem:

- Nie mógłbyś zrobić tego sam? Jestem dziś trochę zmęczona.

- To nie potrwa długo. - Uśmiechnął się pod nosem. - Zapewniam cię, że potem nie będziesz zmęczona.

Zdawało się, że te słowa go rozbawiły. Alix wzdrygnęła się. Najwyższy czas rozpocząć działanie. Teraz albo nigdy.

- Idę zadzwonić do rzeźnika - powiedziała obojętnie, wstając. - Nie fatyguj się.

- Do rzeźnika? O tej porze?

- To prawda, że sklep jest zamknięty, głuptasku. Zadzwoń do rzeźnika do domu. Jutro jest sobota. Chcę, żeby dostarczył mi wcześniej kilka cielecych kotletów, zanim ktoś inny sprzątnie mi je sprzed nosa. Ten miły człowiek zrobi dla mnie wszystko.

Weszła szybko do domu, zamykając za sobą drzwi. Usłyszała głos Geralda.

- Nie zamykaj drzwi.

- Nie chcę, żeby wleciały ćmy - powiedziała swobodnie. - Nienawidzę ich. Nie obawiasz się chyba, że zamierzam umówić się z rzeźnikiem na randkę?

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer zajazdu „Pod godłem podróżnika”. Natychmiast uzyskała połączenie.

- Czy pan Windyford jeszcze u was mieszka? Mogę z nim rozmawiać?

Nagle serce w niej zamarło. Otworzyły się drzwi i Gerald z impetem wpadł do holu.

- Idź stąd, Geraldzie - powiedziała rozdrażniona. - Nie znoszę, gdy ktoś podsłuchuje moje rozmowy telefoniczne.

W odpowiedzi jedynie się roześmiał i ostentacyjnie usiadł na krześle.

- Jesteś pewna, że dzwonisz do rzeźnika? - zapytał z drwiną w głosie.

Alix była zrozpaczona. Cały plan spalił na panewce. Za chwilę Dick podejdzie do telefonu. Może powinna zaryzykować i zawołać pomocy?

I nagle, gdy nerwowo naciskała i uwalniała mały przycisk na trzymanej w rękę słuchawce, dzięki któremu głos mógł dochodzić, bądź nie, do rozmówcy na drugim końcu linii, wpadł jej do głowy nowy pomysł.

To będzie trudne, pomyślała, ale nie mogę stracić głowy. Muszę dobrać odpowiednie słowa i w niczym się nie pomylić. Wierzę, że mi się uda. Musi się udać.

W tym momencie usłyszała w słuchawce głos Dicka Windyforda.

Alix głęboko odetchnęła. Mocno przycisnęła klawisz i powiedziała:

- Mówi pani Martin z domku „Pod słowikami”? Proszę przyjść - uwolniła przycisk - jutro rano z sześcioma ładnymi kotletami cielecymi. - Znowu wcisnęła przycisk. To bardzo ważne. - Zwolniła przycisk. - Dziękuję panu, panie Haxworthy. Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale te cielece kotlety to dla mnie naprawdę sprawa - znowu wcisnęła klawisz - życia i śmierci.

Uwolniła przycisk. - Bardzo dobrze, jutro rano - wcisnęła klawisz - tak szybko jak to możliwe.

Odłożyła słuchawkę na widełki i z trudem łapiąc oddech, odwróciła się do męża.

- Więc to tak rozmawiasz z rzeźnikiem? - powiedział Gerald.

- Z kobiecym wdziękiem - odparła Alix swobodnie.

Z wysiłkiem opanowała podniecenie. Gerald niczego się nie domyślił. Dick, nawet jeżeli nie zrozumiał, przyjdzie.

Weszła do salonu i zapaliła światło. Gerald pośpieszył za nią.

- Jesteś niezwykle ożywiona - powiedział, przypatrując się jej ciekawie.

- Owszem - odrzekła Alix. - Przestała mnie boleć głowa.

Usiadła tam, gdzie zwykle i uśmiechnęła się do męża, gdy ten zatopił się w swoim fotelu naprzeciwko niej. Była ocalona. Zegar wskazywał dopiero dwadzieścia pięć po ósmej. Dick na pewno zdąży przybyć przed dziewiątą.

- Kawa, którą mi podałaś, nie smakowała mi - poskarżył się Gerald. - Była bardzo gorzka.

- To nowy gatunek, który kupiłam na próbę. Skoro ci nie smakuje, nie będziemy go więcej używać, kochanie.

Alix wzięła robótkę i zaczęła szyć. Gerald przeczytał parę stron książki, po czym, spojrzawszy na zegar, odłożył ją.

- Wpół do dziewiątej. Pora zejść do piwnicy i rozpocząć pracę.

Robótką wysunęła się Alix z rąk.

- Och, jeszcze nie. Zaczekamy do dziewiątej.

- Nie, moja droga, wpół do dziewiątej. Taki czas ustaliłem. Będziesz mogła wcześniej pójść do łóżka.

- Wolałabym poczekać do dziewiątej.

- Przecież wiesz, że kiedy ustalę konkretną godzinę, zawsze się jej trzymam. Chodź, Alix. Nie zamierzam czekać ani chwili.

Alix spojrzała na męża i ogarnęło ją przerażenie. Gerald odsłonił swe prawdziwe oblicze. Zaciskał nerwowo ręce, oczy błyszczały mu gorączkowo, co chwilę oblizywał wyschnięte wargi. Nie starał się już ukrywać podniecenia.

To prawda, pomyślała Alix, on nie może czekać. Wygląda na szaleńca.

Podszedł do niej, schwycił gwałtownie za ramię i podniósł.

- Chodź już albo cię tam zaniosę.

Te słowa, wypowiedziane z nie ukrywaną okrutną wesołością, poraziły Alix. Nadludzkim wysiłkiem wyrwała mu się z rąk i, skulona, przywarła do ściany. Była bezbronna. Zbliżał się ku niej, a ona nie mogła uciec, niczego nie była w stanie zrobić.

- No chodź, Alix...

- Nie! - krzyknęła, bezsilnie wyciągając ręce w geście obrony. - Geraldzie, zatrzymaj się... Muszę ci coś powiedzieć, coś wyznać...

Zatrzymał się.

- Wyznać? - zapytał z zaciekawieniem.

- Tak, wyznać. - Użyła tych słów przypadkowo, ale kontynuowała wątek, usiłując rozpaczliwie wzbudzić jego zainteresowanie.

Cień pogardy pojawił się w jego oczach.

- Dawny kochanek, przypuszczam? - zadrwił.

- Nie - odparła. - Co innego. Sądzę, że nazwałbyś to... tak, nazwałbyś to zbrodnią.

Nagle zauważyła, że uderzyła we właściwą strunę. Zdołała przykuć jego uwagę. Odzyskała zimną krew i znowu poczuła się panią sytuacji.

- Lepiej usiądź - powiedziała cicho. Sama przeszła przez pokój i usiadła w swoim fotelu. Pochyliła się i podniosła robótkę. Zachowując pozory spokoju, gorączkowo wymyślała historię, która mogłaby wzbudzić zainteresowanie Geralda do czasu nadejścia pomocy.

- Powiedziałam ci - zaczęła wolno - że przez piętnaście lat pracowałam jako stenotypistka. Niezupełnie tak było. Dwa razy przerywałam pracę. Pierwszy raz, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata. Spotkałam mężczyznę, starszego mężczyznę z niewielkim majątkiem. Zakochał się we mnie i poprosił o rękę. Zgodziłam się i wzięliśmy ślub. - Urwała. - Skłoniłam go, aby ubezpieczył się na życie na moją korzyść.

Dostrzegła nagły błysk zainteresowania na twarzy Geralda, więc ciągnęła ze zdwojoną pewnością siebie:

- Podczas wojny pracowałam jakiś czas w szpitalnej aptece. Miałam tam dostęp do różnego rodzaju rzadkich narkotyków i trucizn. - Przerwała, jak gdyby zastanawiając się. Jej mąż był teraz ogromnie zainteresowany. Nie wątpiła, że mordercę musi interesować zbrodnia. Postawiła na to i wygrała. Ukradkiem spojrzała na zegar. Była za dwadzieścia pięć dziewięć. - Jest taki drobnutki biały proszek, którego szczypta oznacza śmierć. Czy przypadkiem znasz się na truciznach?

Zadała to pytanie z lekkim niepokojem. Gdyby się znał, musiałyby bardzo uważać.

- Nie - odparł Gerald. - Niewiele o tym wiem. Odetchnęła z ulgą.

- Niewątpliwie słyszałeś o skopolaminie? Jest całkowicie niewykrywalna. Daje objawy ataku serca. Każdy lekarz postawi taką diagnozę. Ukradłam niewielką ilość tego środka.

Przerwała, żeby nabrać sił.

- Mów dalej - powiedział Gerald.

- Nie. Boję się. Nie mogę ci powiedzieć. Może innym razem.

- Chcę to usłyszeć teraz - rzucił niecierpliwie.

- Byliśmy miesiąc po ślubie. Okazywałam memu leciwemu mężowi dużo dobroci, oddania i poświęcenia. Chwalił mnie przed wszystkimi sąsiadami. Każdy uważał mnie za doskonałą żonę. Wieczorami przyrządzałam mu kawę... Pewnego razu, kiedy byliśmy sami, wsypałam do jego filiżanki odrobinę śmiertcionośnego alkaloidu... Alix zamilkła i powtórnie starannie nawlekła igłę. Ona, kobieta, która przez całe życie nie potrafiła grać, teraz stanęła w szranki z największymi aktorkami światowej sceny. Wcieliła się w rolę bezwzględnej trucicielki. Odbyło się to bardzo spokojnie. Siedziałam i obserwowałam go. Najpierw zabrakło mu powietrza i poprosił o otwarcie okna. Zrobiłam to. Potem powiedział, że nie może wstać z fotela. I po chwili umarł.

Przerwała uśmiechając się. Była za kwadrans dziewiąta. Na pewno za chwilę przybędzie pomoc.

- Na ile opiewało ubezpieczenie? - spytał Gerald.

- Dwa tysiące funtów. Grałam na giełdzie i straciłam je. Wróciłam do pracy w biurze. Nie zamierzałam jednak pozostać tam długo. Wkrótce poznałam innego mężczyznę. W pracy posługiwałam się panięńskim nazwiskiem. Nie wiedział, że byłam przedtem mężatką. Był dosyć młody, przystojny i dobrze sytuowany. Wzięliśmy cichy ślub w Sussex. Co prawda nie chciał ubezpieczyć się na życie, ale sporządził testament na moją korzyść. Życzył sobie, tak jak mój pierwszy mąż, abym sama parzyła mu kawę. - Alix uśmiechnęła się i gładko dodała: Robię bardzo dobrą kawę.

- We wsi, gdzie mieszkaliśmy - ciągnęła po chwili miałam wielu przyjaciół. Bardzo mi współczuli, kiedy pewnego wieczoru po kolacji mój mąż zmarł nagle na atak serca. Nie byłam zachwycona reakcją lekarza. Nie sędzę, żeby mnie podejrzewał, ale sprawiał wrażenie bardzo zaskoczonego niespodziewaną śmiercią mego męża. Właściwie nie wiem dlaczego, ale znów wróciłam do pracy w biurze. Myślę, że z przyzwyczajenia. Drugi mąż zostawił mi około czterech tysięcy funtów. Tym razem nie spekulowałam; zainwestowałam pieniądze. No a potem...

Gerald Martin nie pozwolił jej dokończyć. Twarz nabiegła mu krwią. Wyciągnął ku niej trzęsący się palec i na wpół dusząc się, wykrztusił:

- Kawa! Mój Boże! Kawa! Alix wpatrywała się w niego.

- Teraz już wiem, dlaczego była gorzka. Ty diablico! Znowu uciekłaś się do swych sztuczek. - Zaciśnięła dłonie na poręczach fotela. Był gotów rzucić się na nią. - Otrułaś mnie.

Alix podbiegła w stronę kominka. Przerażona, otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale powstrzymała się w porę. Za chwilę się na nią rzuci... Zebrała wszystkie siły i wbiła w niego twardy, nieustępliwy wzrok.

- Tak - przyznała. - Otrułam cię. Trucizna już działa. Nie możesz już wstać z fotela... Nie możesz wstać...

Żeby tylko mogła przytrzymać go tam, choćby kilka minut...

Ach! Co to było? Kroki na drodze. Skrzyp furtki. Kroki na ścieżce. Drzwi domu otwierają się...

- Nie możesz wstać - powtórzyła. Pomknęła do drzwi i wypadła na oślep z pokoju prosto w ramiona Dicka Windyforda.

- Mój Boże, Alix! - wykrzyknął. Potem zwrócił się do wysokiego, rosłego towarzysza w policyjnym mundurze: - Niech pan wejdzie i zobaczy, co się wydarzyło w tym pokoju.

Ostrożnie umieścił omdlałą kobietę na kanapie i pochylił się nad nią.

- Moja mała dziewczynka - wyszeptał. - Biedna mała dziewczynka. Co ci takiego zrobiono?

Alix poruszyła powiekami i zdołała jedynie wyszeptać jego imię.

Dick wyprostował się, czując na ramieniu rękę policjanta.

- Nie zauważyłem niczego niezwykłego w pokoju. Może tylko ten mężczyzna siedzący w fotelu. Wygląda, jakby się czegoś okropnie przestraszył i...

- I co?

- On nie żyje, proszę pana.

Głos Alix wstrząsnął nimi. Miała ciągle zamknięte oczy i mówiła jak przez sen.

- I po chwili - powiedziała, jakby cytując czyjeś słowa - umarł...

Dziewczyna z pociągu

- No i już po wszystkim! - zauważył posepnie George Rowland, przyglądając się brudnoszarej fasadzie okazałego budynku, który właśnie opuścił.

Rzec by można, że ta budowla trafnie wyobrażała potęgę Pieniędzy, uosobienie zaś owego Pieniędzy - William Rowland, wuj wspomnianego wyżej George'a - wypowiedział się właśnie bez ogródek. W ciągu zaledwie dziesięciu minut George - do tej pory oczko w głowie wuja, spadkobierca jego fortuny, młody, dobrze zapowiadający się biznesmen - stał się jednym z rzeszy bezrobotnych.

- W tym ubraniu nie dostanę nawet zasiłku - zauważył George Rowland ponuro - a do pisania wierszy i roznoszenia ich po domach za dwa pensy albo za „co łaska, proszę pani” nie mam po prostu głowy.

Istotnie, ubranie George'a uosabiało prawdziwy tryumf sztuki krawieckiej. Salomon i lilie polne w porównaniu z nim były niczym. Człowiek jednak nie może utrzymać się z samych strojów, chyba że sam opanował krawieckie rzemiosło. Pan Rowland, aczkolwiek z bólem serca, zdawał sobie z tego sprawę.

- A wszystko z powodu tej okropnej zabawy ubiegłej nocy - skonstatował smutno George.

Ową okropną zabawą był wczorajszy bal w Covent Garden. Pan Rowland junior wrócił z niego o cokolwiek później - lub raczej wcześniej - porze, prawdę zaś mówiąc w ogóle nie pamiętał powrotu. Rogers, lokaj wuja i bardzo przydatny jegomość, mógłby bez wątpienia dostarczyć więcej szczegółów na ten temat. Z rozsadzającym bólem głowy, wypiwszy jedynie filizankę mocnej herbaty, George pojawił się w biurze za pięć dwunasta, zamiast o dziewiątej trzydzieści, co przyspieszyło katastrofę. Pan Rowland senior, który przez dwadzieścia cztery lata przebaczał i płacił rachunki, teraz zniemacka zmienił front i ujawnił całkiem nowe oblicze. Pozbawione logiki odpowiedzi George'a (któremu ciągle huczało w głowie, jakby był poddawany średniowiecznym torturom) tym bardziej go zirytowały. William Rowland bowiem odznaczał się przede wszystkim precyzją myślenia. W kilku krótkich i zwięzłych słowach wyrzucił bratanka na bruk, po czym od nowa przystąpił do studiowania planów pól naftowych w Peru.

George Rowland opuścił biuro wuja z uczuciem zawodu i wyszedł na ulicę londyńskiego City. Będąc człowiekiem praktycznym, uznał, że niezbędną rzeczą dla dokonania przeglądu sytuacji jest zjedzenie porządnego lunchu. Spożył więc posiłek, po czym

skierował kroki do rodzinnej rezydencji. Drzwi otworzył mu Rogers. Widok George'a o tak niezwykłej porze nie wywołał zdziwienia lokaja; twarz jego miała jak zwykle nienagannie bezosobowy wyraz.

- Witaj, Rogers. Spakuj moje rzeczy. Wyjeżdżam.

- Dobrze, proszę pana. Wyjeżdża pan na długo?

- Na zawsze, Rogers. Wybieram się do kolonii jeszcze dziś po południu.

- Doprawdy, proszę pana?

- Tak. To znaczy, jeśli znajdę odpowiedni statek. Wiesz może coś na temat statków, Rogers?

- A do której kolonii zamierza pan się udać?

- Nie mam specjalnych wymagań. Wszystko mi jedno. Powiedzmy do Australii. Co o tym sądzisz, Rogers?

- Słyszałem, proszę pana, że chętnie przyjmują tam każdego, kto naprawdę chce pracować.

George Rowland obrzucił lokaja wzrokiem pełnym zainteresowania i podziwu.

- Trafnie to ująłeś, Rogers. Też tak pomyślałem. Nie pojedę do Australii, w każdym razie nie dzisiaj. Przynieś mi ABC. Wybierzemy coś położonego bliżej.

Rogers przyniósł przewodnik. George otworzył go na chybił trafił i zaczął szybko wertować strony.

- Perth... za daleko... Putney Bridge... zbyt blisko. Ramsgate? Nie. Reigate też przyprawia mnie o dreszcze. Och, ależ to niezwykle! Istnieje miejscowość o nazwie Rowland's Castle! Słyszałeś o niej kiedyś, Rogers?

- Przypuszczam, że jedzie się tam z Waterloo.

- Niebywały z ciebie facet, Rogers. Wszystko wiesz. Rowland's Castle! Ciekawe, co to za miejscowość.

- Sądzę, że to nic wielkiego, proszę pana.

- Tym lepiej. Mniejsza konkurencja. Te wioski zachowały wiele z dawnego feudalnego charakteru. Ostatni z prawdziwych Rowlandów powinien od razu zyskać tam uznanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby w ciągu tygodnia wybrano mnie na burmistrza. - Zamknął z trzaskiem ABC. - Kości zostały rzucone. Zapakuj mi, proszę, małą walizkę, Rogers. Pozdrów ode mnie kucharkę i poproś, żeby wyświadczyła mi przysługę i wypożyczyła kota. Zachowam się jak Dick Whittington, rozumiesz. Kiedy człowiek pragnie zostać burmistrzem, kot jest niezbędny.

- Przykro mi, proszę pana, ale obecnie kot nie jest osiągalny.
- A dlaczego?
- Ośmioro kociąt, proszę pana. To się stało dziś rano.
- Nie może być! Myślałem, że nazywa się Peter.
- To dla nas wszystkich wielka niespodzianka, proszę pana.
- Falszywe określenie płci i pochopne nadanie imienia? A zatem pojedę bez kota.

Spakuj szybko moje rzeczy.

- Dobrze, proszę pana. - Rogers wahał się chwilę, a potem podszedł do George'a. - Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale na pańskim miejscu nie przywiązywałbym zbytnej wagi do tego, co pan Rowland powiedział dziś rano. Wczoraj wieczorem uczestniczył w jednym z tych oficjalnych przyjęć i...

- Nie mów nic więcej! - przerwał George. - Rozumiem.
- I mając skłonność do podagry...

- Wiem, wiem. Dla ciebie, Rogers, musiał to być męczący wieczór, z nami dwoma. Postanowiłem jednak zasłużyć się dla Rowland's Castle - historycznej kolebki mego rodu. To ładnie zabrzmie, nieprawdaż? Telegram albo dyskretne ogłoszenie w porannej gazecie przywoła mnie stamtąd w każdej chwili, jeśli na obiad będzie przygotowywana potrawka cieleca. A teraz - na Waterloo!, jak powiedział Wellington w przededniu historycznej batalii.

Tego popołudnia na dworcu Waterloo nie było tak rojno i gwarno, jak zazwyczaj. George Rowland znalazł w końcu pociąg, który miał zawieźć go do celu. Był to zupełnie przeciętny, niczym nie wyróżniający się pociąg, taki, którym właściwie nikt nie miał szczególnej ochoty podróżować. Mgła spowijająca miasto raz podnosiła się, to znów opadała. Peron świecił pustkami. Ciszę przerywał tylko astmatyczny dźwięk parowozu. George zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy z przodu pociągu.

Naraz, niespodziewanie, wydarzenia zaczęły toczyć się z oszałamiającą prędkością.

Najpierw pojawiła się dziewczyna. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i wskoczyła do przedziału, wyrывая George'a Rowlanda ze stanu niebezpiecznie bliskiego drzemki.

- Och! - krzyknęła. - Niech mnie pan ukryje! Proszę mnie ukryć!

George był z natury człowiekiem czynu; nie zastanawiał się, tylko wkraczał do akcji na oślep. W przedziale kolejowym można się schować tylko w jednym miejscu - pod siedzeniem. Dziewczyna znalazła się tam w ciągu siedmiu sekund, a walizka George'a, dotąd niedbale stojąca pod oknem, posłużyła za parawan. Zdążyli wykonać te manewry w ostatniej chwili, bowiem ni stąd, ni zowąd w oknie wagonu pojawiła się rozwścieczona twarz.

- Moja siostrzenica! Pan ją ukrył! Żądam wydania mojej siostrzenicy!

George, choć jeszcze lekko zdyszany, zdążył już rozsiąść się wygodnie i zagłębić w kolumnie sportowej popołudniowej gazety. Odłożył popołudniówkę, starając się sprawiać wrażenie człowieka powracającego myślami z oddali.

- Słucham pana? - spytał uprzejmie.

- Chodzi o moją siostrzenicę. Co pan z nią zrobił? George uznał, że najlepszą formą obrony jest atak.

- Co, u diabła, ma pan na myśli? - wykrzyknął, z powodzeniem naśladowując ton głosu swego wuja.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, zaskoczony tym nagłym wybuchem złości. Był tęgi i dyszał ciężko jak po długim biegu. Miał ostrzyżone na jeża włosy i wąsy a'la Hohenzollern. Przemawiał gardłowym głosem, a sztywność w ruchach wskazywała, że człowiek ten najlepiej czuje się w mundurze. George żywił, typowe dla Brytyjczyka, uprzedzenie do cudzoziemców, a cudzoziemcy o niemieckim wyglądzie budzili w nim szczególnie niesmak.

- Co, u diabła, ma pan na myśli? - powtórzył gniewnie.

- Weszła tu - odpowiedział tamten. - Widziałem ją. Co pan z nią zrobił?

George cisnął gazetę w kąt i wychylił się przez okno.

- A więc to tak? - krzyknął. - Szantaż, czyż nie? Wybrał pan jednak niewłaściwą osobę. Przeczytałem wszystko o panu w porannym „Daily Mail”. Strażnik, tutaj! Strażnik!

Usłyszawszy klótnię, funkcjonariusz przybył pośpiesznie.

- Strażnik, tutaj! - powtórzył pan Rowland z władczą miną, która wśród niższych warstw społecznych budzi szacunek. - Ten człowiek mnie napastuje. Jeśli to będzie konieczne, wniosę przeciwko niemu oskarżenie o próbę szantażu. Usiłuje mi wmówić, że ukryłem tu jego siostrzenicę. Istnieje prawdziwy gang cudzoziemców, którzy próbują tego rodzaju sztuczek. To powinno się wreszcie skończyć. Proszę go stąd zabrać. Oto moja wizytówka.

Strażnik popatrzył na obu mężczyzn i szybko podjął decyzję. Tradycja dyktowała mu pogardę dla cudzoziemców, podziw zaś dla dobrze ubranych dżentelmenów podróżujących pierwszą klasą.

Położył rękę na ramieniu intruza.

- Proszę ze mną - powiedział. - Chodźmy stąd.

W krytycznej sytuacji nieznanego jegomościa zawiodła angielszczyzna i wyrzucił z siebie gwałtownie stek przekleństw w swym ojczystym języku.

- Dostyc! - powiedział strażnik. - Proszę się odsunąć. Pociąg rusza.

Pomachano chorągiewkami, zagwizdano w gwizdki i pociąg, po lekkim szarpnięciu, odjechał ze stacji.

George pozostał na stanowisku obserwacyjnym, dopóki tamci nie opuścili peronu. Potem cofnął się do środka, podniósł walizkę i rzucił ją na półeczkę.

- Wszystko w porządku - powiedział uspokajającym tonem. - Może pani wyjść.

Dziewczyna wyczołgała się spod ławki.

- Och - westchnęła. - Jak będę mogła się panu odwdzięczyć?

- Nie ma za co - odparł George nonszalancko. - Zapewniam panią, że cała przyjemność po mojej stronie.

Uśmiechnął się do niej łagodnie. W oczach dziewczyny pojawiło się lekkie zakłopotanie, jakby nagle spostrzegła brak czegoś, do czego zwykle była przyzwyczajona. Ujrzała swe odbicie w wąskiej okiennej szybie i aż zapało jej dech.

Nie wiadomo, czy sprzątaczkami zmiatają codziennie pod siedzeniami. Wszystko wskazywało, że tego nie czynią, a trafia tam niezawodnie każdy okruch brudu i sadzy. Dziewczyna pojawiła się tak nagle i tak szybko znalazła się w ukryciu, że George nie miał czasu, aby dokładnie jej się przyjrzeć. Zdołał zauważyć jedynie, że młoda kobieta, którą ukrył, była wymuskana i elegancka. Teraz zaś jej mały czerwony kapelusz był wymięty, a twarz zeszpecona długimi strużkami brudu.

- Och - szepnęła dziewczyna i sięgnęła po torebkę.

George, jak przystało na dżentelmena, taktownie nie odrywał oczu od okna, podziwiając ulice Londynu na południe od Tamizy.

- Jak ja się panu odwdzięczę? - powiedziała znowu.

Przyjmując uwagę jako zachętę do wznowienia konwersacji, George oderwał wzrok od okna i jeszcze raz grzecznie zaoponował, tym razem wkładając w słowa więcej serdeczności.

Dziewczyna była niezwykle urocza. Pomyślał sobie, że nigdy dotąd nie spotkał żadnej równie pięknej. Ogarnął go prawdziwy zachwyty.

- Doprawdy zachował się pan wspaniale - powiedziała z entuzjazmem.

- Ależ skądże - wymamrotał. - To była najprostsza rzecz na świecie. Jestem zachwycony, że mogłem się pani na coś przydać.

- Był pan wspaniały - powtórzyła z naciskiem.

Bez wątpienia każdemu mężczyźnie robi się przyjemnie na duszy, jeśli najbardziej urocza dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkał, wpatruje się w jego oczy i mówi mu, że jest wspaniały. George nie był wyjątkiem.

Później nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy. Dziewczynie zapewne zaświtało w głowie, że George mógł oczekiwać od niej wyjaśnień. Zarumieniła się lekko.

- Czuję się niezręcznie - zaczęła nerwowo - ale obawiam się, że nie będę mogła niczego panu wytłumaczyć.

Zrobiła żałośnie niepewną minę.

- Nie może pani wytłumaczyć?

- Nie.

- Znakomicie! - powiedział pan Rowland z entuzjazmem.

- Słucham?

- Powiedziałem: znakomicie! Przypomina mi się jedna z tych powieści, które spędzają sen z powiek. W pierwszym rozdziale bohaterka zawsze mówi: „Nie mogę niczego wytłumaczyć”. Oczywiście tłumaczy wszystko na końcu i trudno dopatrzeć się wiarygodnej przyczyny, dlaczego nie zrobiła tego na początku, poza tym rzecz jasna - że zepsułoby to całą historię. Doprawdy jestem niezmiernie zadowolony, że zostałem wmieszany w prawdziwą tajemnicę. Nie wiedziałem, że takie historie zdarzają się naprawdę. Mam nadzieję, że wiąże się ona z tajnymi dokumentami ogromnej wagi i ekspresem bałkańskim. Mam bzika na punkcie ekspresu bałkańskiego.

Dziewczyna wpatrywała się w niego podejrzliwie, szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego wspomniał pan o ekspresie bałkańskim? - spytała ostro.

- Mam nadzieję, że nie okazałem się wścibski - dodał pośpiesznie. - Być może pani wuj nim podróżował.

- Mój wuj... - Przerwała i znów zaczęła: - Mój wuj...

- Otóż to - wtrącił życzliwie George. - Sam mam wuja. Nie można odpowiadać za swoich wujów. Wybryki natury - tak to widzę.

Dziewczyna roześmiała się. Gdy mówiła, George dosłyszał w jej głosie cień obcego akcentu. Początkowo wziął ją za Angielkę.

- Umie pan dodawać otuchy i jest pan bardzo oryginalnym człowiekiem, panie...

- Rowland. Dla przyjaciół: George.

- Nazywam się Elizabeth... - Urwała nagle.

- Podoba mi się imię Elizabeth - powiedział George, aby pokryć jej chwilowe zmieszanie. - Mam nadzieję, że nie nazywają panią Bessie lub równie okropnie.

- Potrząsnęła głową. - A więc - ciągnął dalej - teraz, kiedy już się poznaliśmy, możemy przystąpić do działania. Jeśli wstaniesz, Elizabeth, otrzępię tył twego płaszcza.

Wstała posłusznie i George wykonał czynność.

- Dziękuję, panie Rowland.

- George. Dla przyjaciół: George, zapamiętaj. Chyba sobie nie wyobrażasz, że możesz wtargnąć do mojego spokojnego, pustego przedziału, schować się pod siedzeniem, skłonić mnie do okłamania wuja, a potem odmówić mi swej przyjaźni, nieprawdaz?

- Dziękuję, George.

- Tak już lepiej.

- Czy wyglądam już normalnie? - spytała Elizabeth, usiłując spojrzeć przez ramię na swoje plecy.

- Wyglądasz... och! Wyglądasz... całkiem dobrze powiedział George, z ledwością powściągając zachwyty.

- Wszystko zdarzyło się tak nagle - wyjaśniła dziewczyna.

- To prawda.

- Wuj zauważył nas w taksówce. Potem na dworcu czułam, że mnie goni, więc po prostu wskoczyłam do wagonu. Właściwie dokąd jedzie ten pociąg?

- Do Rowland's Castle - odparł George bez wahania. Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną.

- Do Rowland's Castle?

- Oczywiście nie bezpośrednio. Zatrzymuje się na wielu stacjach i jedzie wolno. Z ufnością jednak oczekuję, że dotrę tam przed północą. South-Western była zawsze linią godną zaufania - wolną, ale pewną - i nie wątpię, że obecna Southern Railway podtrzymuje dobrą tradycję.

- Nie jestem wcale pewna, czy chcę jechać do Rowland's Castle - powiedziała Elizabeth z powątpiewaniem.

- Zasmucasz mnie. To urocze miejsce.

- Byłeś tam kiedykolwiek?

- Niezupełnie. Po drodze są jednak inne miejscowości, gdzie możesz wysiąść, jeśli nie odpowiada ci Rowland's Castle. Na przykład Woking, Weybridge albo Wimbledon. Pociąg na pewno zatrzymuje się w którejś z nich.

Rozumiem - powiedziała dziewczyna. - Mogę wysiąść gdziekolwiek i wrócić do Londynu autobusem. To byłoby najlepsze rozwiązanie.

Akurat w chwili gdy to mówiła, pociąg zaczął zwalniać. George Rowland wpatrywał się w nią błagalnym wzrokiem.

- Jeśli mógłbym coś zrobić...

- Nie, doprawdy. Tak wiele już uczyniłeś. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Ja... Chciałabym wyjaśnić...

- Na litość boską, nie rób tego! To by wszystko zepsuło. Zastanów się jednak, czy nie przydałbym się na coś? Może mógłbym zawieźć tajne papiery do Wiednia... albo coś w tym rodzaju? Zawsze przecież istnieją jakieś tajne papiery. Proszę, daj mi szansę.

Gdy pociąg zatrzymał się, Elizabeth wyskoczyła szybko na peron. Po chwili odwróciła się do stojącego w oknie George'a.

- Mówisz poważnie? Rzeczywiście zrobilibyś coś dla nas... dla mnie?

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Elizabeth.

- Nawet jeśli nie będę mogła podać ci powodu?

- Okropne rzeczy - powody!

- Nawet jeśli byłoby to... niebezpieczne?

- Im bardziej niebezpieczne, tym lepiej. Zawahała się, nim podjęła decyzję.

- Wychyl się z okna i rozejrzyj ukradkiem po peronie. George postarał się wykonać postawione przed nim cokolwiek trudne zadanie.

- Widzisz tego mężczyznę w jasnym płaszczu, z małą ciemną bródką, który wsiada właśnie do pociągu? Obserwuj go. Zobacz, co zrobi i dokąd pojedzie.

- To wszystko? - spytał pan Rowland. - I co dalej?

- Dostaniesz dalsze instrukcje. Na razie obserwuj go i strzeż tego. - Wsunęła mu do ręki małą zapieczętowaną paczkę. - Strzeż tego jak oka w głowie. Tu jest klucz do wszystkiego.

Pociąg ruszył. George nadal stał w oknie, przyglądając się wysokiej, wdzięcznej postaci Elizabeth oddalającej się wzdłuż peronu. W rękę ścisnął zapieczętowaną paczuszkę.

Reszta podróży upłynęła mu monotennie i spokojnie. Pociąg jechał wolno i zatrzymywał się na wszystkich stacjach. Na każdej z nich George wyglądał przez okno w obawie czy mężczyzna, którego miał śledzić, nie wysiada. Od czasu do czasu, kiedy zapowiadano dłuższy postój, przechadzał się po peronie i naocznie upewniał, że interesujący go pasażer nadal znajduje się w pociągu.

Końcową stacją było Portsmouth. Tam też podróżny z czarną bródką wysiadł i skierował się do małego hotelu drugiej kategorii, gdzie wynajął pokój. Pan Rowland poszedł jego śladem.

Pokoje obu mężczyzn znajdowały się w tym samym korytarzu - rozdzielone dwiema parami drzwi. Takie rozwiązanie zadowoliło George'a. Po raz pierwszy występował w roli szpiega, ale pragnął spisać się dzielnie i nie zawieść zaufania, jakie pokładała w nim Elizabeth.

Przy obiedzie zajął stolik nie opodal obserwowanego człowieka. Jadalnia nie była pełna. Goście, spożywający z apetytem posiłek, wyglądali na podróżujących w interesach, spokojnych, statecznych obywateli. Uwagę George'a zwrócił tylko jeden mężczyzna - niski, o rudych włosach i wąsach, przypominający postawą kawalerzystę.

Nieznajomy również zainteresował się George'em i nawet zaproponował mu drinka i partię bilarda po skończeniu obiadu. George jednak zmuszony był odmówić, gdyż zauważył, że mężczyzna z czarną bródką właśnie zakłada płaszcz i kapelusz. Podążył więc szybko za nim na ulicę, zgłębiając tym samym arkana trudnej sztuki śledzenia. Pościg był długi, wyczerpujący i w efekcie prowadził donikąd. Mężczyzna zrobił kilkukilometrowy spacer, klucząc uliczkami Portsmouth, po czym wrócił do hotelu. George ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia. Ogarnęły go pewne wątpliwości. Czyżby ów człowiek domyślił się, że jest szpiegowany?

Kiedy zastanawiał się nad tym, stojąc w holu, nagle w drzwiach wejściowych pojawił się niski, rudy mężczyzna. Bez wątpienia również i on był na spacerze.

George raptem zdał sobie sprawę, że zwraca się do niego ładna panienska z recepcji.

- Pan Rowland, prawda? Dwaj panowie chcą się z panem widzieć. Cudzoziemcy. Czekaają w saloniku na końcu korytarza.

George, lekko zaskoczony, odszukał wskazany pokój. Siedzący tam dwaj mężczyźni wstali i ukłonili się ceremonialnie.

- Pan Rowland? Niewątpiwanie domyśla się pan, kim jesteśmy?

George przyglądał się nieznajomym. Ten, który przemówił, był starszy. Miał siwe włosy i wygląd na pompatycznego dżentelmena. Władał doskonale angielskim. Drugi był wysokim, pryszczatym młodzieńcem o jasnym teutońskim obliczu. W tej chwili miotał groźne spojrzenia, które nie wróżyły przychylności.

George poczuł ulgę i zaczął zachowywać się z całkowitą swobodą, kiedy zorientował się, że żaden z gości nie przypomina owego jegomościa, z którym zetknął się na dworcu Waterloo.

- Proszę, usiądźcie panowie. Miło mi panów poznać. Może drinka?

Starszy mężczyzna podniósł rękę w geście protestu.

- Dziękujemy, lordzie Rowland. Mamy niewiele czasu. Chcemy usłyszeć pańską odpowiedź na jedno pytanie.

- Doprawdy uprzejmię z pana strony, że wyniósł mnie pan do godności para - wtrącił George. - Przykro mi, że panowie się nie poczęstują. A cóż to za doniosłe pytanie?

- Lordzie Rowland, opuścił pan Londyn w towarzystwie pewnej damy. Tutaj przybył pan sam. Chcemy wiedzieć, gdzie znajduje się owa dama.

George powstał.

- Nie rozumiem pytania - powiedział chłodno, przybierając ton bohatera powieści. - Życzę panom dobrej nocy.

Z pewnością pan rozumie - wybuchnął nagle młodszy mężczyzna. - Rozumie pan doskonale. Co pan zrobił z Alexą?

- Proszę się uspokoić - wymamrotał drugi. - Błagam, niech pan się uspokoi.

Zapewniam panów - odezwał się George - że nie znam damy o tym imieniu. Zaszła jakaś pomyłka. Starszy mężczyzna przypatrywał mu się badawczo.

Wykluczone - rzucił sucho. - Pozwoliłem sobie przejrzeć książkę hotelową. Wpisał się pan jako George Rowland z Rowland's Castle. George spłonął rumieńcem.

- Mały żart z mojej strony - wyjaśnił niepewnie.

- Kiepski wykręt. Nie będziemy owijać w bawełnę. Gdzie jest Jej Wysokość?

- Jeśli ma pan na myśli Elizabeth...

Młodzieniec rzucił się do przodu z rykiem wściekłości.

- Bezczelna świnia! Wyrażać się o niej w ten sposób!

- Mam na myśli - powiedział drugi spokojnie o czym pan doskonale wie, Wielką Księżnę Katonii Anastasię Sopię Alexandrę Marię Helenę Olgę Elizabeth.

Och! - westchnął bezradnie pan Rowland.

Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Katonii. O ile pamięć go nie zawodziła, było to małe królestwo gdzieś na Bałkanach, w którym toczyła się rewolucja. Z wysiłkiem przywołał się do porządku.

- Niewątpliwie mamy na myśli tę samą osobę - powiedział wesołym tonem. - Tylko ja nazywam ją Elizabeth.

- Żądam satysfakcji - warknął jasnowłosy młodzian. - Będziemy walczyć.

- Walczyć?

- W pojedynku.
- Nigdy nie biorę udziału w pojedynkach - odparł stanowczo pan Rowland.
- Dlaczego? - spytał gniewnym głosem ten drugi.
- Boję się, że mógłbym zostać ranny.
- Ach tak? Więc przynajmniej dam ci w nos.

Młody człowiek wściekle rzucił się do przodu. Trudno było zobaczyć, jak to się dokładnie stało, ale zamiast zadać cios, nagle zakreślił swym ciałem w powietrzu półkole i upadł na ziemię z głuchym łoskotem. Po chwili podniósł się, oszołomiony, z podłogi. Pan Rowland posłał mu uśmiech.

- Powiedziałem - zauważył - że zawsze bałem się zostać ranny. Doszedłem zatem do wniosku, że dobrze zrobię ucząc się ju-jitsu.

Zapadło milczenie. Dwóch cudzoziemców patrzyło z niedowierzaniem na sympatycznie wyglądającego młodego człowieka, który pod pozorami łagodności mógł skrywać taką niebezpieczną siłę. Poszkodowany był wprost blady z wściekłości.

- Pożałujesz tego - wycedził przez zęby. Starszy z nich usiłował zachować spokój.
- Czy to jest pana ostatnie słowo, lordzie Rowland? Odmawia pan informacji o miejscu pobytu Jej Wysokości?
- Sam nie mam o nim pojęcia.
- Nie spodziewa się pan chyba, że w to uwierzę.
- Niepoprawny z pana niedowiarek.
- Na tym nie koniec - wymamrotał młodzian, potrząsając głową. - Jeszcze pan o nas usłyszysz.

Kiedy obaj mężczyźni wyszli, George przetarł ręką czoło. Wydarzenia toczyły się w oszalałym tempie. Zdał sobie sprawę, że został wmieszany w europejski skandal największego kalibru.

- To może nawet oznaczać następną wojnę - skwitował optymistycznie, szukając wzrokiem czarnobrodego mężczyzny.

Kiedy dojrzał go w rogu poczekalni, odetchnął z ulgą i zajął miejsce w przeciwległym kącie sali. Po kilku minutach mężczyzna z czarną bródką wstał i udał się na górę. George podążył za nim i zobaczył, że wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi. Ponownie wydał westchnienie ulgi.

- Muszę się wyspać - wymamrotał. - Naprawdę muszę.

Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. A jeśli mężczyzna zorientował się, że jest śledzony? Jeśli wymknie się z pokoju nocą, kiedy on będzie sobie spał w najlepsze? Po chwili zastanowienia George wpadł na pomysł poradzenia sobie z tym problemem. Spruł skarpetkę, uzyskując w ten sposób włóczkę w naturalnym kolorze. Po cichutku wyszedł z pokoju i za pomocą papierowego przylepca przyczepił jeden jej koniec do dolnej framugi drzwi nieznanego. Następnie pociągnął nitkę wzdłuż korytarza do swojego pokoju, gdzie na jej końcu powiesił srebrny dzwoneczek - pamiątkę po ubiegło-nocnej zabawie. Wykonanie tego przedsięwzięcia dostarczyło mu niemało satysfakcji. Jeśli czarnobrody spróbuje opuścić pokój, George zostanie natychmiast ostrzeżony dźwiękiem dzwonka.

Po uporaniu się z tym problemem, George, nie tracąc już więcej czasu, położył się do łóżka. Paczuszkę umieścił troskliwie pod poduszką i popadł w chwilową zadumę. Jego myśli przedstawiały się następująco: „Anastasia Sophia Marie Alexandra Olga Elizabeth. Do licha, opuściłem jedno. Zastanawiam się...”

Nie mógł od razu zasnąć, dręczony niemożnością zrozumienia sytuacji. O co tu chodzi? Jaki związek istnieje pomiędzy uciekającą Wielką Księżną, zapieczętowaną paczką i czarnobrodym mężczyzną? Dlaczego Wielka Księżna ucieka? Czy dwaj cudzoziemcy domyślają się, że jest w posiadaniu zapieczętowanej paczuski? Co może się w niej znajdować?

Rozpatrując te sprawy, zirytowany, że ani trochę nie posunął się naprzód w rozwikłaniu zagadki, George Rowland w końcu zasnął.

Obudził go słaby dźwięk dzwonka. Ponieważ nie należał do ludzi, którzy wyrwani ze snu reagują natychmiast, zorientowanie się w sytuacji zajęło mu około półtorej minuty i dopiero wówczas wyskoczył z łóżka. Wsunął na nogi kapcie, z największą ostrożnością otworzył drzwi i wymknął się na korytarz. W końcu holu mignął jakiś cień. Stąpając cichutko, pan Rowland podążył jego śladem tak szybko, że zdążył jeszcze zauważyć czarnobrodego mężczyznę znikającego w łazience. To było zagadkowe, zważywszy, że druga łazienka znajdowała się dokładnie naprzeciw jego pokoju. George zbliżył się do uchylonych drzwi i zajrzał przez szczelinę. Mężczyzna klęczał przy brzegu wanny i majstrował coś przy listwie podłogowej. Po kilku minutach wstał. George ostrożnie się wycofał. Bezpieczny w cieniu własnych drzwi, obserwował dalej. Czarnobrody minął go i wrócił do pokoju.

- W porządku - mruknął George pod nosem. - Tajemnicę łazienki wyjaśnimy jutro.

Położył się do łóżka i wsunął dłoń pod poduszkę, aby się upewnić, że cenna paczuszka nadal tam leży. Po chwili w panice przewracał pościel. Paczka zniknęła.

Następnego poranka George konsumował jajka na bekonie w stanie kompletnego załamania. Zawiódł Elizabeth. Pozwolił, aby skradziono mu cenną paczuszkę, którą dziewczyna powierzyła jego pieczy. Wobec tego faktu odkrycie „tajemnicy łazienki” stanowiło żałośnie błahę osiągnięcie. Tak, niewątpliwie zrobił z siebie osła.

Po śniadaniu udał się znowu na górę. Na podeście schodów stała zmartwiona pokojówka.

- Czy coś się stało, moja droga? - zapytał George uprzejmie.

- Chodzi o tego pana. Prosił, żeby go obudzić o ósmej trzydzieści, ale nie odzywa się, a drzwi zamknięte są na klucz.

- Nie może być - skomentował George.

Ogarnął go niepokój. Szybko wszedł do swego pokoju. Tutaj czekała go prawdziwa niespodzianka. To, co zobaczył, sprawiło, że wszystkie inne myśli zeszły na dalszy plan. Na toaletce leżała paczuszka, skradziona mu poprzedniej nocy!

George wziął ją do ręki i dokładnie jej się przyjrzał. Bez wątpienia była to ta sama paczuszka. Pieczęcie jednak zostały złamane. Po chwili wahania otworzył ją, uznając, że ma prawo, skoro inni ludzie znali jej zawartość. Poza tym niewykluczone, że już była pusta. Po odwinięciu papieru ukazało się kartonowe pudełeczko, jakich używają jubilerzy. George otworzył je. Wewnątrz, na kawałku waty, leżała zwykła obrączka ślubna.

Wziął ją do ręki i dokładnie obejrzał. Nic nie zostało na niej wygrawerowane, tak więc niczym się nie wyróżniała. George jęknął i chwycił się za głowę.

- Obłąd -. wymamrotał. - Kompletny obłąd. Wszystko pozbawione sensu.

Nagle przypomniał sobie słowa pokojówki i jednocześnie zauważył, że na zewnątrz okna znajduje się szeroki parapet. W normalnych okolicznościach nie podjąłby się podobnego zadania. Teraz jednak był tak podniecony gniewem i ciekawością, że zlekceważył niebezpieczeństwo i wy dostał się na zewnątrz. W chwilę później zaglądał do pokoju zajmowanego przez czarnobrodego mężczyznę. Okno było otwarte, a pokój pusty. Nie opodal znajdowało się zejście przeciwpożarowe. Tędy śledzony człowiek musiał uciec.

George wszedł przez okno do środka. Dookoła leżały rozrzucone rzeczy zbiega. W nadziei, że znajdzie tutaj klucz do wyjaśnienia zagmatwanej sprawy, George rozpoczął poszukiwania. Najpierw zabrał się za starą, podniszczoną teczkę.

Poszukiwania przerwał nagle jakiś dźwięk, bardzo cichy, bez wątpienia dochodzący jednak z pokoju. Uwagę George'a przykuła duża szafa. Podskoczył ku niej i gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Schowany tam mężczyzna wyskoczył i, zaklinowany przez George'a,

przekoziółkował wraz z nim po podłodze. Był niewątpliwie wymagającym przeciwnikiem. Wszystkie znane George'owi sztuczki okazały się niewiele warte. Dopiero kiedy oderwali się od siebie, kompletnie wyczerpani, George zorientował się, z kim ma do czynienia. Toczył walkę z niskim mężczyzną o rudych włosach.

- Do diabła, kim pan jest? - spytał ostro George. W odpowiedzi mężczyzna wyciągnął wizytówkę. George przeczytał głośno:

- Inspektor Jarrold, Scotland Yard.

- Tak jest, proszę pana. Lepiej będzie, jeśli opowie mi pan wszystko, co pan wie o tej sprawie.

- Nie wiem, czy powinienem - George zawahał się. - Sądzę jednak, że ma pan rację. Może znajdziemy jakieś przyjemniejsze miejsce?

W zacisznym kącie baru George otworzył duszę przed inspektorem. Jarrold słuchał ze zrozumieniem.

- Tak, oczywiście - zauważył, kiedy George skończył opowieść. - To bardzo zagadkowa historia. Istnieją tu wątki, których sam nie chwytam. Niektóre sprawy mogą jednak wyjaśnić. Przybyłem tu tropem Mardenberga, pańskiego czarnobrodego przyjaciela, a pański przyjazd oraz zachowanie wzbudziły moje podejrzenia. Nie potrafiłem powiązać pana ze sprawą. Ubiegłej nocy, kiedy pan wyszedł, wślizgnąłem się do pokoju i zabrałem paczuszkę spod poduszki. Gdy ją otworzyłem i zorientowałem się, że nie zawiera tego, czego szukałem, skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i zwróciłem ją panu.

- To istotnie co nieco wyjaśnia - powiedział George z zadumą w głosie. - Zdaje się, że zrobiłem z siebie kompletnego durnia.

- Tego bym nie powiedział. Poczynał pan sobie niezwykle zręcznie jak na nowicjusza. Powiedział pan, że zabrał rano z łazienki to, co było schowane pod listwą?

- Owszem - stwierdził ponuro George - ale to tylko przeklęty list miłosny. Do diabła, nie miałem zamiaru węszyć w prywatnym życiu tego biedaka.

- Czy mógłbym zobaczyć ten list? George wyjął list z kieszeni i podał go inspektorowi. Jarrold rozłożył kartkę.

- Rzeczywiście - list miłosny. Odnoszę jednak wrażenie, że jeśli poprowadzi się linię od jednej kropki nad „i” do następnej, otrzyma się zupełnie inny efekt. Ależ, coś takiego? To jest plan umocnień portu w Portsmouth.

- Co takiego?

- Od jakiegoś czasu mieliśmy tego faceta na oku. Był jednak zbyt sprytny. Zwerbował kobietę, która wykonywała za niego większość brudnej roboty.

- Kobietę? - powiedział George słabym głosem.

- Jak ona się nazywa?

- Używa wielu nazwisk. Najczęściej występuje jako Betty Brighteyes. Wyjątkowo ładna młoda kobieta.

- Betty... Brighteyes - powtórzył George. - Dziękuję, inspektorze.

- Przepraszam, ale nie wygląda pan najlepiej.

- Nie czuję się dobrze. Jestem chory. Myślę, że najlepiej zrobię, jeśli pierwszym pociągiem wrócę do Londynu.

Inspektor spojrział na zegarek.

- Obawiam się, że teraz przyjedzie osobowy. Lepiej poczekać na ekspres.

- To bez znaczenia - zauważył George ze smutkiem.

- Żaden pociąg nie będzie jechał wolniej niż ten, którym przyjechałem wczoraj.

George ponownie zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy i bez pośpiechu przeglądał prasę. Nagle zeszytniał, jakby kij połknął, i utkwiał wzrok w otwartej stronie gazety.

Wczoraj w Londynie miał miejsce romantyczny ślub. Lord Roland Gaigh, drugi syn markiza Axminster, poślubił Wielką Księżną Katonii Anastasię. Uroczystość utrzymana była w najgłębszej tajemnicy. Od czasu przewrotu w Katonii Wielka Księżna mieszkała ze swym wujem w Paryżu. Lorda Rolanda poznała, gdy ten pełnił funkcję pierwszego sekretarza ambasady brytyjskiej w Katonii. Od tamtego czasu datuje się ich wzajemne przywiązanie.

- No tak, jestem...

George Rowland nie potrafił wymyślić wystarczająco dobitnego epitetu, aby odpowiednio wyrazić swe uczucia. Ciągle patrzył w dal. Pociąg zatrzymał się na małej stacji. Do przedziału weszła jakaś dama i zajęła miejsce naprzeciw niego.

- Dzień dobry, George - odezwała się słodkim głosem.

- Wielkie nieba! - zawołał George. - Elizabeth! Uśmiechnęła się. Wyglądała, jeśli to w ogóle było możliwe, jeszcze bardziej uroczo.

- Posłuchaj - wykrzyknął George, łapiąc się za głowę. - Na litość boską, odpowiedz. Czy jesteś Wielką Księżną Anastasią, czy też Betty Brighteyes?

Utkwiła w nim wzrok.

- Żadną z nich. Jestem Elizabeth Gaigh. Teraz mogę ci wszystko opowiedzieć. Przede wszystkim muszę cię przeprosić. Widzisz, mój brat Roland zawsze kochał Alexę...

- Masz na myśli Wielką Księżnę?

- Tak. Tak ją tytułuje rodzina. Otóż jak już wspomniałam, Roland zawsze był zakochany w Alexie, a ona w nim. Potem wybuchła rewolucja i Alexa znalazła się w Paryżu. Byli już bliscy załatwienia ślubnych formalności, kiedy pojawił się kanclerz Stürm. Chciał zabrać Alexę i zmusić ją do małżeństwa z księciem Karlem, jej obrzydliwym, pryszczatym kuzynem.

- Przypuszczam, że go poznałem - wtrącił George.

- Alexa go po prostu nienawidzi. Jej wuj, stary książę Osric, zabronił jej widywać się z Rolandem. Uciekła do Anglii, a ja przyjechałam do Londynu, aby się z nią spotkać. Mój brat przebywał w Szkocji. Wysłałyśmy do niego telegram. W ostatniej chwili, kiedy jechałyśmy do urzędu podpisać akt ślubu, w taksówce jadącej z naprzeciwka spotkałyśmy się oko w oko ze starym księciem Osricem. Oczywiście pojechał za nami. Nie wiedziałyśmy, co począć. Książę zrobiłby na pewno straszną awanturę, a poza tym był jej opiekunem. Wpadłam wówczas na genialny pomysł, żebyśmy zamieniły się rolami. W dzisiejszych czasach na dobrą sprawę widzi się tylko czubek nosa dziewczyny. Założyłam czerwony kapelusz Alexy i jej brązowy płaszcz, a ona mój szary. Kazałyśmy taksówkarzowi jechać na dworzec Waterloo. Tam wyskoczyłam z taksówki i popędziłam na stację. Stary Osric pobiegł za czerwonym kapeluszem, zapominając o drugiej pasażerze skulonej w taksówce. Oczywiście nie mogłam pokazać mu twarzy, więc po prostu wpadłam do przedziału i zdałam się na twoją łaskę.

- Dotąd rozumiem - powiedział George. - A co z resztą?

- No właśnie. Za to muszę cię przeprosić. Mam nadzieję, że nie będziesz się bardzo gniewał. Widzisz, odniosłam wrażenie, że naprawdę chcesz wziąć udział w jakiejś tajemniczej historii - podobnej do tych, które opisują w książkach. Nie mogłam oprzeć się pokusie. Wybrałam więc z tłumu na peronie groźnie wyglądającego mężczyznę i poleciłam ci go śledzić. Jednocześnie powierzyłam ci paczuszkę...

- ... która zawierała ślubną obrączkę.

- Owszem. Kupiłyśmy ją razem z Alexą, ponieważ Roland miał przybyć ze Szkocji bezpośrednio na ceremonię ślubną. Wiedziałam, że zanim wrócę do Londynu, będzie już po ślubie i obrączka na nic się nie przyda. Musieli posłużyć się kółkiem od karnisza lub czymś podobnym.

- Rozumiem - oświadczył George. - Kiedy się wie, o co chodzi, wszystkie sprawy okazują się zupełnie proste. Pozwól, Elizabeth... - Zdjął rękawiczkę z jej lewej ręki i odetchnął z ulgą, widząc wolny serdeczny palec. - Ta obrączka na coś się jednak przyda - dodał.

- Och! - krzyknęła Elizabeth. - Przecież ja nic o tobie nie wiem.

- Wiesz, jaki jestem miły - zauważył George. - Przyszło mi właśnie do głowy, że niewątpliwie jesteś Lady Elizabeth Gaigh.

- Och, George! Czyżbyś był snobem?

- Jeśli mam być szczery - raczej tak. Moim ulubionym snem jest ten, w którym król Jerzy pożycza ode mnie pół korony podczas wspólnie spędzanego weekendu. Myślałem jednak o swoim wuju - tym, który się na mnie obraził. To okropny snob. Kiedy dotrze do niego, że się z tobą żenię i będziemy mieć tytuł w rodzinie, natychmiast uczyni mnie swoim współnikiem.

- Och! Czy on jest bardzo bogaty?

- Czyżbyś była interesowna, Elizabeth?

- Bardzo. Uwielbiam wydawać pieniądze. Myślałam jednak o swoim ojcu. Ma pięć pięknych córek, w których żyłach płynie wyłącznie błękitna krew. Wprost tęskni za bogatym zięciem.

- Hmm... - George się zamyślił. - A zatem będzie to jedno z tych małżeństw, które zostają ustalone w niebie i są pobłogosławione na ziemi. Czy nie moglibyśmy zamieszkać w Rowland's Castle? Kiedy zostaniesz moją żoną, na pewno otrzymam tytuł Lorda Majora. Och! Elizabeth, kochanie, zapewne narusza to zasady towarzyskie, ale naprawdę muszę cię pocałować!

Piosenka za sześć pensów

Sir Edward Palliser, radca J.K.M., mieszkał przy Queen Anne's Close pod numerem dziewiątym. Queen Anne's Close jest ślepą uliczką. Położona w samym sercu Westminsteru, zachowała spokojną, staroświecką atmosferę, daleką od zgiełku dwudziestowiecznego miasta. Sir Edwardowi bardzo to odpowiadało.

Sir Edward był w swoim czasie jednym z najwybitniejszych adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych. Teraz, kiedy już nie praktykował, z zamiłowaniem oddawał się gromadzeniu wspaniałego księgozbioru kryminologicznego. Sam również napisał książkę pt. Uwagi o słynnych kryminalistach.

Tego wieczoru sir Edward siedział przed kominkiem w bibliotece i popijając drobnymi łykami doskonałą czarną kawę, kiwał głową nad dziełem Lombrosa. Takie pomysłowe teorie i już nieaktualne...

Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie i dystyngowany lokaj, stąpając po puszystym dywanie, zbliżył się do fotela sir Edwarda.

- Pewna młoda dama chce się z panem widzieć - szepnął dyskretnie.

- Młoda dama?

Sir Edward był zaskoczony. Takie wydarzenie zakłócało zwykły porządek dnia. Przez chwilę zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jego siostrzenica, Ethel, ale odrzucił tę myśl, pewien, że Armour nie omieszkałby o tym napomknąć.

- Czy ta dama przedstawiła się? - zapytał przezornie.

- Nie. Powiedziała tylko, że z pewnością ją pan przyjmie.

- Wprowadź ją - zdecydował sir Edward Palliser z uczuciem przyjemnego zaciekawienia.

Wysoka, zbliżająca się do trzydziestki brunetka, ubrana w dobrze skrojony czarny płaszcz i spódnicę oraz mały czarny kapelusik, podeszła do sir Edwarda z wyciągniętą ręką. Po jej twarzy znać było, że bardzo pragnęła się mu przypomnieć. Armour wycofał się, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Sir Edwardzie... prawda, że mnie pan poznaje? Nazywam się Magdalena Vaughan.

- Ależ tak, oczywiście. - Serdecznie uściśnął wyciągniętą dłoń.

Teraz przypominał ją sobie doskonale. Podróż do domu z Ameryki na pokładzie Silurica i to urocze dziecko - była wówczas prawie dzieckiem! Pamiętał, że zakochał się w niej w staroświeckim, pełnym rezerwy stylu światowego mężczyzny. Była tak zachwycająco

młoda... tak porywająca... tak pełna dlań podziwu - nieomal kultu, jakby stworzona, żeby podbić serce mężczyzny dobiegającego sześćdziesiątki. Te wspomnienia przydały ciepła uściskowi jego ręki.

- Doprawdy miło z pani strony. Proszę usiąść.

Przysunął jej fotel, mówiąc swobodnie i gładko, ale przez cały czas zastanawiał się, dlaczego przysła. Kiedy w końcu przebrzmiały kurtuazyjne słowa, zapadła cisza.

Dziewczyna zaciskała i prostowała palce na poręczy fotela i oblizywała wargi. Nagle odezwała się gwałtownie:

- Sir Edwardzie, potrzebuję pańskiej pomocy. Był zaskoczony, ale odpowiedział odruchowo:

- Słucham panią.

- Powiedział pan, że jeśli kiedykolwiek potrzebowałam pomocy... - ciągnęła z rosnącym napięciem - że jeśli jest cokolwiek na świecie, co mógłby pan dla mnie zrobić... zrobi pan.

Rzeczywiście tak powiedział. Była to obietnica, którą się zwykle składa w chwili rozstania. Przypomniawszy sobie drzenie swego głosu, sposób, w jaki wówczas uniósł jej rękę do ust.

Jeśli kiedykolwiek mógłbym coś dla ciebie zrobić, pamiętaj, możesz na mnie liczyć...

Owszem, takie rzeczy się mówi... Niezwykle jednak rzadko przychodzi spełniać te obietnice. I z pewnością nie po upływie... iluz to... dziewięciu, a może dziesięciu lat? Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Nadal była ładna, ale straciła to, co go wówczas zauroczyło - wdzięk świeżej, niewinnej młodości. Twarz jej miała teraz bardziej interesujący wyraz - być może tego zdania byłby młodszy mężczyzna - ale sir Edward nie odczuwał już tej fali ciepła i wzruszenia, która ogarniała go podczas podróży przez Atlantyckie.

Przybrał oficjalną minę i powiedział dość szorstko:

- Oczywiście, droga młoda damo, będę zachwycony i zrobię wszystko, co w mej mocy, chociaż wątpię, czy potrafię jeszcze komuś pomóc.

Jeśli nawet przygotowywał sobie drogę odwrotu, dziewczyna tego nie zauważyła. Należała do ludzi, którzy w danym momencie widzą tylko swój problem i w tej chwili miała na uwadze wyłącznie własną potrzebę. Uznała chęć pomocy ze strony sir Edwarda za rzecz zrozumiałą.

- Mamy okropne kłopoty.

- My? Jest pani mężatką?

- Nie... Myślałam o sobie i bracie. Och! I o Williamie i Emily również. Muszę jednak to panu wyjaśnić. Mam... miałam ciotkę, pannę Crabtree. Być może czytał pan o niej w gazetach. To było straszne. Została zabita... zamordowana.

- Ach! - Błysk zainteresowania pojawił się na twarzy sir Edwarda. - Miesiąc temu, prawda?

Dziewczyna przytaknęła.

- Trochę krócej - trzy tygodnie.

- Tak, pamiętam. Została uderzona w głowę we własnym domu. Sprawcy nie ujęto.

Magdalena Vaughan znowu przytaknęła. - Nie złapano tego człowieka; nie sądzę, żeby go złapano kiedykolwiek. Widzi pan, prawdopodobnie on w ogóle nie istnieje.

- Jak to?

- To straszne. Nie pisano o tym w gazetach, ale tak właśnie myśli policja. Są przekonani, że nikt nie mógł wejść do domu tamtego wieczoru.

- To znaczy...

- To znaczy, że zrobił to ktoś z nas czworga. Na pewno. Oni nie wiedzą, kto i my też nie wiemy, kto... Nie wiemy. Siedzimy teraz codziennie, patrząc na siebie ukradkiem i zastanawiając się. Och! Jeśli to mógłby być ktoś z zewnątrz... ale nie bardzo wiem, jak...

Sir Edward wpatrywał się w dziewczynę z rosnącym zainteresowaniem.

- Ma pani na myśli, że podejrzewa się członków rodziny?

- Tak. Policja oczywiście tego nie powiedziała. Byli nawet uprzejmi i mili. Przeszukali dom i przesłuchiwali nas wszystkich i Martę wielokrotnie... Nie wiedzą jednak, kto z nas, więc zawiesili sprawę. Tak się boję, tak bardzo się boję...

- Moje drogie dziecko, proszę się uspokoić. Na pewno pani przesadza.

- Nie. To z pewnością zrobił ktoś z nas!

- Kim są te cztery osoby, o których pani mówi?

Magdalena usiadła prosto i odezwała się trochę spokojniej:

- Ja i Matthew. Ciotka Lily była naszą cioteczną babką. Mieszkaliśmy z nią od czternastego roku życia. Jesteśmy bliźniakami. Następnie William Crabtree, jej bratanek. Mieszka z nami razem z żoną, Emily.

- Czy ciotka ich utrzymywała?

- Mniej więcej. William ma trochę własnych pieniędzy, ale nie radzi sobie najlepiej i jest zmuszony mieszkać w rodzinnym domu. To typ spokojnego marzyciela. Jestem pewna, że to zupełnie niemożliwe, aby on... Och, to okropne! Nie mogę nawet o tym myśleć.

- Nadal jestem daleki od zrozumienia sytuacji. Może zechciałyby pani odtworzyć fakty, oczywiście o ile nie jest to dla pani zbyt przykre.

- Och! Chcę panu opowiedzieć. Wszystko stoi mi przed oczami całkiem wyraźnie, straszliwie wyraźnie. Otóż, wypiliśmy herbatę i udaliśmy się do swoich zajęć. Ja szyłam, Matthew pisał artykuł - zajmuje się trochę dziennikarstwem, William układał swoje znaczki. Emily w ogóle nie zeszła na herbatę. Wzięła proszek od bólu głowy i leżała w łóżku. Tak więc wszyscy byliśmy czymś zajęci. Kiedy Marta weszła tam o wpół do ósmej, aby nakryć do kolacji, ciotka Lily już nie żyła. Jej głowa... och, to straszne... była zmiażdżona.

- Przypuszczam, że znaleziono narzędzie zbrodni?

- Tak. Był nim ciężki przycisk do papieru, który zawsze leżał na stoliku przy drzwiach. Policja sprawdzała odciski palców, ale nic nie wykryła. Zostały wytarte.

- Jakie były wasze pierwsze podejrzenia?

- Pomyśleliśmy, oczywiście, że to był złodziej. Dwie lub trzy szuflady biurka zostały wysunięte, jak gdyby czegoś szukano. Oczywiście, że pomyśleliśmy o złodzieju! Potem przybyła policja. Stwierdzili, że ciotka Lily nie żyje co najmniej od godziny i spytali Martę, czy ktoś wchodził do domu. Marta odparła, że nikt. Wszystkie okna były zamknięte od wewnątrz i nic nie wskazywało na to, że ktoś manipulował przy zamkach. Potem zaczęli zadawać pytania...

Zamilkła na chwilę. Pierś jej falowała. Przestraszony i błagalny wzrok utkwiała w Sir Edwardzie, jakby szukając pocieszenia.

- Kto dziedziczy po ciotce?

- To proste. Wszyscy czworo. Zostawiła pieniądze do podziału w równych częściach.

- Jaka jest wartość majątku?

- Prawnik powiedział nam, że zostanie w przybliżeniu osiemdziesiąt tysięcy funtów po opłaceniu podatku spadkowego.

Sir Edward, lekko zdumiony, otworzył oczy.

- Całkiem niezła suma. Przypuszczam, że znaliście wartość majątku ciotki?

Magdalena potrząsnęła głową.

- Nie. Była to dla nas zupełna niespodzianka. Ciotka Lily bardzo ostrożnie dysponowała pieniędzmi. Zatrudniała tylko jedną służącą i stale mówiła o oszczędzaniu.

Sir Edward pokiwał głową w zamyśleniu.

- Pomoże mi pan... pomoże? - spytała Magdalena, wychylając się z fotela.

Jej słowa zabrzmiały w uszach sir Edwarda jak niemiły zgrzyt właśnie w chwili, kiedy historia zaczęła go interesować.

- Moja droga młoda damo, cóż ja mogę zrobić? Jeśli chce pani porady dobrego prawnika, mogę służyć nazwiskiem...

- Och! - Przerwała mu. - Nie o to mi chodzi! Chciałabym, aby pomógł mi pan osobiście... jako przyjaciel.

- To bardzo miłe z pani strony, ale...

- Chcę, żeby pan do nas przyszedł, zadał nam pytania, wszystko sam zobaczył i ocenił.

- Ależ moja droga młoda...

- Proszę nie zapominać, że pan obiecał. Gdziekolwiek... kiedykolwiek... powiedział pan... jeśli będę potrzebowała pomocy...

Wpatrywała się w niego wzrokiem proszącym, pełnym ufności. Czuł się zawstydzony i dziwnie poruszony. Ta jej przerażająca szczerłość, ta bezbrzeżna wiara w pustą obietnicę sprzed dziesięciu lat niczym w uświęconą przysięgę. Iluż mężczyzn wypowiedziało te same słowa - prawie frazesy - i jakże niewielu z nich musiało je spełnić.

- Przypuszczam - odezwał się z wahaniem - że istnieją ludzie, którzy mogą doradzić pani lepiej niż ja.

- Oczywiście, mam wielu przyjaciół. - Był rozbawiony naiwnością tego stwierdzenia. - Ale żaden z nich nie dorównuje panu w mądrości. Jest pan przyzwyczajony do wypytywania ludzi. Przy całym pańskim doświadczeniu musi pan w i e d z i e ć.

- Co wiedzieć?

- Czy oni są winni, czy niewinni.

Uśmiechnął się pod nosem. Pochlebiał sobie, że zazwyczaj rzeczywiście wiedział! Chociaż w wielu wypadkach miał inne zdanie niż ława przysięgłych.

Magdalena nerwowym gestem odsunęła kapelusz z czoła, rozejrzała się po pokoju i rzekła:

- Jak tu cicho. Czy czasami nie tęskni pan za hałasem?

Ślepa uliczka! Niewinne, przypadkowo wypowiedziane słowa dotknęły go do żywego. Tak, ślepa uliczka. Zawsze jednak jest droga wyjścia - ta, którą się przyszło - droga powrotu do świata... Ogarnął go młodzieńczy zapał. Szczere zaufanie dziewczyny przemówiło do najlepszej strony jego natury, problem zaś, z którym przychodziła, do czegoś innego - do duszy urodzonego kryminologa. Chciał zobaczyć ludzi, o których opowiadała, i wyrobić sobie własny pogląd.

- Jeśli naprawdę pani uważa - powiedział - że mogę w czymś pomóc... Proszę jednak wziąć pod uwagę, że niczego nie gwarantuję.

Spodziewał się po niej objawów radości, ale przyjęła to bardzo spokojnie.

- Wiedziałam, że pan to robi. Zawsze myślałam o panu jak o prawdziwym przyjacielu. Pojedzie pan teraz ze mną?

- Nie. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli złożę państwu wizytę jutro. Czy mogłaby pani podać mi nazwisko i adres adwokata panny Crabtree? Chciałbym zadać mu kilka pytań.

Zapisała informacje, po czym podniosła się i odezwała trochę nieśmiało:

- Jestem... naprawdę jestem ogromnie panu wdzięczna. Do widzenia.

- A pani adres?

- Ależ to głupio z mojej strony... Palatine Walk 18, Chelsea.

Była trzecia po południu, kiedy sir Edward statecznym, miarowym krokiem zbliżał się do domu pod numerem osiemnastym na Palatine Walk. Zdążył już zasięgnąć informacji. Rankiem odwiedził Scotland Yard, gdzie zastępca komisarza był jego starym przyjacielem, jak również przeprowadził rozmowę z adwokatem zmarłej panny Crabtree. Teraz miał jaśniejszy obraz sytuacji. Rozporządzenia finansowe panny Crabtree były cokolwiek dziwaczne. Nigdy nie posługiwała się książeczką czekową. Miała zwyczaj pisania do swego adwokata z prośbą o przygotowanie określonej sumy pieniędzy w banknotach pięćofuntowych. Prawie zawsze była to taka sama kwota - trzysta funtów cztery razy do roku. Po pieniądze przyjeżdżała osobiście dorożką, którą uważała za jedyny bezpieczny środek komunikacji. Poza tym nigdy nie opuszczała domu.

W Scotland Yardzie sir Edward dowiedział się, że sprawę pieniędzy zbadano bardzo dokładnie. Zbliżał się właśnie czas podjęcia przez pannę Crabtree następnych. Prawdopodobnie wydała poprzednie trzysta funtów, lub prawie wydała. Nie była to jednak rzecz łatwa do sprawdzenia. Okazało się wkrótce, że kwartalne wydatki panny Crabtree wynosiły znacznie mniej niż trzysta funtów. Wiadomo jednak, że miała zwyczaj wysyłania pięćofuntowych banknotów znajdującym się w potrzebie przyjaciołom lub krewnym. Pozostaje kwestią sporną, czy w chwili jej śmierci znajdowało się w domu dużo czy mało pieniędzy. Nie znaleziono żadnych.

Właśnie o tym zagadnieniu myślał sir Edward, zbliżając się do Palatine Walk.

Drzwi domu, który nie miał suterenu, otworzyła mu niska starsza kobieta o czujnym spojrzeniu. Wprowadziła go do przestronnego, dwuczęściowego salonu, który znajdował się

po lewej stronie małego holu. Kiedy Magdalena weszła do pokoju, sir Edward zauważył, że twarz jej nosiła ślady nerwowego napięcia.

- Prosiła mnie pani o zadanie pytań, więc przyszedłem, aby to zrobić - powiedział uśmiechając się, gdy wymieniali uścisk dłoni. - Najpierw chciałbym wiedzieć, kto ostatni widział pani ciotkę żywą i która dokładnie to była godzina?

- To było po herbacie, o piątej. Marta widziała ją ostatnia. Tamtego popołudnia regulowała rachunki i przyniosła ciotce Lily resztę i księgi rachunkowe.

- Czy ma pani zaufanie do Marty?

- Och, oczywiście. Była z ciotką Lily przez... och, chyba trzydzieści lat. Jest czysta jak kryształ. Sir Edward skinął głową.

- Następne pytanie: dlaczego pani kuzynka, Emily Crabtree, zażyła proszek od bólu głowy?

- Ponieważ bolała ją głowa.

- Oczywiście, ale czy ból głowy spowodowany był jakąś szczególną przyczyną?

- O tak, w pewnym sensie. Podczas lunchu doszło do małej sceny. Emily jest pobudliwa i bardzo znerwicowana. Czasami pomiędzy nią i ciotką Lily wybuchały kłótnie.

- I tak się stało podczas lunchu?

- Tak. Ciotka Lily potrafiła być dokuczliwa w drobnych sprawach. Zaczęło się od błahostki, no a potem poszło już na noże. Emily mówiła różne rzeczy, których na pewno nie miała na myśli - że opuści ten dom i nigdy nie wróci, że żałuje się jej każdego kęsa, który zje... Och, różne takie głupstwa. A ciotka Lily powiedziała, że im prędzej razem z mężem spakują swoje manatki i odejdą, tym lepiej. Ale tak naprawdę to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia.

- Ponieważ państwo Crabtree nie mogli sobie pozwolić na spakowanie walizek i wyprowadzkę?

- Och, nie tylko to. William lubił ciotkę Emily. Naprawdę lubił.

- A nie był to przypadkiem dzień pełen sprzeczek?

Magdalena spłonęła rumieńcem.

- Ma pan na myśli mnie? Kłótnię o to, że chciałam zostać modelką?

- Pani ciotka nie chciała się zgodzić?

- Tak.

- Dlaczego chciała pani zostać modelką, panno Magdaleno? Czy życie modelki wydaje się pani bardzo atrakcyjne?

- Nie. Wszystko wydawało się jednak lepsze niż dalsze przebywanie tutaj.

- Wtedy tak, ale teraz będzie pani miała dochody zapewniające wygodną egzystencję, czyż nie?

- Och, tak. Teraz jest zupełnie inaczej. Przyznała to z najszczerzą prostotą. Uśmiechnął się, ale nie kontynuował tematu. Zamiast tego powiedział:

- A pani brat? Czy też się pokłócił?

- Matthew? Ależ nie.

- Nie można zatem stwierdzić, że miał motyw do usunięcia ciotki. - Na twarzy dziewczyny odmalowało się chwilowe przerażenie, które sir Edward zdążył jednak zauważyć.

- Zapomniałem o czymś - dorzucił zdawkowo. - Był solidnie zadłużony, nieprawdaż?

- Tak. Biedny Matthew!

- Teraz jednak pospłaca rachunki.

- Tak... - westchnęła. - To rzeczywiście wielka ulga. Nadal niczego nie zauważyła! Szybko zmienił temat.

- Czy pani kuzynostwo i brat są teraz w domu?

- Tak. Mówiłam im, że pan przyjdzie. Wszyscy bardzo pragną być pomocni. Och, sir Edwardzie, mam przecucie, że pan wszystko wyjaśni i okaże się, że żadne z nas nie miało z tym nic wspólnego; że jednak był to ktoś z zewnątrz.

- Nie potrafię dokonywać cudów. Może dowiem się prawdy, ale nie mogę sprawić, żeby była ona zgodna z pani życzeniem.

- Nie może pan? Czuję, że może pan zrobić wszystko... wszystko.

Wyszła z pokoju. Sir Edward zamyślił się zaniepokojony. „Co to znaczy? Czy chce, abym podsunął linię obrony? Dla kogo?”

Rozważania przerwało mu wejście mężczyzny około pięćdziesiątki. Był lekko przygarbiony, choć odznaczał się mocną budową ciała. Niedbały strój i rozwichrzony włosy sprawiały, że wyglądał na dobrodusznego i niezbyt pewnego siebie człowieka.

- Sir Edward Palliser? Och, witam pana. Magdalena mnie przysłała. Bardzo miło z pana strony, że chce nam pan pomóc... Nie sądzę jednak, żeby można było tu cokolwiek odkryć. Myślę, że nie złapią tego faceta.

- Uważa pan, że zbrodni dokonał włamywacz, ktoś z zewnątrz?

- Oczywiście. W dzisiejszych czasach tacy ludzie są bardzo sprytni, wspinają się jak koty i potrafią wejść i wyjść, kiedy chcą.

- Gdzie pan był, panie Crabtree, kiedy wydarzyła się tragedia?

- Zajmowałem się znaczkami w moim saloniku na górze.

- Niczego pan nie słyszał?

- To niezbyt mądrze z mojej strony, ale zazwyczaj niczego nie słyszę, kiedy jestem zajęty.

- Czy ten salonik, o którym pan wspominał, znajduje się nad tym pokojem?

- Nie, z tyłu domu.

Drzwi otworzyły się i weszła do salonu niewysoka, jasnowłosa kobieta. Zaciskała nerwowo ręce; wyglądała na wzburzoną i podnieconą.

- Williamie, dlaczego na mnie nie zaczekałeś? Prosiłam cię, żebyś czekał.

- Przepraszam, moja droga. Zapomniałem. Sir Edward Palliser - moja żona.

- Witam panią, pani Crabtree. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, iż przyszedłem tu zadać kilka pytań. Wiem, jak bardzo wszyscy pragniecie wyjaśnić tę sprawę.

- Oczywiście. Ale ja nic nie mogę panu powiedzieć... nieprawdaż, Williamie? Spałam... w swoim łóżku... i obudził mnie dopiero krzyk Marty.

Ciągle nerwowo zaciskała ręce.

- Gdzie znajduje się pani pokój, pani Crabtree?

- Nad tym. Niczego jednak nie słyszałam, jakże bym mogła? Spałam.

Więcej z niej nie wydobył. Nic nie widziała, nic nie słyszała, spała. Powtarzała to wielokrotnie z uporem przestraszonej kobiety. Jednak sir Edward bardzo dobrze wiedział, że mogła to być po prostu - i prawdopodobnie była - prawda.

W końcu przeprosił państwa Crabtree, oświadczając, że chciałby teraz zadać kilka pytań Marcie. William Crabtree zaoferował się zaprowadzić gościa do kuchni. Wychodząc z salonu, sir Edward nieomal zderzył się z wysokim, ciemnowłosym młodym człowiekiem podążającym w kierunku drzwi.

- Pan Matthew Vaughan?

- Tak, ale... Proszę posłuchać, teraz nie mam czasu. Śpieszę się na spotkanie.

- Matthew! - Był to głos jego siostry, dochodzący ze schodów. - Och, Matthew! Obiecałeś...

- Wiem, siostrzyczko. Ale nie mogę. Muszę spotkać się z kumplem. A poza tym, po co ciągle mówić o tej cholerniej sprawie? Policja już o wszystko pytała. Mam powyżej uszu tego całego przedstawienia.

Frontowe drzwi trzasnęły. Pan Matthew Vaughan wyszedł.

Sir Edward został wprowadzony do kuchni. Marta właśnie prasowała. Kiedy go ujrzała, przerwała pracę i zastygła z żelazkiem w ręku. Sir Edward zamknął za sobą drzwi.

- Panna Vaughan poprosiła, abym jej pomógł - powiedział. - Mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli zadam kilka pytań.

Popatrzyła na niego, a potem potrząsnęła głową.

- Żadne z nich tego nie zrobiło. Wiem, co pan myśli, ale to nieprawda. To tacy mili ludzie, że aż trudno sobie wyobrazić.

- Bez wątplenia. Jednak fakt, że są mili, nie stanowi, jak my to nazywamy, dowodu.

- Być może, proszę pana. Prawo to śmieszna rzecz. Ale istnieje dowód, jak pan to nazywa. Żadne z nich nie mogłoby tego zrobić bez mojej wiedzy.

- Ale z pewnością...

- Wiem, co mówię. O, niech pan tylko posłucha... Nad ich głowami rozległ się skrzypiący dźwięk.

- Schody, proszę pana. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi lub schodzi, okropnie skrzypią - żeby nie wiem jak cicho się szło. Pani Crabtree leżała w łóżku, pan Crabtree zabawiał się tymi swoimi okropnymi znaczkami, a panna Magdalena również była na górze i szyla na maszynie. Jeśli ktoś z tej trójki zszedłby na dół, wiedziałabym o tym. Ale tego nie zrobili.

Absolutne przeświadczenie, z jakim mówiła, zrobiło pozytywne wrażenie na prawniku. Dobry świadek, pomyślał. Budzący zaufanie.

- Mogła pani nie zauważyć.

- O, nie. Zauważyłabym bezwiednie - można tak powiedzieć. Podobnie jak pan zauważa, kiedy drzwi się zamykają i ktoś wychodzi.

Sir Edward zmienił front.

- A więc troje z nich ma alibi. Ale jest jeszcze czwarta osoba. Czy pan Matthew Vaughan znajdował się również na górze?

- Nie, przebywał w tym małym pokoju obok i pisał na maszynie. Nie przestał nawet na chwilę. Ani na chwilę, proszę pana. Mogę przysiąc. To bardzo nieprzyjemny, irytujący odgłos.

Sir Edward zrobił krótką przerwę.

- To pani ją znalazła, nieprawdaż?

- Tak, ja. Leżała tam biedna z zakrwawionymi włosami... Nikt nie usłyszał żadnego dźwięku z powodu stukotu maszyny pana Matthew.

- Jak rozumiem, jest pani pewna, że nikt nie wszedł do domu?

- Jakże by mógł bez mojej wiedzy? Tutaj jest dzwonek. I tylko jedne drzwi. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Była pani przywiązana do panny Crabtree? Lekki rumieniec, szczery i wyrazisty, pojawił się na twarzy Marty.

- Tak, rzeczywiście. Panna Crabtree... Tak, starzeje się i teraz już mogę o tym mówić. Kiedy byłam małą dziewczyną, wpadłam w kłopoty, proszę pana, i panna Crabtree nie odwróciła się ode mnie. Przyjęła mnie z powrotem na służbę, kiedy było już po wszystkim. Oddałabym za nią życie... naprawdę.

Sir Edward potrafił wyczuć w słowach szczerość. Marta była szczerą.

- A zatem, o ile pani wie, nikt nie przyszedł do domu?

- Nikt nie mógł przyjść.

- Powiedziałem, o ile pani wie. Ale jeśli panna Crabtree oczekiwała kogoś, jeśli sama komuś otworzyła drzwi...

- Och! - Marta wyglądała na zaskoczoną.

- Przypuszczam, że to możliwe? - naciskał sir Edward.

- Możliwe... tak... ale mało prawdopodobne. To znaczy...

Była naprawdę zaskoczona. Nie mogła zaprzeczyć, a jednocześnie chciała to uczynić. Dlaczego? Ponieważ wiedziała, że prawda leży gdzie indziej. O co chodziło? Cztery osoby w domu i jedna z nich winna? Czy Marta chciała osłonić tę osobę? Czy schody skrzypnęły? Czy ktoś zszedł potajemnie i czy Marta wiedziała, kto to był?

Ona sama była uczciwa - sir Edward w to nie wątpił. Obserwując ją, utwierdzał się w swojej pewności.

- Niewykluczone, że panna Crabtree tak postąpiła. Okno tego pokoju wychodzi na ulicę. Mogła zobaczyć osobę, na którą czekała, i wyjść do holu, aby wpuścić jego lub ją do środka. Mogła nawet nie życzyć sobie, aby ktoś widział tę osobę.

Marta stała zażenowana. Wreszcie odezwała się z lekkim ociąganiem:

- Tak, może ma pan rację. Nigdy nie pomyślałam, że mogła oczekiwać jakiegoś mężczyzny - tak, mogło tak być. - Zaczęła, dostrzegać korzyści płynące z takiej teorii.

- Była pani ostatnią osobą, która widziała ją przy życiu?

- Tak. Kiedy posprzątałam po podwieczorku, zaniosiłam jej księgi rachunkowe i resztę z pieniędzy, które mi dała.

- Czy dała pieniądze w banknotach pięciofuntowych?

- Jeden banknot pięcioletni, proszę pana - powiedziała Marta zaskoczona. - Rachunki nigdy nie przekraczały pięciu funtów. Jestem bardzo oszczędna.

- Gdzie trzymała pieniądze?

- Dokładnie nie wiem, proszę pana. Chyba nosiła je ze sobą, w czarnej aksamitnej torebce. Ale oczywiście mogła je trzymać w jednej z tych zamkniętych szuflad w sypialni. Bardzo lubiła zamykać różne rzeczy, chociaż miała skłonność do gubienia kluczy.

Sir Edward przytaknął.

- Nie wie pani, ile miała pieniędzy, w pięcioletnich banknotach oczywiście?

- Nie, proszę pana. Nie potrafię powiedzieć, ile dokładnie ich było.

- Nie powiedziała nic, co mogłoby wskazywać, że na kogoś czekała?

- Nie.

- Jest pani tego całkiem pewna? Co dokładnie powiedziała?

- A więc... - ciągnęła Marta z namysłem - powiedziała, że rzeźnik jest ni mniej, ni więcej tylko łobuzem i oszustem; że kupiłam o ćwierć funta herbaty za dużo, niż powinnam, oraz że pani Crabtree robi głupio, nie jadając margaryny... Nie spodobała jej się jedna z sześciopensówek, które przyniosłam, jedna z tych nowych, z grawerowanymi liśćmi dębu. Powiedziała, że jest fałszywa i miałam mnóstwo kłopotu, żeby ją wyprowadzić z błędu. I powiedziała też... och, że właściciel sklepu rybnego przysłał łupacze zamiast witlinków, i czy zwróciłam mu na to uwagę. Odpowiedziałam, że tak... No i naprawdę myślę, że to wszystko.

Wypowiedź Marty odmalowała sylwetkę zmarłej damy lepiej niż jakikolwiek szczegółowy opis.

- Dość trudno jej było dogodzić, co? - rzucił zdawkowo sir Edward.

- Trochę grymasiła, ale biedaczka nie wychodziła często i, siedząc w zamknięciu, musiała się czymś rozerwać. Wiele wymagała, ale miała czułe serce; żaden żebrak nie został odesłany z pustymi rękami. Kapryśna może i była, ale też niezwykle miłosierna.

- Cieszę się, Marto, że pozostawiła choć jedną osobę, która jej żałuje.

Stara służąca wstrzymała oddech.

- Myśli pan... och, ależ wszyscy ją lubili... naprawdę... w głębi duszy. Sprzeczekali się z nią od czasu do czasu, ale to o niczym nie świadczyło.

Sir Edward uniósł głowę. Zaskrzypiały schody.

- Schodzi panna Magdalena.

- Skąd pani wie? - spytał ostro.

- Poznając jej kroki - wymamrotała stara kobieta, rumieniąc się na twarzy.

Sir Edward szybko wyszedł z kuchni. Marta nie popełniła błędu. Magdalena zdążyła akurat zejść i spoglądała teraz na sir Edwarda z nadzieją.

- Jak dotąd nie posunąłem się zbyt daleko - stwierdził, odpowiadając na jej spojrzenie, i dodał: - Przypadkiem nie orientuje się pani, jakie listy otrzymała ciotka w dniu śmierci?

- Trzymamy je wszystkie razem. Policja oczywiście je przeglądała.

Poprowadziła gościa z powrotem do dużego salonu i otworzywszy jedną z szuflad, wyjęła z niej dużą czarną aksamitną torebkę, zamykaną na staroświecki srebrny zatrzask.

- Oto torebka ciotki. Znajduje się w niej wszystko tak, jak w dniu jej śmierci.

Sir Edward podziękował Magdalenie, po czym zaczął wyjmować zawartość torebki na stół. Była to, zgodnie z jego wyobrażeniami, typowa torebka starszej ekscentrycznej damy.

Znajdowało się w niej kilka dziwnych srebrnych monet, dwa imbirowe ciasteczka, trzy wycinki z gazet dotyczące sprawy Joanny Southcott, wymięty drukowany wiersz o bezrobotnych, kalendarzyk z poradami na każdy dzień roku, spora kostka kamfory, okulary i trzy listy. Jeden, długi i zawiły, od osoby podpisanej „kuzynka Lucy”, drugi zawierający rachunek za naprawę zegarka, trzeci - prośbę o wsparcie od dobroczynnej instytucji.

Sir Edward przejrzał wszystko bardzo dokładnie, następnie spakował torebkę i oddał ją z westchnieniem Magdalenie.

- Dziękuję, panno. Magdaleno. Obawiam się, że wiele tu nie ma.

Wstał, zauważył, że z okna dobrze widać frontowe schody, następnie ujął dłoń Magdaleny.

- Wychodzi pan?

- Tak.

- Ale... ale wszystko będzie w porządku?

- Ktoś, kto ma do czynienia z prawem, nigdy nie formułuje tak pochopnych stwierdzeń - powiedział poważnie sir Edward i skierował się do wyjścia.

Szedł ulicą pogrążony w myślach. Zagadka leżała w jego rękach, a on jej nie rozwiązał. Potrzebował czegoś, choćby drobiazgu, jakiejś małej wskazówki...

Drgnął, czując czyjaś dłoń na ramieniu. Należała do zdyszanego Matthew Vaughana.

- Gonilem pana, sir Edwardzie. Chcę przeprosić za swoje okropne zachowanie pół godziny temu. Niestety nie grzeszę najlepszym charakterem. To bardzo uprzejme, że zajął się pan tą sprawą. Proszę mnie pytać o wszystko. Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić...

Sir Edward nagle znieruchomiał. Wpatrywał się w coś po drugiej stronie ulicy.

Matthew, trochę zaskoczony, powtórzył:

- Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić, aby pomóc...

- Już pan zrobił, młody człowieku - powiedział sir Edward. - Zatrzymał mnie pan w tym miejscu i skierował uwagę na coś, co niechybnie bym przeoczył.

Wskazał na szyld małej restauracji po drugiej stronie ulicy.

- „Dwadzieścia cztery kosy”? - spytał Matthew zdziwiony.

- Właśnie.

- To niezwykła nazwa, ale- przypuszczam, że można tam nieźle zjeść.

- Nie zaryzykuję i nie będę próbował - odparł sir Edward. - Mimo że jestem nieco starszy od pana, młody przyjacielu, widać lepiej pamiętam dziecinne wierszyki. Jest taki jeden, który, o ile dobrze sobie przypominam, zaczyna się tak: „Piosenka za sześć pensów, kieszeń pełną żyta kłosów, zapieczone w cieście dwa tuziny kosów...” i tak dalej. Reszta nas nie dotyczy. - Obrócił się na pięcie.

- Dokąd pan idzie? - zapytał Matthew Vaughan.

- Wracam do waszego domu, przyjacielu.

Szli w milczeniu. Matthew Vaughan od czasu do czasu obrzucał swego towarzysza zdziwionym spojrzeniem. Kiedy weszli do domu, sir Edward skierował się prosto w stronę szuflady. Wyjął z niej aksamitną torebkę i otworzył ją. Spojrzał wymownie na Matthew i młody człowiek, z lekkim ociąganiem, opuścił pokój.

Sir Edward wysypał srebrne monety na stół. Pokiwał głową w zamyśleniu. Pamięć go nie zawiodła.

Schował coś w rękę, po czym wstał i zadzwonił. Kiedy zjawiała się Marta, powiedział:

- Wspominała pani, Marto, o ile dobrze pamiętam, że posprzeczała się ze swoją panią na temat nowej sześciopensówki.

- Tak, proszę pana.

- Ach! Dziwna rzecz, Marto, ale wśród tych monet nie ma nowej sześciopensówki. Są dwie, ale obie stare.

Przyglądała mu się z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Rozumie pani, co to oznacza? Tamtego wieczoru przyszedł do domu ktoś, komu panna Crabtree dała sześciopensówkę. Sądzę, że dała mu ją w zamian za to...

Szybkim gestem wyciągnął rękę i pokazał kiepski wiersz o bezrobociu. Spojrzał na twarz kobiety i to mu wystarczyło.

- Gra skończona, Marto. Już wiem. Może mi pani wszystko powiedzieć.

Plącząc opadła na fotel.

- To prawda... to prawda... Dzwonek zadzwonił jakoś tak dziwnie... Nie byłam pewna, ale postanowiłam sprawdzić. Doszłam do drzwi akurat w chwili, kiedy ją uderzył. Na stole leżał zwitek pięćofuntowych banknotów - ten widok sprawił, że ją uderzył, i przekonanie, że była sama w domu, ponieważ wpuściła go osobiście. Nie mogłam krzyczeć. Stałam jak sparaliżowana. I wtedy on się odwrócił. Zobaczyłam, że to mój chłopiec... Och, zawsze był niedobry. Dałam mu wszystkie pieniądze, jakie tylko mogłam. Dwukrotnie przebywał w więzieniu. Pewnie przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć i kiedy panna Crabtree, widząc, że nie otwieram, sama podeszła do drzwi, był zaskoczony i wyciągnął jedną z tych ulotek o bezrobociu. Pani zlitowała się, wpuściła go i dała mu sześciopensówkę. A przez cały czas leżał na stole zwitek banknotów, tak jak wtedy, kiedy przyniosłam jej rachunki. W mego Bena wstąpił diabeł; zaszedł ją od tyłu i powalił na ziemię.

- A potem? - zapytał sir Edward.

- Och, cóż mogłam uczynić? To przecież moje ciało i krew. Jego ojciec był nikczemny i Ben ma to po nim, ale jednak to mój rodzony syn. Wyrzuciłam go na dwór i wróciłam do kuchni. Potem o zwykłej porze poszłam nakryć do kolacji. Czy uważa pan, że postąpiłam niegodziwie? Staralam się nie kłamać, kiedy zadawał pan pytania.

Sir Edward wstał.

- Moja biedna kobieto - powiedział ciepłym tonem - bardzo pani współczuję, jednak sprawiedliwości będzie musiało stać się zadość.

- On uciekł z kraju. Nie wiem, gdzie jest.

- Zatem istnieje szansa, że uniknie stryczka, ale proszę zbytnio na to nie liczyć. A teraz chciałbym jeszcze porozmawiać z panną Magdaleną.

- Och, sir Edwardzie, jest pan wspaniały - powiedziała Magdalena, gdy skończył swe krótkie opowiadanie. - Ocalił pan nas wszystkich. Czy kiedykolwiek zdołam się za to odwdzięczyć?

Sir Edward uśmiechnął się i poklepał ją po ręku. Doprawdy był wspaniałomyślnym człowiekiem. Mała Magdalena oczarowała go na pokładzie Silurica. Ach, ten cudowny wdzięk siedemnastolatki! Oczywiście teraz nie było już po nim ani śladu.

- Następnym razem, kiedy będzie pani potrzebowała przyjaciela... - powiedział.

- Przyjdę prosto do pana.

- Och, nie - zawołał sir Edward zatrwożony. - Właśnie chcę doradzić, aby zwróciła się pani do młodszego mężczyzny.

Wyplątał się z ręcznie z objęć wdzięcznej rodziny i zatrzymawszy taksówkę, zaszył się w niej z westchnieniem ulgi.

Nawet czar świeżości siedemnastu lat wydawał się teraz wątpliwy. W gruncie rzeczy nie mógł się równać z dobrze zaopatrzoną biblioteką kryminologiczną.

Taksówka skręciła w Quenn Anne's Close. To była jego ślepa uliczka.

Metamorfoza Edwarda Robinsona

Bill z rozmachem uniósł ją w silnych ramionach i przycisnął do piersi. Westchnąwszy głęboko, poddała mu swe wargi w pocałunku, o jakim nigdy nie marzył...

Edward Robinson z westchnieniem odłożył *W okowach miłości* i wyjrzał przez okno kolejki podziemnej. Przejeżdżali przez Stamford Brook. Edward Robinson myślał o Billu. Bill był stuprocentowym mężczyzną, ulubionym bohaterem powieści dla pań. Edward zazdrościł mu mięśni, wyrazistej, pięknej twarzy i niezwykłych miłosnych uniesień. Wziął znów do rąk książkę i przeczytał opis dumnej markizy Bianki (tej, która poddała swe usta). Miała tak zachwycającą urodę i była tak upajająca, że silni mężczyźni padali przed nią jak kręgle, słabi i bezradni z miłości.

- Oczywiście - powiedział Edward do siebie - tego rodzaju powieściidła to same brednie. Oczywiście brednie. A jednak zastanawiam się...

W jego oczach pojawiła się tęsknota. Czy istnieje gdzieś taki świat romansu i przygody? Czy są kobiety, których uroda odurza? Czy zdarza się miłość niszcząca jak ogień?

- Muszę stąpać po ziemi - powiedział Edward. - Muszę żyć tak samo jak wszyscy inni faceci.

Ogólnie rzecz biorąc, jak sądził, powinien uważać się za szczęśliwego młodego człowieka. Miał świetną posadę - był urzędnikiem w rozwijającym się koncernie; cieszył się dobrym zdrowiem, nie miał nikogo na swoim utrzymaniu i był zaręczony z Maud.

Jednak na samą myśl o Maud pomarkotniał. Chociaż nigdy by się do tego przyznał, obawiał się Maud. Kochał ją - oczywiście - ciągle pamiętał wzruszenie, z jakim podziwiał jej białą szyję, wyłaniającą się z taniej (takiej za cztery szylingi jedenaście pensów) bluzeczki podczas ich pierwszego spotkania. Siedział za dziewczyną w kinie wraz z przyjacielem, który ją znał i przedstawił ich sobie. Niewątpliwie Maud była niepospolitą kobietą - ładną, zdolną, wytworną i zawsze mającą rację. Wszyscy uważali, że należy do dziewcząt, które stanowią znakomity materiał na żonę.

Edward zastanawiał się, czy markiza Bianka byłaby dobrą żoną, i miał co do tego pewne wątpliwości. Nie potrafił sobie wyobrazić zmysłowej Bianki z jej czerwonymi wargami i kapryśnym usposobieniem, jak mozolnie przyszywa guziki, powiedzmy, dla Billa. Nie, Bianka to heroina romansu, on zaś żył w innej rzeczywistości. Razem z Maud będą bardzo szczęśliwi. Miała tyle zdrowego rozsądku...

Cóż, wolałby jednak, żeby nie była aż tak bardzo zasadnicza, tak skłonna „wejść mu na głowę”...

Oczywiście jej postępowanie wynikało z rozważli. Maud była bardzo praktyczna. Edward zwykle również postępował rozsądnie, ale czasami... Na przykład chciał wziąć ślub w czasie świąt Bożego Narodzenia. Maud jednak zwróciła uwagę, że rozsądniej będzie trochę poczekać - może rok lub dwa. Edward nie zarabiał zbyt dużo. Kiedy ofiarował jej drogi pierścionek, przeraziła się i zmusiła Edwarda do odniesienia go z powrotem i zamianę na tańszy. Tak, Maud była uosobieniem zalet, ale Edward czasami chciał, żeby posiadała więcej wad. Jej cnoty prowadziły go do desperackich posunięć.

Na przykład...

Rumieniec winy oblał mu twarz. Przecież musi jej powiedzieć. I to wkrótce. Sekretne przewinienie sprawiło, że już zachowywał się dziwnie. Jutro Wigilia - pierwszy z trzech wolnych dni świąt Bożego Narodzenia. Maud zaproponowała, żeby spędził jeden świąteczny dzień z jej rodziną. Wykręcił się z tego w niezręczny, głupi sposób, który wcale nie uśmierzył jej podejrzeń. Opowiedział długą zmyśloną bajeczkę o koledze na wsi, któremu obiecał, że z nim spędzi ten dzień.

Żaden kolega na wsi nie istniał. Istniała tylko jego słodka tajemnica.

Trzy miesiące temu Edward Robinson, podobnie jak kilka tysięcy innych młodych mężczyzn, wziął udział w konkursie zorganizowanym przez jeden z tygodników. Zaprezentowano dwanaście dziewcząt, które należało uszeregować w kolejności od najbardziej do najmniej pociągającej. Edward wpadł na wspaniały pomysł. Osobiste upodobania z pewnością okazałyby się błędne; zauważył to przy okazji kilku podobnych konkursów. Napisał więc dwanaście nazwisk w porządku zgodnym z własnymi gustami, po czym przepisał je raz jeszcze, biorąc na przemian jedno z góry, a drugie z dołu listy.

Kiedy ogłoszono wyniki, okazało się, że Edward prawidłowo umieścił osiem z dwunastu nazwisk i zdobył pierwszą nagrodę w wysokości pięciuset funtów. Można by ów wynik po prostu przypisać szczęściu, Edward jednak był święcie przekonany, że stanowi on bezpośredni rezultat opracowanego przez niego systemu. Napawało go to niezwykłą dumą.

Pozostawało pytanie: co zrobić z sumą pięciuset funtów? Doskonale zdawał sobie sprawę, co powiedziałyby Maud. Zainwestuj pieniądze jako zaczątek majątku na przyszłość. I oczywiście miałyby świętą rację - tego był pewien. Wygrana w konkursie wywołuje jednak uczucie nieporównywalne z czymkolwiek.

Gdyby otrzymał pieniądze w spadku, niewątpliwie ulokowałby je w jakichś korzystnie notowanych papierach wartościowych. Jednak pieniądze uzyskane niewiarygodnym fartem - jednym pociągnięciem pióra - są niczym sześciopensówka ofiarowana dziecku: „Masz, wydaj ją, jak chcesz”.

W pewnym luksusowym sklepie, który Edward mijał codziennie w drodze do biura, stał nieprawdopodobny wprost obiekt marzeń - mały, dwuosobowy samochód o długiej lśniącej masce i jednoznacznie brzmiącej cenie: czterysta sześćdziesiąt pięć funtów.

- Gdybym był bogaty - powtarzał sobie Edward dzień po dniu. - Gdybym był bogaty, kupiłbym cię.

Teraz zaś był może nie całkiem bogaty, ale wystarczająco, by zrealizować marzenie. Ten samochód, to błyszczące, ponętne cacko, może być jego własnością, jeśli tylko zechce zapłacić.

Początkowo zamierzał powiedzieć Maud o pieniądzach. To by go uchroniło przed pokusą. Widok przerażenia i dezaprobaty na twarzy Maud odebrałby mu odwagę, i nie upierałby się przy swoim szaleństwie. Ale, jak to czasem bywa, sama Maud rozstrzygnęła sprawę. Edward zabrał ją do kina. Kupił bilety na najdroższe miejsca. Grzecznie, lecz stanowczo wytknęła mu karygodne marnotrawienie pieniędzy; trzy szylingi i sześć pensów zamiast dwóch szylingów i czterech pensów, podczas gdy równie dobrze widzi się z ostatnich miejsc.

Edward przyjął te wyrzuty w posepnym milczeniu. Maud była usatysfakcjonowana, że jej argumenty zrobiły na nim wrażenie. Edwardowi w żadnym razie nie można pozwolić na dalsze ekstrawagancje. Kocha Edwarda, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że ma słaby charakter.

Na niej spoczywa odpowiedzialność pokierowania nim tak, jak należy. I z satysfakcją obserwowała jego metamorfozę.

Edward istotnie przypominał robaka. Tak jak robak ulegał przeobrażeniu. Jednak słowa Maud dobiły go, i w tej samej chwili postanowił kupić samochód.

„Do licha!”, zaklął w duszy. „Raz w życiu zrobię to, na co mam ochotę. Do diabła z Maud!”

Następnego poranka przekroczył próg przybytku ze szlifowanego szkła, gdzie w całym swym blasku i majestacie stały lśniące lakierem metalowe cacka, i z nonszalancją, która go sama zaskoczyła, kupił samochód. Kupić samochód! To była najprostsza rzecz na świecie.

Już czwarty dzień czuł się jego szczęśliwym posiadaczem. Zachowywał się z pozoru spokojnie, ale duszę rozpierał mu zachwyty. Do tej pory nie pisał Maud ani słówka. Przez cztery dni w czasie przerwy obiadowej uczył się prowadzić wspaniałą maszynę. Był pojętym uczniem.

Jutro, w Wigilię, wybierał się na przejażdżkę poza miasto. Okłamał Maud i zrobi to znów, jeśli zajdzie potrzeba. Nowy nabytek zawładnął jego ciałem i duszą. Samochód był dlań Romansem i Przygodą - wszystkim za czym tęsknił i czego nigdy nie doświadczył. Jutro wyruszy na swoim rumaku na eskapadę. Popędzę przez przenikliwe, zimne powietrze, ku bezkresnym, dalekim przestrzeniom, pozostawiając zgiełk i niepokój Londynu za sobą.

W tej chwili Edward, choć o tym nie wiedział, był bliski zostania poetą.

Jutro...

Spojrzał na trzymaną w rękę książkę *W okowach miłości*. Roześmiał się i wsunął ją do kieszeni. Samochód, czerwone wargi markizy Bianki, zdumiewająca dzielność Billa - wszystko zdawało się razem powiązane. Jutro...

Pogoda, zazwyczaj niepewny sprzymierzeniec, nie zawiodła Edwarda. Dzień był jak wymarzony - lśniący szron, błękitne niebo i słońce w kolorze żółtego pierwiosnka.

Tak więc w awanturnicznym nastroju, niczym swawolny śmiałek, Edward wyruszył z Londynu. Miał trochę kłopotów przy Hyde Park Corner i przykre doświadczenia na Putney Bridge. Zgrzytały biegi i piszcząca hamulce, a kierowcy innych pojazdów nie skąpili Edwardowi złorzeczeń. Nowicjusz wyszedł jednak z oparów całkiem nieźle i po chwili znalazł się na jednej z tych szerokich dróg, które stanowią przedmiot zachwyty zmotoryzowanych. Na drodze panował niewielki ruch. Edward jechał i jechał; pijany władzą nad lśniącym cackiem pędził przez zimny, biały świat w boskim uniesieniu.

To był upajający dzień. Najpierw zatrzymał się na lunch w staroświeckiej gospodzie, trochę później na herbatę. Potem zawrócił do domu - do Londynu, do Maud, do nieuniknionych wyjaśnień, wyrzutów...

Z westchnieniem odrzucił te myśli. Co ma być, to będzie. Ciągle jeszcze jest dzisiaj. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej fascynującego? Pęd przez ciemność, rozświetlaną tylko szukającymi drogi reflektorami. To była najwspanialsza rzecz na świecie!

Zorientował się, że nie ma czasu, żeby zatrzymać się na kolację. Jazda w ciemności wymaga uwagi. Droga do Londynu zabierze mu więcej czasu, niż przypuszczał. Była akurat ósma, gdy minął Hindhead i wjechał na obrzeża Devil's Punch Bowl. Świecił księżyc, a śnieg, który spadł dwa dni temu, jeszcze nie stopniał.

Edward zatrzymał wóz i podziwiał widok. Czyż miało to znaczenie, że nie wróci do Londynu przed północą?

Czyż miało znaczenie, że w ogóle nie wróci? Nie mógł tak od razu oderwać się od tego wszystkiego.

Wysiadł z samochodu i podszedł do krawędzi wzgórza. Tuż obok kusząco wiała się w dół ścieżka. Edward poddał się urokowi chwili. Przez następne pół godziny wędrował jak szalony po pokrytym śniegiem świecie. Nigdy nie wyobrażał sobie czegoś podobnego. Teraz to należało do niego, wyłącznie do niego, i zostało mu dane przez błyszczącego rumaka, który czekał nań w górze, na drodze.

Wreszcie wspiął się z powrotem na zbocze, wszedł do samochodu i odjechał, ciągle nieco oszołomiony pięknem, które zaganiany człowiek odkrywa raz na jakiś czas.

Z westchnieniem odzyskał równowagę i wsunął rękę do bocznej kieszeni w drzwiach, gdzie wcześniej schował dodatkowy szalik.

Szalika tam jednak nie znalazł. Kieszeń była pusta. Nie, nie całkiem pusta; znajdowało się w niej coś twardego, co chrzęściło w ręce jak kamyki.

Edward wsunął dłoń głębiej. Po chwili gapił się jak człowiek pozbawiony zmysłów. Diamentowy naszyjnik, migoczący w świetle księżyca tysiącami iskierek, zwisał mu między palcami.

Edward gapił się i gapił. Nie miał wątpliwości. Diamentowa kolia, warta prawdopodobnie tysiąc funtów (kamienie były duże), została niedbale wrzucona do bocznej kieszeni drzwi samochodu.

Kto ją włożył? Z pewnością nie było tam naszyjnika, kiedy wyruszał z miasta. Ktoś musiał to zrobić, kiedy Edward spacerował. Ale dlaczego? Dlaczego wybrano właśnie jego samochód? Czy właściciel naszyjnika pomylił się? A może... a może to skradziony naszyjnik?

I nagle, gdy wszystkie te myśli wirowały mu w głowie, Edward poczuł, jak po ciele przebiegają mu ciarki. To nie był jego samochód.

Owszem, był bardzo podobny. Miał ten sam błyszczący odcień purpury - czerwony jak wargi markizy Bianki - tę samą długą i lśniącą maskę, ale po wielu szczegółach Edward zorientował się, że to nie jego samochód. Nosił nieznaczące, ale dające się zauważyć ślady zniszczenia i zużycia. Błyszczący lakier tu i tam był zadrapany. W takim więc razie...

Edward, nie wdając się w dalsze rozmyślenia, w pośpiechu usiłował zawrócić. Zawracanie nie było jego mocną stroną. Wrzuciwszy wsteczny bieg, stracił głowę i skręcił kierownicą w niewłaściwą stronę. Co więcej, jak to się często zdarzało, pomyliły mu się, z

katastrofalnym rezultatem, pedały gazu i hamulca. W końcu jednak odniósł sukces i samochód z cichym warkotem pomknął po wzgórzu.

Edward przypomniał sobie, że widział wcześniej stojący gdzieś nie opodal inny samochód. Wówczas nie zwrócił uwagi na szczegóły. Wracając ze spaceru, wybrał inną ścieżkę niż ta, którą zszedł do doliny. Ta druga ścieżka doprowadziła go wprost do samochodu, jak wówczas sądził - własnego. Tymczasem musiał to być ten drugi.

Dziesięć minut później Edward raz jeszcze znalazł, się w miejscu, gdzie zatrzymał swój wóz. Teraz wozu tam nie było. Właściciel podobnego samochodu, prawdopodobnie również pomylił się i odjechał.

Edward wyjął z kieszeni diamentowy naszyjnik i z zakłopotaniem przekładał go między palcami.

Co teraz robić? Jechać na najbliższy posterunek policji? Wyjaśnić okoliczności, przekazać naszyjnik i podać numery własnego wozu?

A właśnie, jakie były numery jego samochodu? Edward długo myślał, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć. Czuł, że oblewa go zimny pot. Na posterunku policji zrobi z siebie kompletnego durnia. Numer rejestracyjny zawierał ósemkę - to jedyne, co zdołał sobie przypomnieć. Oczywiście to nie miało znaczenia - przynajmniej... Z zakłopotaniem popatrzył na diamenty. Przypuśćmy, że pomyślą... Nie, nie zrobią tego. A jeśli jednak pomyślą... że ukradł samochód i diamenty? A pomijając wszystko, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, czy ktoś o zdrowych zmysłach włożyłby niedbale diamentowy naszyjnik do kieszeni w drzwiach samochodu?

Edward wysiadł i obszedł wóz dookoła. Na tylnej tablicy rejestracyjnej widniał numer XR10061. Ten numer nic Edwardowi nie mówił, poza tym oczywiście, że nie był to numer jego wozu. Następnie przystąpił do systematycznego przeszukiwania wszystkich schowków. W kieszeni, w której znalazł diamenty, dokonał kolejnego odkrycia. Była to mała karteczka zapisana kilkoma słowami. Edward z łatwością je odczytał w świetle reflektorów.

Spotkamy się w Greane, na rogu Salter's Lane, o dziesiątej.

Przypomniał sobie nazwę Greane. Widział ją już wcześniej na tablicy drogowej. Szybko podjął decyzje. Pojedzie do tej miejscowości, znajdzie Salter's Lane, spotka się z autorem karteczki i wszystko wyjaśni. To będzie lepsze niż robienie z siebie durnia na posterunku policji.

Rozpoczął jazdę niemalże w radosnym nastroju. Mimo wszystko była to przygoda. Takie rzeczy nie zdarzają się każdego dnia. Dzięki diamentowemu naszyjnikowi przygoda zapowiadała się pasjonująco i tajemniczo.

Miał trochę trudności ze znalezieniem Greane, a jeszcze więcej z odszukaniem Salter's Lane, ale po dwukrotnym zapytaniu o drogę dopiął celu.

Było już kilka minut po wyznaczonej porze, kiedy jechał wolno wąską drogą, bacznie przypatrując się lewej stronie, do której - jak go poinformowano - dochodziła Salter's Lane.

Odnalazł ją nagle za zakrętem i w chwili, gdy zatrzymał samochód, wybiegła ku niemu z ciemności jakaś postać.

- Nareszcie! - Usłyszał dziewczęcy głos. - Gdzie, na Boga, byłeś, Geraldzie!

Kiedy dziewczyna podeszła bliżej i znalazła się w świetle reflektorów, Edward wstrzymał oddech. Stała oto przed nim najwspanialsza istota, jaką kiedykolwiek widział.

Była młoda, miała włosy czarne jak noc i cudowne, purpurowe usta. Futrzana peleryna zwisająca z jej ramion była szeroko rozpięta. Edward zauważył, że pod spodem miała wieczorową suknię w kolorze ognistej czerwieni, która swym obcisłym fasonem podkreślała jej doskonałą figurę, szyję zaś zdobił sznur pięknych pereł.

Nagle dziewczyna wzdrygnęła się.

- O Boże! - zawołała. - Przecież ty nie jesteś Geraldem!

- Muszę coś wyjaśnić - powiedział Edward pośpiesznie. Wyjął z kieszeni diamentowy naszyjnik i podał go jej. - Nazywam się Edward...

Nie zdążył dokończyć, dziewczyna bowiem klasnęła w ręce i przerwała mu z ożywieniem:

- Edward, oczywiście! Tak się cieszę. Ten idiota Jimmy powiedział mi przez telefon, że wysłał samochodem Geralda. To bardzo uprzejmie z twojej strony, że przyjechałeś. Ogromnie chciałam cię spotkać. Pamiętasz, że ostatni raz widzieliśmy się, kiedy miałam sześć lat? Och, masz naszyjnik... Schowaj go, proszę, z powrotem do kieszeni. Może nadejść policjant i go zobaczyć. Brr, zmarzłam na kość! Pozwól, że wejdę do środka.

Jak we śnie, Edward otworzył drzwi, a ona wsunęła się delikatnie i usiadła obok niego. Futro musnęło mu policzek, a ledwie uchwytny zapach zroszonych deszczem fiołków uderzył go w nozdrza.

Nie miał żadnego planu, żadnych jasno sprecyzowanych zamiarów. W jednej chwili, jakby nie całkiem świadomie, oddał się przygodzie. Nazwała go Edwardem - czyż miało

znaczenie, że był nie tym Edwardem? Wkrótce odkryje swój błąd, tymczasem zaś niech gra toczy się dalej! Nacisnął sprzęgło i odjechali.

Po chwili dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Śmiech jej był również cudowny, jak ona sama.

- Od razu widać, że nie znasz się na samochodach. Przypuszczam, że dużo ich tam nie ma?

„Zastanawiam się, gdzie to »tam« się znajduje”, pomyślał Edward, głośno natomiast powiedział:

- Niewiele.

- Lepiej, jeśli sama poprowadzę - zauważyła dziewczyna. - To trudna sztuka wyjechać na główną szosę, nie gubiąc się wśród tych wiejskich dróg.

Z przyjemnością oddał jej kierownicę. Po chwili mknęli w ciemnościach z prędkością i brawurą, które w głębi duszy przeraziły Edwarda. Dziewczyna odwróciła do niego głowę.

- Lubię szybką jazdę. A ty? Wiesz... jesteś zupełnie niepodobny do Geralda. Nikt by was nie wziął za braci. Całkiem inaczej sobie ciebie wyobrażałam.

- Myślę - odparł Edward - że jestem zupełnie przeciętny.

- Wcale nie przeciętny, tylko inny. Nie mogę cię rozpoznać. Jak się miewa biedny Jimmy? Ma wszystkiego dosyć, jak sądzę?

- Och, Jimmy czuje się dobrze - odparł Edward.

- Łatwo powiedzieć. To prawdziwy pech skreślić nogę w kostce. Czy opowiedział ci całą historię?

- Ani słowa. Nie mam zielonego pojęcia. Może mi więc wyjaśnisz...

- Och, wszystko działo się jak we śnie. Jimmy wszedł frontowymi drzwiami, przebrany za kobietę. Oczekałam chwilę i wdrapałam się na okno. W pokoju służąca Agnes Larelli przygotowywała jej garderobę i klejnoty. Potem na dole rozległ się wrzask; wystrzeliła petarda i wszyscy krzyčili, że się pali. Pokojówka wybiegła, ja zaś wskoczyłam do środka, chwyciłam naszyjnik i czmychnęłam w okamgnieniu tylną drogą przez Punch Bowl. W biegu włożyłam naszyjnik i karteczkę z wiadomością do bocznej kieszeni samochodu. Potem dołączyłam w hotelu do Louise, oczywiście wcześniej zmieniając buty. Mam doskonałe alibi. Louise nie ma pojęcia, że w ogóle wychodziłam.

- A co z Jimmym?

- Przecież o tym wiesz więcej niż ja.

- Nic mi nie powiedział - odparł Edward spokojnie.

- Krótko mówiąc, noga zaplątała mu się w spódnicę i skrzył ją w kostce. Musieli zanieść go do samochodu. Szofer Larellich odwiózł go do domu. Wyobraź sobie, co by było, gdyby szofer przypadkiem włożył rękę do bocznej kieszeni drzwi!

Edward śmiał się wraz z dziewczyną, ale mózg mu pracował. Mniej więcej zrozumiał sytuację. Nazwisko Larella nie było mu obce - oznaczało bogactwo. Ta dziewczyna i mężczyzna o imieniu Jimmy uknuli spisek, aby skraść naszyjnik, i udało im się. Ponieważ Jimmy miał skrzyconą kostkę i był w obecności szofera, nie mógł zajrzeć do skrytki w samochodzie, zanim zatelefonował do dziewczyny; prawdopodobnie zresztą nie chciał tego robić. Ale było oczywiste, że nieznaną Gerald zrobi to przy najbliższej okazji. I wówczas znajdzie szalik Edwarda!

- Dobrze poszło - powiedział do dziewczyny.

Pociąg metra przemknął obok nich; znajdowali się na przedmieściach Londynu. Samochód puł jak błyskawica, a Edwardowi żołądek podchodził do gardła. Ta dziewczyna prowadziła doskonale, ale stanowczo zbyt ryzykownie!

W kwadrans później zatrzymali się przed okazałym budynkiem na oblodzonym placu.

- Tutaj możemy się przebrać - powiedziała dziewczyna. - Potem udamy się do Ritsona.

- Do Ritsona? - zapytał Edward. Nazwę słynnego nocnego klubu wymówił prawie z czcią.

- Tak. Czy Gerald ci nic nie powiedział?

- Nie - odparł Edward ponuro. - A co z moim ubraniem?

Zmarszczyła brwi.

- Czy oni ci absolutnie nic nie powiedzieli? Jakoś cię wystroimy. Trzeba to będzie załatwić.

Dystyngowany lokaj otworzył drzwi, stanął z boku i wpuścił ich do środka.

- Pan Gerald Champneys dzwonił do jaśnie pani. Bardzo pragnął z panią rozmawiać, ale nie zostawił żadnej wiadomości.

„Założę się, że bardzo pragnął z nią rozmawiać” - pomyślał Edward. „Przynajmniej znam teraz swoje nazwisko. Ale kimże ona jest? Lokaj zwracał się do niej »jaśnie pani«... Po co chciała ukraść naszyjnik? Czyżby karciane długi?”

W odcinkowych powieściach, które czasami czytywał, piękne i utytułowane bohaterki były zawsze doprowadzone do rozpaczki z powodu karcianych długów.

Lokaj odprowadził Edwarda i przekazał go w ręce sprawnego, służącego. Wystarczył kwadrans i Edward dołączył do swej gospodyni, w wytwornym, pochodzącym z Savile Row, stroju wieczorowym, który leżał na nim jak ulał.

Wielkie nieba! Co za noc!

Pojechali samochodem do sławnego Ritsona. Podobnie jak inni, Edward czytywał skandalizujące notatki na temat Ritsona. Każdy, kto liczył się w towarzystwie, wcześniej czy później pokazywał się u Ritsona. Edward obawiał się jedynie, że może spotkać kogoś, kto znał prawdziwego Edwarda Champneysa. Pocieszał się jednak myślą, że prawdziwy Edward z pewnością od kilku lat przebywał poza Anglią.

Siedzieli przy stoliku pod ścianą i popijali koktajle. Koktajle! Dla naiwnego Edwarda koktajle stanowiły kwintesencję hulaszczego życia. Dziewczyna, otulona wspaniałym haftowanym szalem, nonszalancko sączyła swojego drinka. Nagle zrzuciła szal i wstała.

- Zatańczmy.

Jedyną czynnością, którą Edward doprowadził do perfekcji, był taniec. Gdy razem z Maud tańczyli w Palais de Danse, inni, mniej znakomici tancerze, stali i obserwowali ich z podziwem.

- O mało nie zapomniałam - powiedziała nagle dziewczyna. - Masz naszyjnik?

Wyciągnęła rękę. Edward, całkowicie oszołomiony, wyjął naszyjnik z kieszeni i podał jej. Ku jego absolutnemu zdumieniu, dziewczyna spokojnie zapięła go sobie na szyi, po czym uśmiechnęła się promiennie.

- Teraz - powiedziała cicho - zatańczmy.

Tańczyli. I nic doskonalszego nigdy nie widziano u Ritsona.

Kiedy wreszcie wrócili do stolika, starszy dżentelmen o szarmanckim wyglądzie zagadnął towarzyszkę Edwarda:

- Ach! Lady Noreen, jak zwykle tańcząca! Tak, tak. Czy kapitan Folliot jest tu dziś wieczorem?

- Jimmy miał wypadek. Skręcił nogę w kostce.

- Co też pani mówi! Jak to się stało?

- Na razie brak szczegółów.

Roześmiała się i odeszła.

Edward szedł za nią. Kręciło mu się w głowie. Teraz już wiedział. Lady Noreen Eliot, słynna lady Noreen Eliot we własnej osobie, dziewczyna, o której mówiła cała Anglia. Podziwiana za swą urodę i odwagę przywódczyni grupy znanej jako Klub Złotej Młodzieży.

Ostatnio zostały ogłoszone jej zaręczyny z Jamesem Folliotem, kapitanem Kawalerii Królewskiej odznaczonym Krzyżem Wiktorii.

Ale o co chodziło z tym naszyjnikiem? Ciągłe nie mógł tego zrozumieć. Zdawał sobie sprawę, że może się zdemaskować, ale musiał wiedzieć.

Kiedy usiedli, rozpoczął rozmowę na ten temat.

- Dlaczego, Noreen? - zapytał. - Powiedz mi, dlaczego?

Uśmiechnęła się sennie, jej oczy błędziły gdzieś daleko; nadal zauroczona była tańcem.

- Przypuszczam, że trudno ci to zrozumieć. Człowiek czuje się znudzony jednostajnością. Wiecznie to samo. Poszukiwanie skarbów było dobre na jakiś czas, ale w końcu wszystko się nudzi. „Kradzieże” - to był mój pomysł. Wpisowe pięćdziesiąt funtów i udział w zyskach. Ta jest trzecia. Razem z Jimmym wylosowaliśmy Agnes Lorellę. Znasz zasady?. Kradzieży trzeba dokonać w ciągu trzech dni, łup zaś należy nosić na sobie przynajmniej przez godzinę w miejscu publicznym, w przeciwnym razie traci się wpisowe i płaci karę w wysokości stu funtów. To pech, że Jimmy skręcił nogę, ale i tak zgarnęliśmy pulę.

- Ach tak - powiedział Edward. - Rozumiem. Noreen nagle wstała, otulając się szalem.

- Zabierz mnie gdzieś. Na przykład do doków. Gdzieś, gdzie jest strasznie i podniecająco. Poczekaaj chwilę. - Zdjęła z szyi diamenty. - Lepiej znów je schowaj, nie chcę zostać zamordowana z ich powodu.

Opuścili Ritsona. Samochód stał przy bocznej, wąskiej i ciemnej ulicy. Kiedy skręcili za róg, przy krawężniku zatrzymał się jakiś wóz, z którego wyskoczył młody człowiek.

- Dzięki Bogu, Noreen! Nareszcie cię znalazłem. Diabli wszystko wzięli. Jimmy odjechał niewłaściwym samochodem. Bóg jeden wie, gdzie są teraz diamenty. Jesteśmy w piekielnych kłopotach.

Lady Noreen wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Co to ma znaczyć? Przecież mamy diamenty. Edward je ma.

- Edward?

- Tak. - Nieznacznym gestem wskazała na postać u swego boku.

„To ja mam piekielne kłopoty”, pomyślał Edward. Dziesięć do jednego, że to jest Gerald, brat Edwarda.

Młody człowiek przypatrywał mu się uporczywie.

- Co masz na myśli? - powiedział wolno. - Przecież Edward jest w Szkocji.

- Och! - wykrzyknęła dziewczyna, patrząc na Edwarda. - Och! - Zaczerwieniła się i pobladła. - A więc kim ty jesteś? - spytała cicho.

Minęła chwila, zanim Edward zapanował nad sytuacją. W oczach dziewczyny malowało się przerażenie, ale również - czyż to możliwe - podziw? Czy powinien wszystko wyjaśnić? O nie, to byłoby zbyt banalne! Odegra swą rolę do końca.

Skłonił się ceremonialnie.

- Musze pani podziękować, lady Noreen za doprawdy uroczy wieczór - powiedział tonem dżentelmena-włamywacza.

Byстрыm spojrzeniem obrzucił samochód, z którego właśnie wysiadł młody człowiek. Purpurowy samochód z lśniącą maską! Jego samochód!

- I życzę państwu miłego wieczoru - dodał.

Jednym szybkim skokiem znalazł się w środku i wcisnął sprzęgło. Samochód ruszył. Gerald stał jak sparaliżowany, ale dziewczyna zareagowała natychmiast. Gdy samochód przejeżdżał obok, skoczyła ku niemu i zdołała wylądować w środku.

Samochód wszedł na oślep w zakręt, po czym stanął. Noreen, ciągle dysząc z wysiłku, położyła rękę na ramieniu Edwarda.

- Musisz mi go oddać. Och, musisz mi go oddać. Chcę zwrócić go Agnes Larelli. Nie rób mi zawodu. Spędziliśmy razem miły wieczór... tańczyliśmy... byliśmy... kumplami. Nie oddasz go mnie? Mnie?

Kobieta, która odurzała swą urodą. A więc istniały takie kobiety...

Edward również niczego bardziej nie pragnął, jak pozbyć się naszyjnika. Niebiosa zesłały mu możliwość zrobienia wspaniałomyślnego gestu.

Wyjął naszyjnik z kieszeni i wsunął w jej rozwartą dłoń.

- Byliśmy... kumplami - powiedział.

- Ach! - Tłące się w jej oczach iskierki rozbłysły.

Niespodziewanie schyliła ku niemu głowę. Przez chwilę obejmował ją, jej usta dotykały jego ust...

Po chwili już jej nie było. Purpurowy samochód ruszył do przodu.

Romans!

Przygoda!

W Boże Narodzenie o dwunastej w południe Edward Robinson wszedł do maleńkiego saloniku domu w Clapham z tradycyjnym pozdrowieniem „Wesołych Świąt”.

Maud, która właśnie poprawiała dekorację z gałązek ostrokrzewu, powitała go zimno.

- Czy miło spędziłeś dzień na wsi z tym swoim przyjacielem? - zapytała.

- Posłuchaj - rzekł Edward. - Okłamałem cię. Wygrałem w konkursie pięćset funtów i za te pieniądze kupiłem samochód. Nie powiedziałem ci, wiedząc, że zrobisz z tego powodu awanturę. To po pierwsze. Kupiłem samochód i temat ten uważam za zakończony. A po drugie... Nie mam zamiaru czekać nie wiadomo jak długo. Moje widoki na przyszłość rysują się całkiem nieźle i zamierzam poślubić cię w przyszłym miesiącu. Zrozumiano?

- Och! - szepnęła Maud słabym głosem. Czyżby to był... Czyż to rzeczywiście Edward przemawiał w tak władczy sposób?

- Zgadzasz się? - zapytał Edward. - Tak czy nie?

Patrzyła na niego jak urzeczona. W jej spojrzeniu malował się strach i podziw. Widok ten był dla Edwarda upajający. Pierzchła gdzieś jej macierzyńska pobłażliwość, która wyprowadzała go z równowagi.

Wczoraj wieczorem w taki sam sposób patrzyła na niego lady Noreen. Lady Noreen odpłynęła jednak w dal, w krainę romansu, razem z markizą Bianką. Tutaj była rzeczywistość. To była jego kobieta.

- Tak czy nie? - powtórzył, zbliżając się ku niej o krok.

- Ta-ak - zająknęła się Maud. - Ale, och, Edwardzie, co ci się stało? Jesteś zupełnie odmieniony.

- Owszem - zgodził się Edward. - Przez dwadzieścia cztery godziny byłem prawdziwym mężczyzną, a nie marnym robakiem i, na Boga, to się oplaca!

Wziął ją w ramiona prawie tak samo, jak uczyniłby to supermen Bill.

- Kochasz mnie, Maud? Powiedz mi, czy mnie kochasz?

- Och, Edwardzie! - szepnęła Maud. - Uwielbiam cię.

Wypadek

- Powiadam ci, to ta sama kobieta. Nie ulega wątpliwości!

Kapitan Haydock popatrzył na ożywioną twarz przyjaciela i westchnął. Wolałby, żeby Evans nie był tak przekonany i tak pełen triumfu. W ciągu życia spędzonego na morzu stary wilk morski nauczył się nie wtrącać do spraw, które go nie dotyczyły. Jego przyjaciel zaś, Evans, emerytowany inspektor Wydziału Śledczego, kierował się w życiu odmienną filozofią. „Działając na podstawie otrzymanej informacji...” - to była jego dewiza za młodych lat, którą z czasem rozwinął, wykorzystując również informacje zdobyte przez siebie samego. Inspektor Evans był bystrym i inteligentnym oficerem, który zasłużył na awans. Nawet teraz, gdy odszedł już z policji i zaszył się w wymarzonym domku na wsi, nie stracił zawodowego instynktu.

- Nie zapominam twarzy - powtarzał zadowolony z siebie. - Pani Anthony, tak, to na pewno pani Anthony. Kiedy przedstawiłaś ją jako panią Merrowdene, rozpoznałem ją natychmiast.

Kapitan Haydock poruszył się niespokojnie. Państwo Merrowdene byli jego najbliższymi sąsiadami, nie licząc oczywiście Evansa, i utożsamianie pani Merrowdene z bohaterką głośnej swego czasu sprawy zaniepokoiło go.

- To było dawno... - wtrącił niepewnie.

- Dziewięć lat temu - zauważył, jak zawsze skrupulatny, Evans. - Dziewięć lat i trzy miesiące. Pamiętasz tę sprawę?

- Niezbyt dokładnie.

- Okazało się, że Anthony zażywał arszenik - wyjaśnił Evans. - Została więc uniewinniona.

- A cóż mogli innego zrobić?

- Absolutnie nic. Jedyny werdykt, jaki można było wydać na podstawie dowodów. Całkowicie słuszny.

- A zatem wszystko w porządku - skwitował Haydock. - Nie rozumiem, czym sobie zawracamy głowę.

- Kto sobie zawraca głowę?

- Sądziłem, że ty.

- Ani trochę.

- Sprawa minęła i jest zakończona - podsumował kapitan. - Jeżeli pani Merrowdene miała nieszczęście być oskarżona o morderstwo i uniewinniona...

- Zazwyczaj uniewinnienia nie uważa się za nieszczęście - wtrącił Evans.

- Wiesz, co mam na myśli - powiedział kapitan Haydock zirytowany. - Jeżeli biedna kobieta przeżyła tak okropne doświadczenie, nie nasza sprawa je odgrzebywać, prawda?

Evans nie odpowiedział.

- Daj spokój, Evans. Ta kobieta była niewinna. Sam to przed chwilą powiedziałeś.

- Nie powiedziałem, że była niewinna. Stwierdziłem, że została uniewinniona.

- To na jedno wychodzi.

- Nie zawsze.

Kapitan Haydock, który właśnie rozpoczął czyszczenie fajki, przerwał czynność i uniósł głowę. Jego twarz przybrała czujny wyraz.

- Hola, hola, przyjacielu - powiedział. - A więc stąd wieje wiatr... Uważasz zatem, że ona nie była niewinna?

- Tego nie twierdzę. Prostu nie wiem. Anthony zażywał arszenik. Podawała mu go żona. Pewnego dnia przez pomyłkę wziął o wiele za dużo. Czy pomylił się sam, czy też była to pomyłka żony? Nikt nie potrafił tego stwierdzić. W tej sytuacji ława przysięgłych postąpiła słusznie, wydając werdykt na korzyść oskarżonej. Wszystko jest w zupełnym porządku i nie doszukuję się tu błędu. A jednak chciałbym mieć pewność.

Kapitan Haydock ponownie skoncentrował uwagę na fajce.

- No cóż - powiedział wolno - to nie nasza sprawa.

- Nie jestem taki pewien...

- Ależ z pewnością...

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Ten człowiek, Merrowdene, robił pewnego wieczoru w swym laboratorium analizy, pamiętasz...?

- Tak. Wspomniał o próbie Marsha wykrywającej związku arsenu. Powiedział, że będziesz wszystko o tym wiedział, że to coś w sam raz dla ciebie. Po czym zachichotał. Nie wspomniałby o tym, jeśli choć przez chwilę by pomyślał...

Evans przerwał mu:

- Masz na myśli, że nie powiedziałby tego, gdyby coś wiedział. Jak długo oni są małżeństwem? Mówiłeś, że sześć lat? Zakładam się o wszystko, on nie ma pojęcia, że jego żona to głośna kiedyś pani Anthony.

- I na pewno nie dowie się tego ode mnie - stwierdził kapitan Haydock stanowczo.

Evans nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej:

- Przerwałeś mi wątek. Po wykonaniu testu Marsha, Merrowdene podgrzał substancję w probówce i metaliczny osad rozpuścił w wodzie. Następnie wytrącił go, dodając azotanu srebra. Był to test na obecność chloranów. Zwykły, prosty test. Przypadkiem jednak w książce, która leżała na stole, przeczytałem te słowa: H_2SO_4 rozkłada chlorany, wydzielając przy tym Cl_2O_2 . Po podgrzaniu następuje reakcja wybuchowa, dlatego też mieszanka powinna być przechowywana w chłodnej temperaturze i można jej używać tylko w niewielkiej ilości. Haydock wpatrywał się w przyjaciela.

- No i co z tego?

- Tylko to. W moim zawodzie również przeprowadzamy testy. Testy na mordercę. Łączymy fakty, oceniamy je, a resztę poddajemy drobiazgowej analizie, uwzględniając uprzedzenia i częste pomyłki świadków. Ale istnieje również inny test na wykrycie mordercy, absolutnie pewny, tylko że dość niebezpieczny! Otóż morderca rzadko zadowala się jedną zbrodnią. Daj mu czas, o nic go nie podejrzewaj, a popelni następną. Zatrzymujesz na przykład mężczyznę. Zamordował on żonę czy nie? Przypuśćmy, że okoliczności nie przemawiają w pełni przeciw niemu. Rzuć okiem na jego przeszłość. Jeśli odkryjesz, że miał kilka żon i że wszystkie zmarły, powiedzmy, w dziwny sposób, wtedy już wiesz! Oczywiście, nie mówię jak prawnik. Mówię o wewnętrznym przekonaniu. Kiedy więc już wiesz, możesz szukać dowodów.

- A więc?

- Przechodzę do sedna. Wszystko gra, jeżeli istnieje jakaś przeszłość, którą można prześledzić. Przypuśćmy jednak, że złapiesz mordercę na jego, lub jej, pierwszej zbrodni? Wówczas ten test na nic się nie przyda. Założmy, że niewinny rozpoczyna życie pod nowym nazwiskiem. Czy morderca powtórzy zbrodnię, czy nie?

- To straszny pomysł!

- Nadal uważasz, że to nie nasza sprawa?

- Tak. Nie masz żadnych powodów, aby nie uważać pani Merrowdene za całkowicie niewinną kobietę.

Były inspektor zamilkł na chwilę. Następnie powiedział wolno:

- Mówiłem ci, że zbadaliśmy jej przeszłość i nic nie znaleźliśmy. Otóż nie jest to całkiem prawdziwe. Kiedyś miała ojczyma. W wieku osiemnastu lat zakochała się, w pewnym młodym człowieku, a ojczym wykorzystał swój autorytet, aby ich rozdzielić. Pewnego dnia

wraz z ojczymem poszła na spacer wzdłuż skalnego urwiska. Zdarzył się wypadek; ojczym podszedł zbyt blisko stromej krawędzi, która się obsunęła, a on spadł i zabił się.

- Nie myślisz chyba...

- To był wypadek. Wypadek! Anthony przedawkował również wskutek wypadku. Nigdy nie stanęłaby przed sądem, gdyby nie wyszło na jaw, że był inny mężczyzna. Nawiasem mówiąc, on się zmył. Wyglądało na to, że nie przekonał go nawet werdykt ławy przysięgłych. Mówię ci, Haydock, gdy w grę wchodzi ta kobieta, obawiam się kolejnego wypadku!

Stary kapitan wzruszył ramionami.

- Od tamtej sprawy minęło dziewięć lat. Dlaczego teraz miałby mieć miejsce następny - jak to nazywasz - wypadek?

- Nie powiedziałem, że teraz. Powiedziałem, że pewnego dnia, jeśli pojawi się niezbędny motyw.

Kapitan Haydock ponownie wzruszył ramionami.

- Nie wiem, w jaki sposób zamierzasz do tego nie dopuścić.

- Ja również nie wiem - przyznał Evans ponuro.

- Zostawiłbym to w spokoju - poradził kapitan Haydock. - Nigdy nic dobrego nie wynikło z wtrącania się w cudze sprawy.

Rada ta nie była w smak emerytowanemu inspektorowi policji. Był człowiekiem cierpliwym, ale stanowczym. Opuściwszy przyjaciela, szedł wolno przez wieś, rozmyślając, jakie by tu przedsięwziąć skuteczne działanie.

Kiedy skręcał na pocztę po znaczki, zderzył się wręcz z obiektem swej troski, George'em Merrowdene'em. Eks-profesor chemii był niedużym mężczyzną o marzycielskim wyglądzie, delikatnym i grzecznym w obejściu i zazwyczaj kompletnie roztargnionym. Rozpoznał Evansa i powitał go przyjaźnie, schylając się, aby pozbiierać listy, które wypadły mu z rąk wskutek zderzenia. Evans schylił się również, a będąc sprawniejszym od Merrowdene'a, podniósł je pierwszy i, przepaszając, zwrócił właścicielowi.

Nie omieszkał zerknąć na listy. Adres na pierwszym z brzegu wzbudził w nim na nowo podejrzenia. Był to adres popularnej firmy ubezpieczeniowej.

Od razu powziął decyzję. Naiwny George Merrowdene nie zdążył się nawet zorientować, jak to się stało, że po chwili szedł sobie wraz z inspektorem przez wieś, rozmawiając o ubezpieczeniach na życie.

Evans bez trudu osiągnął cel. Merrowdene nie omieszkał podzielić się wiadomością, że właśnie ubezpieczył się na życie na korzyść żony i zapytał Evansa o jego opinię na temat wspomnianego towarzystwa.

- Dokonałem kilku niefortunnych inwestycji - wyjaśnił - w których rezultacie mój dochód się skurczył. Gdyby mi się coś przytrafiło, moja żona znalazłaby się w trudnym położeniu. Ubezpieczenie zaś wszystko naprawi.

- Czy pańska żona nie miała nic przeciwko temu? - rzucił Evans zdawkowo. - Niektóre kobiety są zdania, że to przynosi nieszczęście.

- Och, Margaret to bardzo praktyczna osoba - odparł Merrowdene z uśmiechem. - W ogóle nie jest przesadna. Mam wrażenie, że ten pomysł w istocie wyszedł od niej. Nie lubi, kiedy się martwię.

Evans uzyskał potrzebną mu informację. Kiedy po chwili rozstał się z George'em Merrowdene'em, jego usta przybrały ponury wyraz. Zmarły pan Anthony ubezpieczył się na życie na korzyść żony kilka tygodni przed śmiercią...

Przyzwyczajony ufać instynktowi, w głębi duszy nabrał całkowitego przekonania. Ale jak działać? - oto było pytanie. Nie chciał złapać zbrodniarki na gorącym uczynku, lecz zapobiec popełnieniu przestępstwa, to zaś była całkiem inna i o wiele trudniejsza sprawa.

Cały dzień rozmyślał. Po południu wziął udział w festynie Ligi Konserwatywnej, zorganizowanym w majątku miejscowego dziedzica. Grał na loterii fantowej, zgadywał wagę świni, rzucał orzechami kokosowymi, wszystko to robiąc z wyrazem roztargnienia na twarzy. Poświęcił nawet pół korony na wróżkę Zarę czytającą przyszłość z kryształowej kuli, przy okazji wspominając z uśmiechem własną działalność skierowaną przeciwko wróżbitom, kiedy pełnił służbę w policji.

Nie wsłuchiwał się zbyt w jednostajny, śpiewny monolog, aż nagle zakończenie wywodu przykuło jego uwagę.

-... i w krótkim czasie, naprawdę w bardzo krótkim czasie, zostaniesz wplątany w sprawę życia i śmierci...

- O co chodzi? - spytał raptownie.

- Decyzja... Musisz podjąć decyzję. Musisz zachować ostrożność, niezwykle ostrożność... Jeśli popełnisz błąd, najmniejszy błąd...

- Tak?

Wróżka zadrżała. Inspektor Evans, choć zdawał sobie sprawę, że to wszystko bzdury, pozostawał pod wrażeniem.

- Ostrzegam cię, nie możesz popełnić błędu. Jeśli to zrobisz, wynik widzę jasno: śmierć...

Dziwne, cholernie dziwne. Śmierć. Że też ona wpadła na coś takiego!

- Jeśli popełnię błąd, w rezultacie nastąpi śmierć? Tak mam rozumieć?

- Tak.

- W takim razie - powiedział Evans, wstając i wręczając jej pół korony - nie mogę popełnić błędu, prawda?

Mówił trochę lekceważącym tonem, ale gdy wyszedł z namiotu, wyraz jego twarzy zdradzał zdeterminowanie. Łatwo powiedzieć, niełatwo wykonać. Nie może popełnić omyłki. Życie, cenne ludzkie życie od tego zależało. I nie było nikogo, kto by mu pomógł. Spojrzał na stojącego w oddali przyjaciela, Haydocka. Stamtąd nie mógł spodziewać się pomocy. „Pozostaw sprawy ich własnemu biegowi” - to było jego motto. Ale ono tutaj nie pasowało.

Haydock bawił rozmową jakąś kobietę. Kiedy odeszła od niego i skierowała się w stronę Evansa, ten natychmiast ją rozpoznał. Była to pani Merrowdene. Pod wpływem nagłego impulsu naumyślnie przeciął jej drogę.

Pani Merrowdene była kobietą urodziwą. Miała wysokie, pogodne czoło, przepiękne brązowe oczy i łagodny wyraz twarzy. Przypominała włoską Madonnę, czesząc się z przedziałkiem i splatając włosy wokół uszu. Mówiła głębokim trochę sennym głosem.

Uśmiechnęła się do Evansa miło i życzliwie.

- Zdawało mi się, że to pani, pani Anthony... to znaczy pani Merrowdene - powiedział bez zająknienia.

Celowo się przejęzyczył, obserwując ją ukradkiem. Zauważył, że jej źrenice się rozszerzyły, usłyszał szybszy oddech. Ale nawet nie mrugnęła. Patrzyła na niego spokojnie i dumnie.

- Właśnie szukam swego męża - odezwała się swobodnie. - Nie widział go pan gdzieś w pobliżu?

- Ostatni raz widziałem go z tamtej strony.

Udali się razem we wskazanym kierunku, wiodąc cichą, uprzejmą pogawędkę. Inspektor czuł rosnący podziw. Co za kobieta! Co za opanowanie i równowaga. Niebywała kobieta, i bardzo niebezpieczna. Tego był pewien - bardzo niebezpieczna.

Ciągle doznawał uczucia niepokoju, choć ze swego pierwszego posunięcia był zadowolony. Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że ją rozpoznał. Teraz będzie się miała na

baczności. Nie odważy się na żaden nie przemyślany krok. Pozostawał George Merrowdene. Jeśli mógłby go ostrzec..

Dostrzegli niewysokiego mężczyznę, jak stał i z roztargnieniem przyglądał się porcelanowej lalce, którą przypadkiem wygrał na loterii fantowej. Chętnie przystał na powrót do domu, który zaproponowała mu żona. Pani Merrowdene zwróciła się do inspektora:

- Może wstąpi pan do nas na herbatę, panie Evans? Czyżby w jej głosie zabrzmiała delikatna nuta wyzwania? Uznał, że tak.

- Dziękuję pani. Z przyjemnością.

Udali się w drogę, zajęci niefrasobliwą pogawędką. Świeciło słońce, wiał wietrzyk, wszystko dookoła wyglądało przyjemnie i zwyczajnie.

Kiedy przybyli do uroczego staroświeckiego domku, pani Merrowdene wyjaśniła, że pokojówka wyszła na festyn. Następnie udała się do swego pokoju, aby zdjąć kapelusz. Po powrocie nakryła do podwieczorku i zagotowała wodę na małej, srebrnej maszynie naftowej. Z półki w pobliżu kominka zdjęła trzy nieduże miseczki ze spodeczkami.

- Mamy specjalną chińską herbatę - wyjaśniła - i zawsze pijemy ją na sposób chiński, z miseczek, a nie z filiżanek.

Przerwała, przypatrując się uważnie jednej z nich i zamieniła ją na inną z okrzykiem irytacji.

- George, to bardzo nieostrożnie z twojej strony. Znowu używałeś tych miseczek.

- Przepraszam, kochanie - powiedział profesor z pokorą w głosie. - Mają taką dogodną wielkość. Te, które zamówiłem jeszcze nie nadeszły.

- Pewnego dnia otrujesz nas wszystkich - stwierdziła jego żona z lekkim uśmiechem.

- Mary przynosi je z powrotem z laboratorium i nigdy nie zadaje sobie trudu, żeby je porządnie wymyć, chyba że jest w nich coś rzucającego się w oczy. Któregoś razu użyłeś jednej z nich do cyjanku potasu! Doprawdy, George, to bardzo niebezpieczne.

Merrowdene sprawiał wrażenie lekko poirytowanego.

- Wynoszenie rzeczy z laboratorium nie należy do Mary. Nie wolno jej tam niczego dotykać.

- Przecież często zostawiamy tam filiżanki po herbacie. Skąd ona ma wiedzieć? Bądźże rozsądny, kochanie.

Profesor poszedł do laboratorium, mamrocząc coś pod nosem, a pani Merrowdene z uśmiechem na ustach zalała wrzątkiem herbatę i zdmuchnęła płomień na małej srebrnej maszynie.

Evans był zaintrygowany. Coś go tknęło. Z jakichś względów pani Merrowdene odkrywała karty. Czyżby miał nastąpić „wypadek”? Czy mówiła to wszystko celowo, żeby z góry przygotować sobie alibi? W takim razie pewnego dnia, kiedy zdarzy się „wypadek”, będzie musiał złożyć zeznanie na jej korzyść. Naiwnie z jej strony, jeśli tak sądzi, ponieważ przedtem...

Nagle głęboko wciągnął powietrze. Nalała herbatę do trzech miseczek. Jedną postawiła przed nim, drugą przed sobą, trzecią na stoliczku obok fotela przy kominku, gdzie zazwyczaj siadywał mąż. Kiedy stawiała tę ostatnią, nikły, dziwny uśmiezek wykrzywił jej usta. I po tym uśmiechu się zorientował. Wiedział!

Niebywała kobieta. Niebezpieczna kobieta. Bez czekania, bez przygotowań. Tego popołudnia, właśnie tego popołudnia... z nim w roli świadka! Jej zuchwałość aż odebrała mu dech.

To było sprytne, diabelnie sprytne. Niczego nie będzie mógł udowodnić. Liczyła na brak podejrzeń z jego strony, po prostu dlatego, że wszystko miało stać się „na gorąco”. Kobieta myśląca i działająca jak błyskawica...

Odetchnął głęboko i pochylił się do przodu.

- Pani Merrowdene, jestem człowiekiem o dziwnych zachciankach. Czy będzie pani tak uprzejma i spełni jedną z nich?

Spojrzała na niego uważnie, ale bez cienia podejrzliwości.

Wstał, zabrał stojącą przed nią miseczkę, podszedł do stolika przy kominku i zamienił je. Tę drugą przyniósł z powrotem i postawił przed panią Merrowdene.

- Chcę zobaczyć, jak pani pije z tej.

Spojrzała mu prosto w oczy wzrokiem spokojnym i nieodgadnionym, choć twarz jej nieco pobladła.

Wyciągnęła rękę i podniosła miseczkę. Evans wstrzymał oddech. A jeśli od samego początku się mylił?

Uniosła miseczkę do ust, i nagle z drzeniem pochyliła się do przodu i wylała zawartość do doniczki z paprotką. Następnie usiadła prosto i spojrzała wyzywająco na inspektora.

Odetchnął z ulgą i także opadł na krzesło.

- No i co? - powiedziała. Głos jej się zmienił. Był trochę kpiący, prowokacyjny.

- Jest pani bardzo sprytną kobietą, pani Merrowdene - odpowiedział poważnie i cicho.

- Myślę, że mnie pani rozumie. To się nie może powtórzyć. Wie pani, co mam na myśli?

- Wiem, co pan ma na myśli. - Głos jej był jednostajny, pozbawiony wyrazu.

Skinął głową z zadowoleniem. Była więc mądrą kobietą i nie chciała zostać powieszona.

- Za długie życie pani i pani męża - powiedział znacząco i podniósł miseczkę do ust.

I nagle twarz mu się zmieniła. Wykrzywił straszliwie usta... Próbował wstać, krzyknąć... Ciało mu zeszywniało, twarz zrobiła się purpurowa. Upadł do tyłu na krzesło; jego kończynami wstrząsały konwulsje.

Pani Merrowdene pochyliła się do przodu, obserwując go uważnie. Słaby uśmiech zawitał na jej ustach. Mówiła do niego, bardzo cicho i miękko:

- Popęłnił pan błąd, panie Evans. Myślał pan, że chcę zabić George'a... To niemądrze z pańskiej strony... bardzo niemądrze.

Siedziała tak jeszcze przez chwilę, patrząc na nieżywego mężczyznę - trzeciego człowieka, który groził, że pokrzyżuje jej plany i rozdzieli z mężczyzną, którego kochała.

Uśmiechnęła się szerzej. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominała Madonnę. Po chwili zawołała podniesionym głosem:

- George, George!... Och, chodź tutaj! Obawiam się, że zdarzył się potworny wypadek... Biedny pan Evans...

Jane szuka pracy

Jane Cleveland przewertowała strony „Daily Leader” i westchnęła. Westchnienie dobyło się z najgłębszych zakamarków jej duszy. Z niesmakiem spojrzała na marmurowy stolik, na którym postawiono jajko sadzone na grzance i czajniczek herbaty. To wcale nie oznaczało, że nie była głodna. Wprost przeciwnie. Jane była okropnie głodna. W tej chwili czuła, że mogłaby spałaszować ogromny dobrze wysmażony befsztyk z frytkami oraz fasolką i popić go winem - bardziej podniecającym napojem niż herbata.

Młode kobiety jednak, których zasoby pieniężne znajdują się w stanie godnym pożałowania, nie powinny być wybredne. Szczęśliwie się składało, że Jane mogła zafundować sobie jajko i herbatę. Zdawało się mało prawdopodobne, aby mogła uczynić to samo jutro. Chyba że...

Wróciła do ogłoszeń w „Daily Leader”. Krótko mówiąc, Jane była bez pracy i jej sytuacja stawała się dramatyczna. Nawet pretensjonalna kobieta prowadząca obskurny pensjonat spoglądała już na nią krzywo.

„A przecież - pomyślała Jane, wysuwając w charakterystyczny dla siebie, wojowniczy sposób podbródek - jestem inteligentna, ładna i wykształcona. Czego więcej można chcieć?”

W „Daily Leader” poszukiwano maszynistek z ogromnym doświadczeniem, menadżerów posiadających mały kapitał do zainwestowania, kobiet do udziału w zyskach z hodowli drobiu (tutaj również konieczny był niewielki kapitał) oraz nieskończonej ilości kucharek, służących i pokojówek - szczególnie pokojówek.

„Nie miałabym nic przeciwko zostaniu pokojówka - pomyślała Jane - ale oczywiście nikt nie zatrudni pokojówki bez doświadczenia. Przypuszczam, że mogłabym pójść gdziekolwiek w charakterze »młodej i chętnej«, ale takim dziewczynom płacą tak marnie, że szkoda gadać.”

Znowu westchnęła, rozłożyła gazetę przed sobą i rzuciła się na sadzone jajko z energią zdrowej młodości. Kiedy uwinęła się z ostatnim kęsem, przewróciła stronę i, popijając herbatę, zabrała się do studiowania „Ogłoszeń drobnych”. Ta rubryka stanowiła zawsze ostatnią nadzieję.

Gdyby posiadała dwa tysiące funtów, sprawa przedstawiałaby się o wiele prościej. Proponowano przynajmniej siedem doskonałych możliwości zainwestowania pieniędzy - wszystkie przynoszące dochód nie mniejszy niż trzy tysiące funtów rocznie. Jane nieco skrzywiła usta.

- Jeśli miałabym dwa tysiące funtów - mruknęła - trudno by mi się było z nimi rozstać.

Przerzuciła wzrokiem kolumnę z góry na dół z wprawą nabytą podczas długiej praktyki.

Jakaś kobieta proponowała świetne ceny za stare ubrania. Garderoba pań przeglądana jest w ich własnych domach. Byli mężczyźni, którzy kupowali absolutnie wszystko, ale, oczywiście, przede wszystkim z ę b y! Utytułowane damy wyjeżdżające za granicę chciały pozbyć się swoich futer za śmiesznie niską cenę. Byli tam również dotknięty nieszczęściem duchowny, ciężko pracująca wdowa i sparaliżowany oficer - wszyscy potrzebowali rozmaitych kwot od pięćdziesięciu funtów do dwóch tysięcy. I nagle Jane zatrzymała wzrok. Odstawiła filiżankę i raz jeszcze przeczytała ogłoszenie.

- W tym, rzecz jasna, kryje się jakaś pułapka - wyszeptwała. - Zawsze w czymś takim jest pułapka. Muszę być ostrożna. Ale jednak...

Ogłoszenie, które tak bardzo zaintrygowało Jane Cleveland, brzmiało następująco:

Jeżeli młoda dama w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, o ciemnoniebieskich oczach, bardzo jasnych włosach, czarnych rzęsach i brwiach, prostym nosie, szczupła, wzrostu sto siedemdziesiąt centymetrów, obdarzona zdolnościami naśladowczymi i znająca francuski, zgłosi się na 7 Endersleigh Street pomiędzy piątą i szóstą po południu, dowie się czegoś, co przyniesie jej korzyść.

- Naiwna Gwendolina, czyli jak dziewczęta schodzą na złą drogę - szepnęła Jane. - Niewątpliwie muszę zachować ostrożność. Ale jak na takie rzeczy opis zawiera zbyt wiele szczegółów. Zastanawiam się... Przyjrzyjmy się dokładnie wymaganiom.

Przystąpiła do rzeczy.

- Dwadzieścia pięć do trzydziestu - mam dwadzieścia sześć. Ciemnoniebieskie oczy - zgadza się. Włosy bardzo jasne, czarne rzęsy i brwi - wszystko w porządku. Prosty nos? Tak, w każdym razie wystarczająco prosty, nie zakrzywiony i nie zadarty. Jestem szczupła - szczupła nawet jak na dzisiejsze czasy. Mam tylko metr sześćdziesiąt osiem, ale mogę założyć wysokie obcasy. Potrafię naśladować - nic specjalnego, ale imituję ludzkie głosy, a francuski znam śpiewająco, jak rodowita Francuzka. W rzeczy samej mam same plusy. Powinni paść z zachwytu, kiedy się pojawię. Jane Cleveland, idź i wygraj!

Jane rezolutnie wyrwała ogłoszenie i schowała je do torebki, po czym poprosiła o rachunek z wyraźnym ożywieniem w głosie.

Za dziesięć piąta Jane przeprowadzała rozpoznanie w okolicy Endersleigh Street. Sama Endersleigh Street jest małą uliczką, trochę zaniedbaną, lecz przyzwoitą, wciśniętą między dwie większe, w sąsiedztwie Oxford Circus.

Numer siedem zdawał się niczym nie różnić od sąsiednich domów. Podobnie jak inne, zajmowały go biura. Kiedy jednak Jane przyjrzała mu się baczniej, po raz pierwszy zaświtało jej w głowie, że nie była jedyną szczupłą niebieskooką blondynką o prostym nosie w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. W Londynie mieszkało oczywiście mnóstwo takich dziewcząt, a co najmniej czterdzieści lub pięćdziesiąt z nich zgromadziło się właśnie pod numerem siódmym na Endersleigh Street.

„Konkurencja - pomyślała Jane. - Lepiej zrobię ustawiając się w kolejce.”

Kiedy to uczyniła, zza rogu wyłoniły się następne trzy kandydatki, a za nimi ciągnęły inne. Jane zajęła się, nie bez uciechy, ocenianiem swych najbliższych sąsiadek. Za każdym razem udało jej się znaleźć coś niewłaściwego - jasne rzęsy zamiast ciemnych, oczy bardziej szare niż niebieskie, jasne włosy, które kolor zawdzięczały sztuce fryzjerskiej, a nie naturze, całą kolekcję interesujących nosów albo też figurę, którą jedynie przez wyjątkową życzliwość można było nazwać szczupłą.

Jane poprawił się nastrój.

- Uważam, że mam takie same szansę jak każda - mruknęła do siebie. - Ciekawa jestem, o co tu chodzi? Czyżby o zespół rewiiowy?

Kolejka posuwała się wolno, ale równomiernie do przodu. Po chwili z budynku zaczął wypływać drugi strumień dziewcząt. Niektóre szły z wysoko podniesioną głową, inne z głupkowskim uśmiechem.

„Odrzucone - pomyślała Jane z radością. - Na litość boską, mam nadzieję, że będą tam jeszcze wolne miejsca, zanim ja nie wejdem.”

Kolejka ciągle posuwała się do przodu. Pełno było gorączkowych spojrzeń w malutkie lusterka, szaleńczego pudrowania nosów i demonstrowania szminek.

- Chciałabym mieć ładniejszy kapelusz - westchnęła ze smutkiem Jane.

Wreszcie nadeszła jej kolej. W środku po jednej stronie holu znajdowały się szklane drzwi opatrzone tabliczką „Państwo Cuthbertson”. Przez te właśnie drzwi przewijały się kandydatki. Kolej na Jane. Odetchnęła głęboko i weszła.

Za drzwiami znajdował się sekretariat przeznaczony dla urzędników. Za nim widać było kolejne szklane drzwi. Polecono Jane, aby tam weszła, co też uczyniła. Znalazła się w małym gabinecie, gdzie za dużym biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku, o bystrym

spojrzeniu i sumiastych, z cudzoziemska wyglądających wąsach. Przesunął wzrokiem po Jane i wskazał jej drzwi po lewej stronie.

- Proszę tam poczekać - rzucił szorstko.

Jane usłuchała. Pokój, do którego weszła, nie był pusty. Siedziało tam już pięć dziewcząt, wszystkie bardzo spięte i lustrujące się nawzajem. Dla Jane było jasne, że została zaliczona do wybranek i humor jej się poprawił. Musiała jednak przyznać, że te pięć dziewcząt w równym stopniu, co ona sama, odpowiadało warunkom podanym w ogłoszeniu.

Czas płynął. Korowód dziewcząt przewijał się przez biuro. Większość z nich odprawiano i wychodziły drzwiami wiodącymi na korytarz, ale od czasu do czasu pojawiała się następna kandydatka zaliczona do wybranego grona. O osiemnastej trzydzieści w pokoiku zebrało się już czternaście dziewcząt.

Jane usłyszała szmer głosów za ścianą. Po chwili wyglądający na cudzoziemca dżentelmen, którego w myślach przezwiała „pułkownikiem” z powodu wojskowego charakteru jego wąsów, pojawił się w drzwiach.

- Teraz przyjmę panie po kolei - oznajmił. - W takiej kolejności, w jakiej przybyłyście, proszę.

Jane była szósta na liście. Minęło dwadzieścia minut, nim została poproszona do środka. „Pułkownik” stał z założonymi do tyłu rękami. Podał ją szybkiemu egzaminowi, sprawdził znajomość francuskiego i zmierzył wzrost.

- Niewykluczone, panienko - powiedział po francusku - że będzie się pani nadawała. Jeszcze nie wiem, ale to możliwe.

- Czy mogę spytać, na czym ma polegać ta praca? - zapytała Jane bez ogródek. Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie mogę tego zdradzić. Dowie się pani wówczas, kiedy zostanie pani wybrana.

- To wydaje się bardzo tajemnicze - sprzeciwiła się Jane. - Nie mogłabym podjąć się czegokolwiek, zanim nie dowiem się, o co chodzi. Czy ma to coś wspólnego ze sceną, jeśli wolno spytać?

- Ze sceną? O, nie!

- Och! - westchnęła Jane z lekka zaskoczona. Przyglądał się jej przenikliwie.

- Jest pani inteligentna, prawda? I dyskretna?

- Posiadam ogrom inteligencji i dyskrecji - odparła spokojnie Jane. - A co z wynagrodzeniem?

- Wynagrodzenie wyniesie dwa tysiące funtów za dwa tygodnie pracy.

- Och! - wyrwało się Jane.

Była zbyt zaskoczona tą szczodrobliwością, aby pokryć chwilowe zmieszanie.

„Pułkownik” podjął na nowo rozmowę.

- Wybrałem jeszcze jedną młodą kobietę. Obie nadajecie się w równym stopniu. Może będą inne wśród tych, których jeszcze nie widziałem. Udzielę pani instrukcji dotyczących dalszego postępowania. Czy zna pani hotel Harridge?

Jane wstrzymała oddech. Któż w Anglii nie zna hotelu Harridge? W tym słynnym przybytku, usytuowanym skromnie przy bocznej ulicy w dzielnicy Mayfair, zatrzymywały się, ma się rozumieć, same znakomitości i członkowie rodów królewskich. Właśnie dziś rano Jane przeczytała o przyjeździe księżnej Pauliny z Ostrovii. Przybyła do Londynu, aby otworzyć wielką wentę dobroczynną na rzecz pomocy rosyjskim uchodźcom i oczywiście zatrzymała się w Harridge'u.

- Tak - stwierdziła Jane w odpowiedzi na pytanie „pułkownika”.

- To świetnie. Proszę się tam udać i zapytać o hrabiego Strepticza. Niech mu pani prześle swoją wizytówkę. Ma pani wizytówkę?

Jane podała mu blankiet, na którym dopisał w rogu parafkę „P”.

- To gwarancja, że hrabia panią przyjmie. Będzie wiedział, że przychodzi pani ode mnie. Ostateczna decyzja należy do niego. Jeśli panią zaakceptuje, wówczas wszystko wyjaśni, pani zaś będzie mogła przyjąć lub odrzucić jego propozycję. Czy to panią zadowala?

- Całkowicie - zgodziła się Jane.

- Jak dotąd - szepnęła do siebie wychodząc na ulicę - nie dostrzegam żadnej pułapki. Jednak musi gdzieś być. Nie daje się pieniędzy za nic. W grę musi wchodzić przestępstwo. Nic innego nie pozostaje.

Humor jej się poprawił. Jane nie miała nic przeciwko przestępstwu, oczywiście w rozsądnych granicach: Ostatnio gazety pełne były opisów bandyckich wyczynów rozmaitych dziewczyn. Jane poważnie myślała o staniu się jedną z nich, jeśli wszystko inne by zawiodło.

Z lekkim drżeniem w sercu przekroczyła ekskluzywne, dostojne wejście hotelu Harridge. Bardziej niż kiedykolwiek przydałby jej się nowy kapelusz.

Dzielnie pomaszerowała do recepcji, bez cienia wahania okazała wizytówkę i zapytała o hrabiego Strepticza. Odniosła wrażenie, że recepcjonista spojrział na nią z pewnym zaciekawieniem. Mimo to wziął od niej wizytówkę i przekazał chłopcu hotelowemu, cichym głosem wydając polecenie, którego Jane nie dosłyszała. Po chwili goniec wrócił i poprosił

Jane, aby poszła za nim. Wjechali windą i podeszli korytarzem do masywnych, podwójnych drzwi. Goniec zapukał. W chwilę później Jane stała w przestronnym pokoju na wprost wysokiego, chudego mężczyzny z jasną brodą, który w delikatnej, białej dłoni trzymał jej wizytówkę.

- Panna Jane Cleveland - odczytał wolno. - Jestem hrabia Strepticz.

Jego usta rozciągnęły się w czymś, co miało przypominać uśmiech, ukazując dwa rzędy równych białych zębów. Grymas ten jednak nie sprawiał wrażenia radości.

- Jak rozumiem, odpowiedziała pani na nasze ogłoszenie - kontynuował hrabia - a poczciwy pułkownik Kranin przysłał panią tutaj.

„A więc to rzeczywiście pułkownik”, pomyślała Jane zadowolona ze swej przenikliwości, ale w odpowiedzi skinęła jedynie głową.

- Pozwoli pani, że zadam kilka pytań?

Nie czekając na odpowiedź, zarzucił ją pytaniami podobnymi do tych, które zadawał pułkownik Kranin. Jej wypowiedzi zdawały się go zadowalać. Raz czy dwa skinął głową.

- Poproszę teraz panią, mademoiselle, aby przeszła się pani wolno do drzwi i z powrotem.

Może chcą, żebym została modelką, pomyślała Jane, stosując się do polecenia. Ale nie płaci się modelce dwóch tysięcy funtów. Przypuszczam, że lepiej będzie nie zadawać na razie żadnych pytań.

Hrabia Strepticz zmarszczył brwi. Zastukał białymi palcami po stole. Nagle wstał i otworzywszy drzwi do sąsiedniego pokoju, odezwał się do kogoś, kto tam przebywał.

Wrócił na swoje miejsce, a w ślad za nim pojawiła się niska kobieta w średnim wieku. Była pulchna i wyjątkowo brzydka, ale mimo to sprawiała wrażenie ważnej osoby.

- No i co, Anno Michajłowna - powiedział hrabia. - Co pani o niej sądzi?

Dama zlustrowała Jane, jak gdyby dziewczyna była woskową lalką na wystawie. Nawet nie zadała sobie trudu, aby ją powitać.

- Może będzie dobra - rzekła w końcu. - Widzę bardzo niewiele prawdziwego podobieństwa, ale figura i karnacja odpowiadają bardziej niż u innych. Co pan o tym myśli, Fiodorze Aleksandrowiczu?

- Zgadza się z panią, Anno Michajłowna.

- Czy ona mówi po francusku?

- Wyśmienie.

Jane czuła się coraz bardziej jak marionetka. Żadnemu z tych dziwnych ludzi nie przychodziło widzieć do głowy, że była jednak istotą ludzką.

- Czy zachowa dyskrecję? - spytała dama, przyglądając się dziewczynie i marszcząc brwi.

- To jest księżna Poporeńska - odezwał się hrabia Strepticz do Jane po francusku. - Pyta, czy pani potrafi zachować dyskrecję?

Jane zwróciła się do księżnej:

- Dopóki nie dowiem się, na czym ma polegać moje zadanie, trudno mi składać obietnice.

- Ta mała ma świętą rację - zauważyła dama. - Myślę, że jest inteligentna, Fiodorze Aleksandrowiczu. Bardziej inteligentna niż inne. Powiedz mi, drogie dziecko, czy również jesteś odważna?

- Nie wiem - odparła Jane zaintrygowana. - Nie marzę o tym, żeby zostać ranna, ale potrafię to znieść.

- Och, nie to miałam na myśli! Nie obawiasz się niebezpieczeństwa, prawda?

- Och! - zawołała Jane. - Niebezpieczeństwo! Nie ma sprawy. Lubię niebezpieczeństwo.

- I jesteś biedna? Chciałabyś zarobić dużo pieniędzy?

- Wypróbujcie mnie - powiedziała Jane z uczuciem bliskim entuzjazmu.

Hrabia Strepticz i księżna Poporeńska wymienili spojrzenia, a następnie jednocześnie skinęli głowami.

- Czy mam wyjaśnić sprawę, Anno Michajłowna? - zapytał hrabia.

Księżna potrząsnęła głową.

- Jej Wysokość pragnie to uczynić osobiście.

- To niepotrzebne i nierozsądne.

- Jednak takie wydała polecenia. Mam przyprowadzić do niej dziewczynę, jak tylko pan z nią skończy.

Strepticz wzruszył ramionami. Widać nie był zadowolony, ale również nie miał zamiaru się przeciwstawiać. Zwrócił się do Jane:

- Księżna Poporeńska przedstawi teraz panią Jej Wysokości Wielkiej Księżnej Paulinie. Proszę się niczego nie bać.

Jane nie bała się ani trochę. Zachwycała ją perspektywa poznania prawdziwej Wielkiej Księżnej. Jane w najmniejszym stopniu nie podzielała socjalistycznych poglądów. Na chwilę zapomniała nawet o swoim kapeluszu.

Księżna Poporeńska, poruszając się charakterystycznym kaczkowatym krokiem, któremu potrafiła mimo wszystko nadać pewną godność, poprowadziła Jane przez sąsiedni pokój - pełniący funkcję przedpokoju - i zapukała do znajdujących się w głębi drzwi. Usłyszawszy przyzwolenie, otworzyła drzwi i weszła do środka. Jane pośpieszyła za nią.

- Pozwoli pani, madame, że jej przedstawię - oświadczyła księżna Poporeńska uroczystym tonem - pannę Jane Cleveland.

Młoda kobieta, która siedziała w dużym fotelu w drugim końcu pokoju, poderwała się i podbiegła ku nim. Przez chwilę przyglądała się uważnie Jane, po czym zaśmiała się radośnie.

- Ależ to wspaniale, Anno! - zawołała. - Nigdy nie przypuszczałam, że się nam tak powiedzie. Proszę podejść bliżej i przyjrzeć się nam obu.

Wzięła Jane za rękę i powiodła do długiego lustra, które wisiało na ścianie.

- Widzi pani? - zawołała radośnie. - Łudzące podobieństwo!

Już od pierwszego spojrzenia na Wielką Księżną Paulinę, Jane zaczęła rozumieć. Wielka Księżna była młodą kobietą, może o rok czy dwa starszą od Jane. Miała taki sam odcień jasnych włosów i taką samą szczupłą figurę. Może była trochę wyższa. Teraz, kiedy tak stały obok siebie, podobieństwo wprost rzucało się w oczy. Zgadzały się niemal wszystkie szczegóły.

Wielka Księżna klasnęła w dłonie. Sprawiała wrażenie bardzo wesolej.

- Nie mogło być lepiej - oświadczyła. - Pogratuluj Fiodorowi Aleksandrowiczowi, Anno. Doprawdy spisał się świetnie.

- Jak dotąd, madame - zauważyła księżna Poporeńska niskim głosem - ta młoda kobieta nie wie, czego się od niej oczekuje.

- Prawda - zreflektowała się Wielka Księżna, powściągając nieco swój zapał. - Zapomniałam. Zaraz ją oświecę. Pozostaw nas same, Anno Michajłowna.

- Ależ, madame...

- Powtarzam, zostaw nas same.

Tupnęła nogą ze złością. Kiedy Anna Michajłowna, nie kryjąc swej dezaprobaty, opuściła pokój, Wielka Księżna usiadła i dała znak Jane, aby uczyniła to samo.

- Te stare kobiety bywają nieznośne - skomentowała Paulina. - Ale nie można się bez nich obejść. Anna Michajłowna jest lepsza od innych. A więc, panna... ach, panna Jane

Cleveland. Podoba mi się pani imię. W ogóle pani mi się podoba. Jest pani sympatyczna. Od razu rozpoznaję sympatycznych ludzi.

- To bardzo inteligentnie z pani strony, madame - odezwała się Jane po raz pierwszy.

- Jestem inteligentna - przyznała spokojnie Paulina.

- A teraz wszystko pani wyjaśnię. Zresztą nie ma tego wiele. Zna pani historię Ostrovii... Właściwie cała moja rodzina nie żyje; została wymordowana przez komunistów. Prawdopodobnie jestem ostatnią z rodu. Nie mogę objąć tronu, ponieważ jestem kobietą. Myślałby kto, że zostawią mnie w spokoju. Skądże! Gdziekolwiek się nie udam, usiłują mnie zabić. Prawda, że absurd? Ci cuchnący wódką barbarzyńcy nie znają miary.

- Rozumiem - powiedziała Jane, wyczuwając z grubsza, jakie przypadnie jej zadanie.

- Większość czasu spędzam w odosobnieniu, gdzie mam zapewnione środki ostrożności, ale niekiedy muszę wziąć udział w oficjalnych uroczystościach. Na przykład, w czasie mego pobytu tutaj muszę być obecna na kilku półoficjalnych ceremoniach. Również w drodze powrotnej, w Paryżu. Widzi pani, mam majątek na Węgrzech. Tam można się wspaniale rozerwać.

- Naprawdę? - wtrąciła Jane.

- Znakomicie. Uwielbiam zabawy. Również... Nie powinnam tego mówić, ale to zrobię, ponieważ tak pani sympatycznie wygląda. Chcemy tu zorganizować pewną ceremonię, bardzo kameralną, rozumie pani. Krótko mówiąc, sprawą najwyższej wagi jest to, abym nie została zamordowana w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

- Ale przecież policja... - zaczęła Jane.

- Policja? Ach, oczywiście wierzę w ich sprawność. My także mamy swoich szpiegów. Możliwe, że zostanę ostrzeżona. Ale może stać się również inaczej.

Wzruszyła ramionami.

- Zaczynam pojmować - powiedziała wolno Jane. - Chce pani, żebym ją zastąpiła.

- Tylko przy pewnych okazjach - wyjaśniła Wielka Księżna z ożywieniem. - Musi pani być pod ręką, rozumie pani? Mogę pani potrzebować dwa, trzy, cztery razy w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Wyłącznie podczas publicznych wystąpień. Oczywiście, prywatnie nie będzie mnie pani zastępowała.

- Oczywiście - zgodziła się Jane.

- Poradzi sobie pani doskonale. Fiodor Aleksandrowicz bardzo inteligentnie wpadł na pomysł z ogłoszeniem, nieprawdaż?

- A jeśli - zainteresowała się Jane - zostanę zamordowana?

Wielka Księżna wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, istnieje takie ryzyko. Ale zgodnie z naszymi poufnymi informacjami wszystko wskazuje na to, że nie chcą mnie zabić, tylko porwać. Uczciwie jednak mówiąc, nie jest wykluczone, że mogą rzucić bombę.

- Rozumiem - powiedziała Jane. Starła się naśladować niefrasobliwy ton Pauliny. Bardzo pragnęła nawiązać do sprawy wynagrodzenia, ale nie wiedziała, jak o tym napomknąć. Paulina wybawiła ją z kłopotu.

- Oczywiście, sownie panią wynagrodzimy - oznajmiła nonszalancko. - Nie bardzo sobie przypominam, jaką sumę proponował Fiodor Aleksandrowicz. Mowa była o frankach i koronach.

- Pułkownik Kranin - podsunęła Jane - wspominał o dwóch tysiącach funtów.

- Rzeczywiście - potwierdziła Paulina z ożywieniem. - Teraz sobie przypominam. To wystarczy, mam nadzieję? A może wolałaby pani trzy tysiące?

- Jeśli nie robi to pani różnicy - podjęła skwapliwie Jane - wolałabym trzy tysiące.

- Widzę, że praktyczna z pani kobieta - zauważyła uprzejmie Wielka Księżna. - Sama bym chciała być taka. W ogóle nie mam pojęcia o pieniądzach. Muszę mieć to, co chcę - ot i wszystko.

Jane uznała to za proste, ale godne podziwu nastawienie.

- Oczywiście, jak pani widzi, istnieje niebezpieczeństwo - ciągnęła Paulina z troską w głosie. - Chociaż, moim zdaniem, nie wygląda pani na osobę, która obawia się niebezpieczeństwa. Podobnie zresztą jak ja. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za tchórza, dlatego że proszę panią o zastępstwo? Widzi pani, dla Ostrovii to sprawa niezwyklej wagi, abym wyszła za mąż i jak najprędzej urodziła dwóch synów. Później wszystko mi jedno, co się ze mną stanie.

- Rozumiem - przytaknęła Jane.

- A więc, zgadza się pani?

- Tak - rzuciła Jane śmiało. - Zgadzam się. Paulina kilka razy mocno klasnęła w dłonie. Księżna Poporeńska pojawiła się natychmiast.

- Powiedziałam jej wszystko, Anno - oznajmiła Wielka Księżna. - Zrobi, czego od niej oczekujemy i ma obiecane trzy tysiące funtów. Powiedz Fiodorowi, aby to zanotował. Jest do mnie bardzo podobna, nieprawdaż? Myślę nawet, że jest ode mnie ładniejsza.

Księżna wyszła swym kołyszącym krokiem z pokoju i po chwili wróciła z hrabią Strepticzem.

- Wszystko ustaliłyśmy, Fiodorze Aleksandrowiczu - poinformowała Wielka Księżna. Hrabia skłonił się.

- Zastanawiam się, czy ona potrafi zagrać tę rolę? - zapytał, z powątpiewaniem przyglądając się Jane.

- Pokażę panu - zapaliła się dziewczyna. - Pozwoli pani, madame? - zwróciła się do Wielkiej Księżnej. Ta ostatnia skinęła głową z zadowoleniem.

Jane wstała.

- Ależ to wspaniale, Anno - powiedziała. - Nigdy nie przypuszczałam, że się nam tak powiedzie. Proszę podejść bliżej i przyjrzeć się nam obu.

I, tak samo jak wcześniej uczyniła to Paulina, pociągnęła drugą dziewczynę do lustra.

- Widzi pani? Łudzące podobieństwo! Słowa i gesty były wyśmienitą repliką Pauliny. Księżna skinęła głową i mruknęła z aprobatą.

- Dobrze gra - przyznała. - Zmyli większość ludzi.

- Jest pani bardzo zdolna - pochwaliła Paulina. - Nie potrafiłabym nikogo naśladować, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Jane uwierzyła jej bez zastrzeżeń. Zdążyła się już zorientować, że Paulina nie umiała udawać.

- Anna ustali z panią szczegóły - rzekła Wielka Księżna. - Zaprowadź panią do mojej sypialni, Anno, i daj jej przymierzyć niektóre moje rzeczy.

Wdzięcznie skinęła głową na pożegnanie i Jane w towarzystwie księżnej Poporeńskiej opuściła pokój.

- W tym stroju Wielka Księżna otworzy wentę dobroczynną - wyjaśniła starsza dama, demonstrując biało-czarną kreację o śmiałej linii. - Uroczystość odbędzie się za trzy dni. Może okazać się konieczne, aby ją pani tam zastąpiła. Jeszcze nie wiemy. Jak dotąd, nie otrzymaliśmy informacji.

Na polecenie Anny Jane zdjęła własne podniszczone ubranie i przymierzyła suknię. Pasowała na nią doskonale. Księżna kiwnęła głową z uznaniem.

- Leży jak ulał, tylko jest na panią ciut za długa. Jest pani trochę niższa od Jej Wysokości.

- Można temu łatwo zaradzić – wtrąciła pośpiesznie Jane. – Zauważyłam, że Wielka Księżna nosi pantofle na niskich obcasach. Jeśli założę podobne, ale na wysokich obcasach, wszystko będzie pasowało.

- Anna Michajłowna pokazała buty, które Wielka Księżna zazwyczaj zakładała do tej sukni. Zrobione były z jaszczurczej skóry i zapinały się na pasek. Jane zapamiętała fason, aby kupić takie same, tylko na innych obcasach.

- Byłoby dobrze - poradziła Anna Michajłowna – aby założyła pani suknię w jaskrawym kolorze i z odmiennego materiału niż suknia Jej Wysokości. W ten sposób, jeśli szybkie odwrócenie ról okaże się konieczne, zamiana będzie trudniejsza do zauważenia.

Jane zastanawiała się przez moment.

- Może płomiennie czerwona z wypukłym wzorem? Do tego mogę założyć binokle. One bardziej zmieniają wygląd.

Obydwie propozycje zostały przyjęte i przystąpiono do omawiania dalszych szczegółów.

Jane wyszła z hotelu ze stoma funtami w portmonetce na zakup niezbędnych strojów oraz poleceniem wynajęcia sobie apartamentu w hotelu Blitz na nazwisko panny Montresor z Nowego Jorku.

Po dwóch dniach zawitał do niej hrabia Strepticz.

- Co za odmiana! – powiedział kłaniając się nisko.

Jane odwzajemniła mu się efektownym ukłonem. Cieszyły ją nowe stroje i pełne Przepychu życie.

- Doskonale mi się wiedzie – westchnęła. – Ale, jak przypuszczam, pańska wizyta oznacza, że muszę zabrać się do pracy, aby zarobić swoje pieniądze.

- W rzeczy samej. Otrzymaliśmy informacje, zdaje się prawdopodobne, iż może dojść do próby porwania Jej Wysokości w drodze powrotnej z wenty dobroczynnej. Jak pani wiadomo, wenta odbędzie się w Orion House, piętnaście kilometrów od Londynu. Jej Wysokość musi pojawić się osobiście na uroczystości, ponieważ hrabina Anchester, organizatorka wenty, zna ją osobiście. Ale wymyśliłem pewien plan.

Z grubsza naszkicował jej plan działania. Jane wysłuchała go uważnie, zadała kilka pytań i w końcu oświadczyła, że doskonale zrozumiała rolę, którą przyjdzie jej odegrać.

Nazajutrz było słonecznie i pogodnie – wymarzony dzień na jedno z największych wydarzeń londyńskiego sezonu, jakim była wenta w Orion House zorganizowana przez hrabinę Anchester na rzecz pomocy przebywającym w Anglii uchodźcom z Ostrowii.

Biorąc pod uwagę zmienność angielskiej aury, wenta odbywała się w przestronnych komnatach Orion House, który od pięciuset lat należał do rodu Anchester. Na wystawę wypożyczono rozmaite dzieła sztuki, a uroczym gestem był dar ofiarowany przez sto pań z

towarzystwa. Każda z nich podarowała jedną perłę wyjętą z własnego naszyjnika. Następnego dnia perły te miały zostać sprzedane na aukcji. Ponadto przewidziano liczne występy i inne atrakcje na świeżym powietrzu.

Jane przybyła do Anchester wcześniej jako panna Montresor. Ubrana była w suknie koloru płomiennej czerwieni, na głowie miała czerwony kapelusik w kształcie hełmu, na nogach zaś pantofle na wysokich obcasach ze skóry jaszczurczej.

Przyjazd Wielkiej Księżnej Pauliny stał się wielkim wydarzeniem. Pod eskortą udała się na podium, gdzie małe dziecko obdarowało ją bukietem róż. Zainauguowała wentę, wygłaszając krótkie, pełne wdzięku przemówienie. Towarzyszył jej hrabia Strepticz i księżna Poporeńska.

Miała na sobie suknię, którą Jane już widziała - białą w wyrazisty czarny deseń. Jej czarny kapelusz w kształcie hełmu zdobił pęk czarnych piór, zwieszających się z rondka, oraz koronkowa woalka zakrywająca pół twarzy. Jane uśmiechnęła się do siebie.

Wielka Księżna obesła kiermasz, zatrzymując się przy każdym stoisku, i nabyła kilka rzeczy z wyrazem niezmaconej łaskawości na twarzy. Następnie poczyniła przygotowania do odjazdu.

Jane bezzwłocznie podjęła się swej roli. Poprosiła księżną Poporeńską o przedstawienie jej Wielkiej Księżnej.

- Ach, oczywiście! - powiedziała Paulina dźwięcznym głosem. - Panna Montresor, przypominam sobie to nazwisko. Jak sądzę, amerykańska dziennikarka. Wiele zrobiła dla naszej sprawy. Chętnie udzielię jej krótkiego wywiadu. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał?

Natychmiast oddano do dyspozycji Wielkiej Księżnej salonik, a hrabia Strepticz został posłany po pannę Montresor. Gdy tylko wyszedł, w obecności księżnej Poporeńskiej dokonano szybkiej zmiany strojów.

Trzy minuty później otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Wielka Księżna, trzymając przy twarzy bukietik róż.

Przesłała zebrany łaskawe ukłony, zamieniła po francusku kilka słów pożegnania z hrabiną Anchester, po czym wyszła i wsiadła do czekającego na nią samochodu. Księżna Poporeńska zajęła miejsce obok niej i samochód ruszył.

- Załatwione - odezwała się Jane. - Zastanawiam się, jak sobie radzi panna Montresor.
- Nikt jej nie zauważy. Wyjdzie po cichu.
- Zapewne - zgodziła się Jane. - Spisałam się nieźle, prawda?

- Zagrała pani swą rolę bardzo przekonująco.

- Dlaczego hrabia z nami nie jedzie?

- Musiał pozostać. Ktoś powinien czuwać nad bezpieczeństwem Jej Wysokości.

- Mam nadzieję, że nikt nie rzuci bomby - rzekła Jane z obawą w głosie. - Ej, dlaczego skręcamy z głównej drogi?

Samochód zwiększył prędkość i popędził boczną drogą.

Jane podskoczyła i wystawiając głowę przez okno, zaczęła upominać kierowcę. Ten jednak roześmiał się tylko i jeszcze przyśpieszył. Dziewczyna opadła na siedzenie.

- Wasi szpiedzy mieli rację - roześmiała się. - Stało się. Sądzę, że im dłużej wytrwam, tym bezpieczniej dla Wielkiej Księżnej. W każdym razie musimy dać jej czas, aby spokojnie wróciła do Londynu.

W obliczu niebezpieczeństwa poczuła przypływ odwagi. Nie uśmiechała jej się perspektywa podłożenia bomby, ale ten rodzaj przygody przemawiał do jej sportowego ducha.

Nagle, z piskiem opon, samochód stanął w miejscu. Wyskoczył z niego jakiś mężczyzna. W rękę trzymał rewolwer.

- Ręce do góry! - warknął.

Księżna Poporeńska szybko wykonała rozkaz, ale Jane spojrzała tylko na napastnika z pogardą i zatrzymała ręce na kolanach.

- Proszę go spytać o cel tego zamachu - odezwała się po francusku do swej towarzyszki.

Zanim jednak księżna zdołała otworzyć usta, mężczyzna wyrzucił z siebie potok słów w jakimś obcym języku.

Nic nie rozumiejąc, Jane wzruszyła ramionami i nie powiedziała ani słowa. Tymczasem z samochodu wysiadł szofer i przyłączył się do nieznanego napastnika.

- Czy znakomita dama raczy wysiąść? - zapytał uśmiechając się szeroko.

Zasłaniając kwiatami twarz, Jane opuściła samochód. Księżna Poporeńska poszła w jej ślady.

- Znakomita dama zechce pójść tędy?

Nie zwracając uwagi na bezczelność i kpinę w głosie nieznanego mężczyzny, Jane bez sprzeciwu udała się w kierunku niskiego, pospolicie wyglądającego domku, który znajdował się jakieś sto metrów od miejsca, w którym zatrzymano samochód. Droga kończyła się na bramie i podjeździe prowadzącym do tego niewątpliwie opustoszałego domostwa.

Mężczyzna, ciągle wymachując bronią, szedł z tyłu za dwiema kobietami. Kiedy weszli po schodach na górę, szybko wysunął się do przodu i zamasyście otworzył drzwi po lewej stronie. Był tam pusty pokój, do którego, zapewne specjalnie, wniesiono stół i dwa krzesła.

Jane weszła do środka i usiadła. Anna Michajłowna podążyła za nią. Mężczyzna z hukiem zatrzasnął drzwi i przekreślił klucz.

Jane zbliżyła się do okna i wyjrzała.

- Oczywiście mogłabym wyskoczyć - stwierdziła.

- Ale daleko nie ucieknę. Musimy chwilowo tu pozostać i zrobić z tego jak najlepszy użytek. Zastanawiam się, czy dadzą nam coś do jedzenia?

Około pół godziny później otrzymała odpowiedź na swoje pytanie.

Wniesiono i postawiono na stole dużą miskę parującej zupy. Do tego dwa kawałki czerstwego chleba.

- Niezbyt to wykwintne jedzenie dla arystokracji - zażartowała Jane, kiedy znów zamknięto drzwi. - Czy pani skosztuje pierwsza, czy ja?

Księżna Poporeńska ze wstrętem odrzuciła pomysł jedzenia.

- Jakże mogłabym jeść? Kto wie, w jakim niebezpieczeństwie może być moja pani?

- Nic jej nie grozi - odparła Jane. - Martwię się raczej o siebie. Ci ludzie nie będą zachwyceni, kiedy zorientują się, że schwytali niewłaściwą osobę. Doprawdy mogą być bardzo nieprzyjemni. Postaram się udawać wyniosłą Wielką Księżną, ale dam drapak, jak tylko pojawi się możliwość.

Księżna Poporeńska nie raczyła odpowiedzieć.

Jane była głodna, więc zjadła całą zupę. Miała dziwny smak, ale była gorąca i aromatyczna.

Po chwili zachciało jej się spać. Miała wrażenie, że księżna Poporeńska cicho pochlipuje. Jane usadowiła się na swym niewygodnym krześle w możliwie najdogodniejszej pozycji, po czym głowa jej opadła.

Zasnęła.

Jane drgnęła i przebudziła się. Odniosła wrażenie, że spała nieskończenie długo. Czula się niedobrze i ociężale.

Raptem dostrzegła coś, co przywróciło jej natychmiast pełną przytomność.

Miała na sobie ognieście czerwoną sukienkę w wypukły wzorek.

Wyprostowała się i rozejrzała wokół. Tak, nadal przebywała w tym samym opustoszałym domu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak w momencie, gdy zasypiała - z wyjątkiem dwóch szczegółów. Po pierwsze, na sąsiednim krześle nie siedziała już księżna Poporeńska. Drugim szczegółem była zagadkowa zmiana jej stroju.

- To mi się nie mogło przyśnić - powiedziała Jane. - Jeśli wszystko byłoby snem, nie znajdowałabym się tutaj.

Wyrzała przez okno i poczyniła kolejne spostrzeżenie. Gdy zasypiała, do pokoju wpadały promienie słońca. Teraz zaś dom rzucał głęboki cień na oświetlony słońcem podjazd.

Okna wychodzą na zachód, pomyślała. Zasnęłam po południu. Więc teraz musi być poranek następnego dnia. Do zupy wsypano narkotyk. A więc... och, sama nie wiem. To czyste szaleństwo.

Wstała i podeszła do drzwi. Były otwarte. Przeszukała dom. Wszędzie było cicho i pusto.

Przyłożyła rękę do bolącego czoła i usiłowała skupić myśli.

Po chwili koło wejściowych drzwi zauważyła podartą gazetę. Rzuciły jej się w oczy wielkie nagłówki.

Amerykańska złodziejka w Anglii, przeczytała. Dziewczyna w czerwonej sukience. Sensacyjna grabież na wencie w Orion House.

Jane chwiejnym krokiem wyszła na słońce. Usiadła na schodkach i w miarę czytania oczy jej robiły się coraz szersze.

W chwilę po odjeździe Wielkiej Księżnej Pauliny, trzech mężczyźni i dziewczyna w czerwonej sukience wyjęli broń i bez przeszkód sterroryzowali gości. Zabrali sto pereł i uciekli szybkim sportowym samochodem. Do tej pory nie natrafiono na ich ślad.

W wiadomościach z ostatniej chwili (było to wieczorne wydanie gazety) wyjaśniono w kilku słowach, że „złodziejka w czerwonej sukni” zatrzymała się w hotelu Blitz jako panna Montresor z Nowego Jorku.

- Oszukano mnie - skonstatowała Jane. - Wystrychnięto na dudka. Cały czas wiedziałam, że gdzieś musi się kryć pułapka.

Nagle wzdrygnęła się. W powietrzu rozległ się dziwny dźwięk. Był to głos mężczyzny, który powtarzał w kółko jedno słowo.

- Cholera - mówił. - Cholera. - I znów: - Cholera.

Głos ten wywarł na Jane wstrząsające wrażenie. Zbiegła po schodach. W kącie pod schodami leżał młody mężczyzna. Usiłował unieść głowę z ziemi. Jane odniosła wrażenie, że

jego twarz była jedną z najmilszych twarzy, jakie kiedykolwiek widziała. Była piegowata i miała nieco figlarny wyraz.

- Cholerna głowa - powtórzył młody człowiek. - Niech to diabli. Ja...

Urwał i wpatrywał się w Jane.

- Chyba śnię - powiedział cicho.

- Też tak myślałam - odparła Jane. - Ale to nie sen. Co się stało z pana głową?

- Ktoś mnie uderzył. Na szczęście jest twarda. - Z wysiłkiem przybrał siedzącą pozycję i skrzywił twarz. - Mam nadzieję, że wkrótce mój mózg zacznie pracować. Jak widzę, nadal przebywam w tym samym miejscu.

- Skąd się pan tu wziął? - zapytała Jane z zaciekawieniem.

- To długa historia. Ale, ale... nie jest pani Wielką Księżną jak-jej-tam, nieprawdaż?

- Nie. Jestem zwyczajną Jane Cleveland.

- W żadnym wypadku nie jest pani zwyczajna - powiedział młody człowiek, patrząc na nią ze szczerym podziwem.

Jane zarumieniła się.

- Powinnam panu chyba przynieść trochę wody lub czegoś podobnego? - zapytała niepewnie.

- Tak się na ogół robi - przyznał młody człowiek.

- Jednak wolałbym whisky, jeśli gdzieś tu jest.

Jane nie mogła znaleźć whisky. Młody człowiek wypił głęboki haust wody i oświadczył, że czuje się lepiej.

- Mam opowiedzieć swoje przygody, czy najpierw pani? - zapytał.

- Pan pierwszy.

- Nie ma tu nic nadzwyczajnego. Zauważyłem, że Wielka Księżna przyszła na przyjęcie w pantoflach na niskich obcasach, a wyszła na wysokich. Wydało to mi się trochę dziwne. Nie lubię dziwnych spraw. Pojechałem za samochodem na swoim motorze - ciągnął - i widziałem, jak wprowadzono panią do domu. Jakieś dziesięć minut później pędem nadjechał sportowy wóz. Wysiadła z niego dziewczyna w czerwonej sukience i trzech mężczyzn. Miała na nogach pantofle na niskich obcasach. Weszli do domu. Wkrótce potem dama na płaskich obcasach wyszła, ubrana w białą-czarną kreację, i odjechała tym pierwszym samochodem w towarzystwie leciwej damulki i wysokiego mężczyzny z jasną brodą. Pozostali odjechali sportowym samochodem. Pomyślałem, że wszyscy uciekli i usiłowałem dostać się przez

okno, żeby panią oswobodzić, kiedy ktoś z tyłu uderzył mnie w głowę. To wszystko. Kolej na panią.

Jane zrelacjonowała swoje przygody.

- Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że pan nas śledził - zakończyła. - W przeciwnym razie, zdaje pan sobie sprawę, w jakich okropnych bym była tarapatach? Wielka Księżna miała doskonałe alibi. Opuściła wentę, zanim dokonano napadu, i przyjechała swoim samochodem do Londynu. Czy ktokolwiek uwierzyłby w moją fantastyczną i nieprawdopodobną historię?

- Nigdy w życiu - przyznał młody człowiek z przekonaniem.

Byli tak zajęci swoimi opowieściami, że nie zważali na otoczenie. Toteż teraz z lekkim przerażeniem wpatrywali się w mężczyznę o smutnej twarzy, który stał, opierając się o ścianę domu. Skinął im na powitanie.

- Bardzo interesujące - skomentował.

- Kim pan jest? - zapytała Jane. W oczach poważnego człowieka pojawił się lekki błysk.

- Detektyw inspektor Farrell - odpowiedział uprzejmie. - Z wielką uwagą wysłuchałem pańskiego opowiadania i tej oto młodej damy. Być może mielibyśmy pewne problemy, aby uwierzyć w jej historię, gdyby nie jedna lub dwie okoliczności.

- Mianowicie?

- Otóż, dowiedzieliśmy się dziś rano, że prawdziwa Wielka Księżna uciekła z Paryża ze swoim szoferem. Jane zaparło dech w piersiach.

- A poza tym - ciągnął inspektor - wiedzieliśmy, że ta amerykańska złodziejka przybyła do Anglii i spodziewaliśmy się jakiegoś wyczynu. Zgarniemy ich niebawem, obiecuję wam. Przepraszam na moment.

Wbiegł po schodkach do domu.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Jane z ulgą. - To bardzo rozropne z pana strony, że zwrócił pan uwagę na buty - dodała zniecierpliwiona.

- Nic wielkiego. - Młody człowiek zbagatelizował sprawę. - Miałem do czynienia z tą branżą od dziecka. Mój ojciec jest swego rodzaju królem butów. Chciał, żebym poszedł w jego ślady; ożenił się i ustatkował. Coś w tym guście. Nie miał na względzie nikogo konkretnego, chodziło po prostu o zasadę. Ale ja - westchnął - chciałem zostać artystą.

- Tak mi przykro - odezwała się uprzejmie Jane.

- Próbowałem przez sześć lat. Nie ma co się oszukiwać. Jestem kiepskim malarzem. Mam wielką ochotę to rzucić i wrócić do domu jak syn marnotrawny. Czeka na mnie dobra posada.

- Praca to ważna rzecz - zgodziła się Jane z zadumą w głosie. - Czy nie mógłby pan załatwić mi jakiejś w branży obuwniczej?

- Mógłbym ofiarować pani coś znacznie lepszego, jeśli się pani zgodzi.

- Och, co takiego?

- Mniejsza z tym. Powiem pani później. Widzi pani, aż do wczoraj nie spotkałem dziewczyny, którą chciałyby poślubić.

- Aż do wczoraj?

- Na wencie. Tam ją zobaczyłem, tę jedną jedyną. Spojrzał znacząco na Jane.

- Jakże ślicznie wyglądają te ostróżki - wtrąciła pośpiesznie Jane, mocno się rumieniąc.

- To są łubiny - sprostował młody człowiek.

- To nie ma znaczenia - powiedziała Jane.

- Żadnego - zgodził się i przysunął do niej odrobinę bliżej.

Owocna niedziela

- Ojej, naprawdę uważam, że jest cudownie - powtórzyła panna Dorothy Pratt po raz czwarty. - Wiele bym dała, żeby ta stara jędza mogła mnie teraz zobaczyć. Ona i ten jej cały James!

„Stara jędza”, czyli pani Mackenzie Jones, o której właśnie zjadliwie wspomniała Dorothy, była jej wielce szanowną chlebobawczynią. Miała wyrobione poglądy na temat imion odpowiednich dla pokojówek, w związku z czym z miejsca odrzuciła imię Dorothy na korzyść pogardzanego przez pannę Pratt jej drugiego imienia - Jane.

Towarzysz panny Pratt nie odpowiedział od razu z przyczyn jak najbardziej uzasadnionych. Jeśli kupiło się małego austina z czwartej ręki za sumę dwudziestu funtów i dopiero drugi raz wyjechało nim na przejażdżkę, całą uwagę z konieczności koncentruje się na niełatwym zadaniu używania dwóch rąk i nóg naraz, stosownie do rodzących się potrzeb chwili.

- Uff! - westchnął pan Edward Palgrove, przewyciężając trudności przy akompaniamencie okropnego, zgrzytliwego dźwięku, który rasowego kierowcę przyprawiłby o ból zębów.

- No cóż, nie jesteś zbyt rozmowny - poskarżyła się Dorothy.

Pan Palgrove nie musiał odpowiadać, ponieważ w tej samej chwili kierowca autobusu posyłał mu głośną i soczystą wiązanekę.

- Do licha, co za tupet! - obruszyła się panna Pratt,

- Niechby sam pomęczył się z takimi hamulcami! - rzucił cierpko jej uroczy adorator.

- Nie działają?

- Można wciskać do upadłego właściwie bez skutku - odparł pan Palgrove.

- Ojej, Ted, nie można oczekiwać cudów za dwadzieścia funtów. Ostatecznie mamy prawdziwy samochód, jest niedzielne popołudnie i tak jak wszyscy wyjeżdżamy z miasta.

Rozległ się kolejny skrzyp i zgrzyt.

- Ach! - odezwał się Ted zarumieniony z radości.

- Poszło znacznie lepiej.

- Prowadzisz wspaniale - powiedziała Dorothy z podziwem.

Ośmielony kobiecą pochwałą, pan Palgrove usiłował z rozpędem przemknąć Hammersmith Broadway, za co został srogo upomniany przez policjanta.

- Doprawdy nigdy nie rozumiem - powiedziała Dorothy, kiedy już nieco spokojniej jechali w kierunku Hammersmith Bridge - o co chodzi policji. Powinni być trochę grzeczniejsi po tym wszystkim, co się o nich ostatnio mówiło.

- Tak czy owak, nie chciałem jechać tą drogą - wtrącił Edward ze smutkiem. - Wołałem zrobić rajd Great West Road.

- I na pewno wpadłbyś w pułapkę - zauważyła Dorothy. - Pewnego dnia to się przytrafiło memu panu. Pięć funtów i strata czasu.

- Mimo wszystko policjanci nie są tacy źli - powiedział Edward wspaniałomyślnie. - Tak samo walą w bogatych. Nie ma przywilejów. Wściekam się na myśl o tych bogaczach, którzy wchodzą sobie do sklepu i bez kiwnięcia palcem kupują dwa rolls-royce'y. To nie w porządku. Jestem tak samo dobry jak oni.

- A biżuteria... - rozmarzyła się Dorothy. - Te sklepy przy Bond Street pełne brylantów, pereł i Bóg wie czego jeszcze! A ja ze sznurkiem pereł od Woolwortha!

Pograżyła się w smutnych rozmyślaniach nad swoją kondycją, co pozwoliło Edwardowi całą uwagę poświęcić prowadzeniu pojazdu. Wstrząśnięty klótnią z policjantem, jechał teraz po linii najmniejszego oporu; jeśli tylko nadarzała się sposobność, włókł się w ogonie jakiegoś innego wozu.

Tym sposobem wkrótce zjechał w boczną, polną drogę, za której odkrycie wielu doświadczonych kierowców oddałoby duszę.

- Dość sprytnie udało mi się skrócić z głównej drogi - pochwalił się Edward, przypisując sobie całą zasługę.

- Jak po maśle - powiedziała panna Pratt. - I mogę przysiąc, że stoi tam człowiek sprzedający owoce.

Istotnie, na zakręcie stał wiklinowy stolczyk z koszykami owoców oraz hasłem na reklamowanej tablicy: „Jedzcie więcej owoców”.

- Po ile? - spytał Edward nie bez obawy w głosie, kiedy wreszcie zamaszyste zaciągnięcie ręcznego hamulca przyniosło pożądany efekt.

- Wspaniałe truskawki - zachwalał sprzedawca. Był osobnikiem o mało pociągającej powierzchowności i złym spojrzeniu.

- W sam raz dla pani. Dojrzałe owoce, dopiero co zerwane. Mam również wiśnie. Oryginalne angielskie. Życzy sobie pani lubiankę wiśni?

- Wyglądają dorodnie - pochwaliła Dorothy.

- Są wyśmienite - powiedział mężczyzna ochryple. - Ten koszyk przyniesie pani szczęście. Dwa szylingi, proszę pana - rzączył w końcu odpowiedzieć Edwardowi. - Za bezcen. Sam pan stwierdzi, gdy zobaczy pan, co jest w środku.

- Wyglądają naprawdę wspaniale - przyznała Dorothy.

Edward westchnął i zapłacił dwa szylingi. W umyśle czynił kalkulacje: później herbata, benzyna... no cóż, te niedzielne przejażdżki nie wypadały tanio. To było najgorsze z dziewczynami! Zawsze musiały mieć wszystko, co zobaczyły.

- Dziękuję panu - powiedział nieprzyjemnie wyglądający mężczyzna. - Ten koszyk wiśni jest o wiele więcej wart.

Edward wściekle nacisnął pedał i mały austin rzucił się w kierunku sprzedawcy wiśni niczym rozwścieczony owczarek alzacki.

- Przepraszam - bąknął Edward. - Zapomniałem, że był na biegu.

- Powinieneś bardziej uważać, kochanie - powiedziała Dorothy. - Mogłeś go zranić.

Edward nie skomentował. Po przejechaniu kilkuset metrów dotarli do idealnego miejsca nad brzegiem rzeki. Zostawili samochód przy drodze. Usiedli czule przytuleni nad brzegiem i zaczęli delektować się wiśniami. U ich stóp leżała porzucona niedzielna gazeta.

- O czym tam piszą? - spytał w końcu Edward, kładąc się na plecach i nasuwając kapelusz na twarz, aby ochronić oczy przed słońcem.

Dorothy przerzuciła wzrokiem nagłówki.

- Pograżona w smutku żona. Niezwykła historia. Dwadzieścia osiem osób utonęło w zeszłym tygodniu. Śmierć lotnika. Wstrząsająca kradzież klejnotów. Zaginął rubinowy naszyjnik o wartości pięćdziesięciu tysięcy funtów. Och, Ted, pięćdziesiąt tysięcy funtów! Wyobrażasz sobie? - Czytała dalej: - Naszyjnik składający się z dwudziestu jeden rubinów, oprawionych w platynę, został wysłany z Paryża przesyłką poleconą. Przy odbiorze okazało się, że paczka zawiera kilkanaście kamyków, a prawdziwe klejnoty zaginęły.

- Zwędzone na poczcie - orzekł Edward. - Przypuszczam, że Francuzi mają okropną pocztę.

- Chciałabym zobaczyć taki naszyjnik - westchnęła Dorothy. - Lśniący jak krew, gołębia krew, tak określają len kolor. Zastanawiam się, jak człowiek się czuje, mając na szyi takie чудо.

- No cóż, chyba się tego nigdy nie dowiesz, moja droga - skwitował Edward żartobliwie.

- Dlaczego nie? - zachnęła się Dorothy. - Nie masz pojęcia, do czego potrafi dojść dziewczyna. Może pójdę na scenę.

- Dziewczyny, które prowadzą się przyzwoicie, nie dochodzą do niczego - oświadczył Edward.

Dorothy już otworzyła usta, aby mu odpowiedzieć, ale opanowała się i tylko powiedziała spokojnie:

- Podaj mi wiśnie. Zjadłam więcej niż ty. Podzielę te, które zostały i... O Boże, a cóż tu jest na dnie koszyka? - Wyciągnęła długi, lśniący łańcuch krwistoczerwonych kamieni.

Obydwoje wpatrywali się w niego w osłupieniu.

- W koszyku, powiedziałaś? - odezwał się w końcu Edward.

Dorothy przytaknęła.

- Dokładnie na dnie, pod owocami.

Znów wpatrywali się w siebie z niedowierzaniem.

- Jak myślisz, skąd on się tu wziął?

- Nie mam pojęcia. To dziwne, Ted, akurat gdy przeczytałam w gazecie ten kawałek... o rubinach. Edward roześmiał się.

- Chyba sobie nie wyobrażasz, że trzymasz w ręku pięćdziesiąt tysięcy funtów?

- Powiedziałam właśnie, że to dziwne. Rubiny oprawione w platynę. Platyna ma kolor zmatowiałego srebra, taki jak to. Iskrzą się i mają zachwycający kolor, prawda? Zastanawiam się, ile ich jest? - Policzyła. - Słuchaj, dokładnie dwadzieścia jeden.

- Nie może być!

- Tak. Taka sama liczba, o której pisali w gazecie. Och, Ted, nie myślisz chyba...

- To niemożliwe. - Nie mówił jednak z przekonaniem. - Jest pewien sposób... Można je zarysować szkłem.

- Tak się sprawdza brylanty. Ale wiesz, Ted, to był bardzo dziwny człowiek - ten facet z owocami. Paskudnie wyglądał. I jakoś tak dziwnie się wyraził. Powiedział, że w koszyku znajduje się coś, co jest warte więcej niż nasze pieniądze.

- Owszem. Ale zastanów się, Dorothy, po cóż chciałby nam dawać pięćdziesiąt tysięcy funtów?

Panna Pratt pokiwała głową ze zniechęceniem.

- To wydaje się bez sensu - zauważyła. - Chyba że ścigała go policja.

- Policja? - Edward lekko zbladł.

- Tak. Tam dalej piszą, że „policja jest na tropie”. Edwardowi przeszły ciarki po plecach.

- Nie podoba mi się to, Dorothy. Przypuśćmy, że policja pójdzie naszym śladem.

Dorothy patrzyła na niego oszołomiona.

- Ale przecież myśmy nic nie zrobili, Ted. Znaleźliśmy naszyjnik w koszyku.

- To zabrzmiało jak głupia historyjka! Mało wiarygodna.

- Masz rację - przyznała Dorothy. - Och, Ted, czy naprawdę myślisz, że to jest właśnie ten naszyjnik? Zupełnie jak w bajce!

- Wcale to nie brzmi bajkowo - powiedział Edward. - Mnie bardziej przypomina historię, której bohater, niesłusznie oskarżony, ląduje w Dartmoor na czternaście lat.

Lecz Dorothy już nie słuchała. Zapięła naszyjnik na szyi i oceniała efekt w małym podreęcznym lusterku, które wyjęła z torebki.

- Taki sam mogłaby nosić księżna - wyszeptała przepełniona zachwytem.

- Nie wierzę - rzucił Edward gwałtownie. - To imitacja. To musi być imitacja!

- Owszem, kochanie - powiedziała Dorothy, ciągle pochłonięta swym odbiciem w lustrze. - Bardzo prawdopodobne.

- Inaczej byłby to zbyt duży... zbieg okoliczności.

- Gołębia krew - wyszeptała Dorothy.

- Bzdura. Mówię ci, że bzdura. Słuchaj no, Dorothy... Słyszysz, co ja mówię, czy nie?

Dorothy odłożyła lusterko. Odwróciła się do Edwarda, jedną ręką przytrzymując rubiny wokół szyi.

- Jak wyglądam? - spytała.

Edward wpatrywał się w dziewczynę, zapominając o irytacji. Nigdy nie widział takiej Dorothy. Roztaczała wokół siebie aurę sukcesu i królewskiego piękna. Ten widok był dla niego czymś zupełnie nowym. Świadomość, że miała na szyi klejnoty wartości pięćdziesięciu tysięcy funtów sprawiła, że stała się inną kobietą. Wyglądała wyniośle i godnie niczym Kleopatra, Semiramida i Zenobia w jednej osobie.

- Wyglądasz... wyglądasz... oszalamiająco - przyznał Edward pokornie.

Dorothy roześmiała się. Ten śmiech również był całkowicie inny.

- Posłuchaj - powiedział Edward. - Trzeba coś zrobić. Musimy odnieść naszyjnik na posterunek.

- Nonsens - zaprotestowała Dorothy. - Sam powiedziałeś przed chwilą, że ci nie uwierzą i wsadzą do więzienia za kradzież.

- Ale... co innego możemy zrobić?

- Zatrzymać naszyjnik - oświadczyła nowa Dorothy

Edward wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Zatrzymać? Oszalałaś!

- Znaleźliśmy go, prawda? Skąd mogliśmy wiedzieć, że klejnoty są wartościowe?

Zatrzymamy je i będę je nosiła.

- I złapie cię policja.

Dorothy zamyśliła się na chwilę.

- A więc sprzedamy je. I będziesz mógł kupić rolls-royce'a a nawet dwa rolls-royce'y, ja zaś kupię sobie brylantową spinkę do włosów i parę pierścionków.

Edward nie przestawał się gapić, co w końcu dziewczynę zniecierpliviło.

- Masz teraz szansę i od ciebie zależy, czy ją wykorzystasz. Nie ukradliśmy naszyjnika, tego bym zresztą nie pochwaliła. Nawinał się nam sam i prawdopodobnie jest to nasza jedyna szansa zdobycia wszystkiego, czego dusza może zapragnąć. Czy nie grzeszysz choć odrobiną odwagi, Edwardzie Palgrove?

Edward odzyskał mowę.

- Sprzedać go, powiadasz? To nie takie proste. Każdy jubiler będzie się dopytywał, skąd wzięłem ten cholerny naszyjnik.

- Toteż nie zanieśes go do jubilera. Czy ty nigdy nie czytasz kryminałów, Ted? Pójdiesz do pasera, oczywiście.

- A skąd ja mam znać paserów? Wychowano mnie uczciwie.

- Mężczyźni powinni wiedzieć wszystko - stwierdziła Dorothy. - Po to właśnie są.

Popatrzył na nią. Była twarda i nieugięta.

- Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał - powiedział cicho.

- Myślałam, że masz więcej odwagi.

Zapadło milczenie. Po chwili Dorothy wstała.

- No cóż - rzekła lekko. - Najlepiej zrobimy wracając do domu.

- Chcesz to mieć na szyi?

Dorothy zdjęła naszyjnik, popatrzyła na niego z czcią i wrzuciła do torebki.

- Daj go mnie - powiedział Edward.

- Nie.

- Daj. Zostałem wychowany uczciwie, moja droga.

- A więc możesz dalej postępować uczciwie. Nie musisz mieć z tym nic wspólnego.

- Och, oddaj mi go -. zawołał Edward w przyпіlywie odwagi. - Zrobię, jak zechcesz. Znajdę pasera. Mówisz, że to jedyna szansa, jaką kiedykolwiek będziemy mieli... Uzyskaliśmy go uczciwie, kupiliśmy za dwa szylingi. To samo robią przez całe życie właściciele antykwariatów, i są z tego dumni.

- Właśnie! - pochwaliła Dorothy. - Och, Edwardzie, jesteś wspaniały!

Oddała mu naszyjnik, a on schował go do kieszeni. Czuł się podniesiony na duchu, zbudowany własną postawą - prawdziwy facet z krwi i kości! W takim nastroju uruchomił austina. Obydwoje byli zbyt podnieceni, aby pamiętać o podwieczorku. W milczeniu jechali do Londynu. Raz, na skrzyżowaniu, kiedy policjant szedł w ich kierunku, Edwardowi zamarło serce. Dotarli do domu, cudem unikając nieszczęśliwego wypadku.

Ostatnie słowa, które Edward skierował do Dorothy, przepojone były awanturniczym duchem.

- Damy sobie radę. Pięćdziesiąt tysięcy funtów! To jest tego warte!

Całą noc śniły mu się lakowe pieczęcie oraz więzienie Dartmoor. Rano wstał nieprzytomny i zmęczony. Musiał znaleźć pasera, a nie miał zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać!

W biurze pracował niedbale i dwukrotnie przed lunchem otrzymał ostre upomnienie.

Jak znaleźć pasera? Wyobrażał sobie, że odpowiednim miejscem będzie Whitechapel. A może Stepney?

Po powrocie z lunchu odebrał telefon. Usłyszał głos Dorothy - tragiczny i pełen łez.

- Czy to ty, Ted? Dzwonię, ale będę musiała przerwać, bo ona może nadejść w każdej chwili. Ted, niczego nie zrobiłeś, prawda?

Edward potwierdził.

- Posłuchaj, Ted, nie możesz tego zrobić. Nie spałam całą noc. To było okropne. Myślałam o tym, co napisano w Biblii, że nie można kraść. Wczoraj musiałam być szalona... naprawdę szalona. Ted, kochanie, nie zrobisz niczego, prawda?

Czyżby uczucie ulgi owładnęło panem Palgrove? Niewykluczone, w każdym razie nie miał zamiaru się do tego przyznać.

- Kiedy oświadczam, że coś zrobię, to zrobię - powiedział głosem, który mógłby należeć do supermena o oczach jak ze stali.

- Och, Ted, kochanie, nie możesz. O Boże, ona nadchodzi... Posłuchaj, Ted, ona wychodzi dziś wieczorem na kolację. Mogę się z tobą spotkać. Nie rób niczego, dopóki się ze

mną nie zobaczysz. Czekaj na mnie za rogiem. - Głos jej przerodził się w anielski szept. - Tak, proszę pani. To pomyłka. Proszono o połączenie z Boomsburry 0243.

Kiedy o szóstej po południu Edward wyszedł z biura, jego wzrok przykuł ogromny nagłówek:

Kradzież klejnotów. Ostatnie doniesienia.

W pośpiechu sięgnął po pensa. Zręcznie znalazł miejsce siedzące w wagonie metra i, bezpiecznie schowany w tłumie, zaczął gorączkowo czytać zadrukowaną stronę. Od razu znalazł to, czego szukał. Wydał z siebie stłumiony gwizd.

- Ależ ze mnie...

Po chwili sąsiedni akapit zwrócił jego uwagę. Przeczytał go dokładnie, po czym bezwiednie wypuścił gazetę z rąk.

Punkt ósma czekał w umówionym miejscu na Dorothy. Pojawiła się zdyszana i blada, ale niezmiernie urocza.

- Niczego nie zrobiłeś, Ted?

- Nie zrobiłem. - Wyjął rubinowy łańcuch z kieszeni.

- Możesz go założyć.

- Ależ, Ted...

- Policja odzyskała rubiny i schwytała złodzieja. A teraz przeczytaj to!

Podsunał jej gazetę pod nos. Dorothy przeczytała:

Nowy reklamowy trik

Sprytny reklamowy trik zastosował dom towarowy Fivepenny Fair, który zamierza rywalizować ze słynnym Woolworthem. Wczoraj sprzedawano koszyki owoców i podobne będą sprzedawane w każdą niedzielę. W co pięćdziesiątym koszyku znajdzie się imitacja naszyjnika z drogich kamieni. Te naszyjniki stanowią naprawdę wspaniałą okazję. Wczoraj wywołały wielkie podniecenie i radość. Hasło „Jedz więcej owoców!” w najbliższą niedzielę zapewne zrobi furorę. Gratulujemy Fivepenny Fair pomysłowości i życzymy im wiele szczęścia w kampanii: „Kupuj brytyjskie towary!”

- No cóż... - powiedziała Dorothy i po chwili dodała: - Trudno!

- Czuję to samo - stwierdził Edward. Przechodzący mężczyzna wetknął mu do ręki ulotkę.

- Weź jedną, bracie - zachęcił.

- *Cnotliwa niewiasta jest więcej warta niż rubiny* - przeczytał. - Otóż to! Mam nadzieję, że to cię pocieszy.

- Nie wiem - odparła Dorothy z powątpiewaniem.
- Wcale nie chcę wyglądać jak cnotliwa niewiasta.
- Ależ nie wyglądasz - zaprotestował Edward.
- Właśnie dlatego ten człowiek wręczył mi tę ulotkę. Mając te rubiny na szyi w ogóle nie przypominasz cnotliwej niewiasty.

Dorothy roześmiała się szczerze.

- Jesteś kochany, Ted - powiedziała. - Chodźmy do kina.

Przygoda pana Eastwooda

Pan Eastwood popatrzył w sufit. Potem spojrział w dół na podłogę. Stamtąd przesunął wolno wzrok na ścianę po prawej stronie. Następnie, z dużym wysiłkiem, jeszcze raz skierował spojrzenie na stojącą przed nim maszynę do pisania.

Dziewiczo biała kartka skalana była tytułem wypisanym drukowanymi literami.

Tajemnica drugiego ogórka - oto co tam zostało napisane. Chwytny tytuł. Anthony Eastwood czuł, że każdy, kto się z nim zapozna, z miejsca będzie zaintrygowany. Tajemnica drugiego ogórka, powiedzą. O czym to może być? I czytelnicy będą oczywiście oczarowani lekkością i artyzmem, z jakim ów mistrz kryminału uknuł podniecającą intrygę wokół pospolitego warzywa.

No tak, o to właśnie chodzi. Anthony Eastwood dobrze wiedział, jak powinna wyglądać ta opowieść. Kłopot w tym, że z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny nie potrafił się do niej zabrać. Zasadnicze elementy kryminału to tytuł i intryga, cała reszta to zwykłe rzemiosło. Zdarzało się, że tytuł w pewnej mierze sam stanowił zaczątek akcji i potem wszystko szło już jak po maśle. Jednak w tym wypadku tytuł nadal zdobył początek strony, a dalej nie wyłaniał się nawet ślad intrygi.

Anthony Eastwood znów szukał wzrokiem inspiracji na suficie, na podłodze i na tapecie, ale nadal w jego umyśle nic się nie wyklulo.

- Bohaterkę nazwę Sonia - powiedział Anthony, ponagłając swą wyobraźnię. - Sonia, albo może Dolores, będzie miała cerę koloru kości słoniowej, ale nie chorowicie bladą, i oczy jak przepastne jeziora. Bohater zaś będzie się nazywał George, a może John, coś krótkiego i brytyjskiego. Wreszcie ogrodnik... Przypuszczam, że musi być ogrodnik, skoro trzeba w jakiś sposób wprowadzić ten cholerny ogórek. A więc ogrodnik może być, powiedzmy, Szkotem, pełnym zabawnego pesymizmu w kwestii wczesnych przymrozków.

Ta metoda czasami skutkowała, ale tego poranka było zgoła inaczej. Chociaż Anthony całkiem plastycznie potrafił wyobrazić sobie Sonię, George'a oraz komicznego ogrodnika, jednak jego bohaterowie nie wykazywali najmniejszej chęci do życia i działania.

Mogę oczywiście zamienić ogórek na banana, pomyślał rozpaczliwie Anthony. Albo na sałatę lub brukselkę... Brukselka? Może brukselka? Byłby to szyfr na Brukselę. Na przykład: skradzione papiery wartościowe, groźny belgijski baron...

Na moment zajaśniała mu w głowie iskierka nadziei, ale szybko zgasła. Belgijski baron w żaden sposób nie chciał się zmaterializować, a w dodatku Anthony uprzytomnił sobie,

że wczesne przymrozki niewiele mają wspólnego z ogórkami, co definitywnie przekreślało sprawę zabawnych uwag szkockiego ogrodnika.

- Och! Do licha! - zaklął pan Eastwood.

Wstał i wziął „Daily Mail”. Niewykluczone, że właśnie wykończono kogoś w sposób na tyle ciekawy, że mógłby stanowić inspirację dla spoconego pisarza. Jednak poranne wiadomości dotyczyły głównie polityki i spraw zagranicznych. Pan Eastwood odrzucił gazetę ze wstrętem.

Następnie, chwyciwszy ze stołu pierwszą z brzegu książkę, zamknął oczy i położył na chybił trafił palec na jednej ze stron. Słowem wskazanym przez los była „owca”. Błyskawicznie, z oślepiającą jasnością, Edward Eastwood zobaczył oczyma duszy całą historię. Śliczna dziewczyna, której kochanek zginął na wojnie, wytracona z równowagi psychicznej, pasie owce w górach Szkocji; następuje mistyczne spotkanie ze zmarłym kochankiem, a w ostatniej sekwencji owce pasą się przy świetle księżyca - jak w filmie nagrodzonym Oscarem - na śniegu leży ciało martwej dziewczyny i widać tylko podwójne ślady stóp...

To była piękna historia. Wzdychając, odrzucił ten pomysł i ze smutkiem pokiwał głową. Nazbyt dobrze wiedział, że jego wydawca nie życzył sobie takich opowieści, jakkolwiek piękne by one były. Pragnął otrzymać powieść (za co zresztą zapłacił słoną zaliczkę) o tajemniczych brunetkach ze sztyletem w sercu oraz niesłusznie podejrzanym młodzieńcu, która powinna się kończyć zaskakującym rozwiązaniem zagadki, polegającym na znalezieniu winnego wśród najmniej podejrzanych osób, pomimo istnienia całkowicie mylnych przesłanek. A więc, w rzeczy samej, chodziło o *Tajemnicę drugiego ogórka*.

„A jednak stawiam dziesięć do jednego - pomyślał Anthony - że zmieni tytuł na *Niebywale odrażające morderstwo*, lub coś w równie okropnym stylu, nie pytając mnie nawet o zdanie! Och, do diabła z tym telefonem!”

Ze złością podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. W ciągu ostatniej godziny telefon dzwonił dwukrotnie; raz była pomyłka, za drugim razem otrzymał zaproszenie na obiad od pewnej damy z towarzystwa, której szczerze nie cierpiał, a która wykazywała niezamordowany upór.

- Halo! - warknął do słuchawki.

W odpowiedzi usłyszał kobiecy głos, miękki i pieszczotliwy głos z odcieniem cudzoziemskiego akcentu.

- Czy to ty, kochanie?

- Eee... nie wiem - powiedział pan Eastwood ostrożnie. - Kto mówi?

- To ja, Carmen. Słuchaj, kochany, ścigają mnie. Jestem w niebezpieczeństwie. Musisz natychmiast przyjść. To sprawa życia i śmierci.

- Przepraszam - powiedział grzecznie pan Eastwood - ale obawiam się, że połączono panią z niewłaściwym numerem...

Przerwała, nim zdążył dokończyć zdanie.

- Madre de Dios! Nadchodzą! Jeśli dowiedzą się, co robię, zabiją mnie. Nie zrób mi zawodu. Przyjdź natychmiast. Zginę, jeśli nie przyjdiesz. 320 Kirk Street. Hasło brzmi: „Ogórek”... Szz...

Usłyszał lekki trzask, gdy odwieszała słuchawkę na widełki.

- Patrzcie, patrzcie - powiedział Anthony Eastwood wielce zaskoczony. - Nie do wiary!

Wziął słóiczek z tytoniem i zaczął bardzo starannie nabijać fajkę.

Przypuszczam, zamyślił się, że był to jakiś bardzo dziwny refleks mej podświadomości. Nie mogła przecież powiedzieć „ogórek”. Cała sprawa wygląda niezwykle. Czy ona naprawdę powiedziała „ogórek”?

Niezdecydowany, przechadzał się tam i z powrotem po pokoju.

320 Kirk Street. O co tu chodzi? Dziewczyna spodziewa się, że przyjdzie ktoś inny. Szkoda, że jej tego nie wyjaśniłem. 320 Kirk Street. Hasło „ogórek”... och, niemożliwe, absurdalne, przywidzenie zmęczonego umysłu.

Wrogim spojrzeniem obrzucił maszynę do pisania. - No i jaki z ciebie pożytek, co? Gapilem się na ciebie przez cały poranek i co mi z tego przyszło?

Pisarz powinien czerpać intrygi z życia. Z życia, rozumiesz? Właśnie dlatego wychodzę!

Bez namysłu założył kapelusz, objął czułym spojrzeniem swą bezcenną kolekcję starych emalii i wyszedł z mieszkania.

Kirk Street, jak większość londyńczyków wie, jest długą, chaotycznie zabudowaną ulicą, przy której mieszczą się głównie sklepy antykwaryczne, gdzie sprzedaje się podrabiane przedmioty rozmaitego autoramentu po zupełnie fantastycznych cenach. Są tu sklepy ze starym mosiądzem i szkłem, jak również podupadające sklepiki, które oferują towar z drugiej ręki.

Pod numerem trzysta dwudziestym znajdował się sklep ze starym szkłem. Pełno tu było różnych szklanych naczyń. Anthony, idąc środkowym pasażem, musiał poruszać się z

niezwykłą ostrożnością, mając po obu stronach kieliszki do wina i kandelabry, nad głową zaś kołyszące się połyskliwie żyrandole. W głębi sklepu siedziała stara kobieta. Miała wąsik, którego mogłoby jej pozazdrościć wielu nastolatków, i wojowniczy wygląd.

Spojrzała na Anthony'ego i odezwała się zaczepnym tonem:

- Słucham?

Anthony należał do młodych ludzi, których łatwo było wprowadzić w zakłopotanie. Od razu więc zapytał o cenę kieliszków do białego wina.

- Czterdzieści pięć szylingów za pół tuzina.

- Ach, tak - odparł Anthony. - Dość ładne, prawda? A ile kosztują te?

- Bardzo piękne, stary Waterford. Oddam panu parę za osiemnaście gwinei.

Pan Eastwood czuł, że wpadł w kłopoty. Za chwilę będzie zmuszony coś kupić, zahipnotyzowany groźnym spojrzeniem starej kobiety. A jednak nie potrafił się przemóc i po prostu wyjść ze sklepu.

- Jaka jest cena tego żyrandola? - zapytał.

- Trzydzieści pięć gwinei.

- Och! - westchnął z zalem pan Eastwood. - To przerasta moje możliwości.

- Czego właściwie pan szuka? - spytała stara kobieta. - Prezentu ślubnego?

- Tak - skwapliwie podchwycił Anthony. - Ale im bardzo trudno dogodzić.

- Aha - mruknęła kobieta, po czym wstała, przybierając zdecydowaną minę. - Ładne stare szkło przyda się każdemu. Mam tu kilka starych karafek, a tu mały komplet do likieru, w sam raz odpowiedni dla panny młodej.

Przez następne dziesięć minut Anthony przechodził katusze. Sprzedawczyni trzymała go mocno w garści. Wszystkie szklane dzieła sztuki, jakie tylko można sobie wyobrazić, zostały ukazane jego oczom. Był w rozpacz.

- Piękny, piękny - pochwalił zdawkowo, odstawiając ozdobny puchar, kolejną rzecz, na której zmuszony był zatrzymać wzrok, po czym zagadnął pospiesznie: - Czy jest tutaj telefon?

- Nie ma. Można zadzwonić z poczty, z naprzeciwka. A więc, na co pan się decyduje? Puchar czy te piękne stare szklance?

Subtelna kobieca umiejętność opuszczenia sklepu bez dokonania jakiegokolwiek zakupu była Anthony'emu zupełnie obca.

- Wolę ten komplet do likieru - powiedział z rezygnacją.

Zestaw do likieru wyglądał najmniej okazale. Przeraziła go myśl, że wylądaje z żyrandolem.

Z sercem pełnym goryczy zapłacił. Kiedy stara kobieta zajmowała się pakowaniem, zebrał się wreszcie na odwagę. Co najwyżej sprzedawczyni uzna go za dziwaka. A właściwie, jakie to ma znaczenie, co ona sobie pomyśli?

- Ogórek - powiedział wyraźnie i dobitnie. Starucha raptownie przerwała pakowanie.

- Coś pan powiedział?

- Nic - rzucił pośpiesznie.

- Och, myślałam, że pan powiedział „ogórek”.

- To prawda. - Podjął wyzwanie.

- No tak - westchnęła stara kobieta. - Dlaczego nie powiedział pan tego od razu? Tracę tylko czas. Tymi drzwiami na górę. Czeka na pana.

Jak we śnie Anthony przeszedł wskazane drzwi i wspiał się po wyjątkowo obskurnych schodkach. Na górze zastał uchylone drzwi. Przez szparę widać było wewnątrz niewielkiego salonu.

Na krześle, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach i z wyrazem gorączkowego wyczekiwania na twarzy, siedziała dziewczyna.

Co za dziewczyna! Jej cera miała odcień bladej kości słoniowej, kolor, który Anthony tak często opisywał. A jej oczy! Co za oczy! Nie wyglądała na Angielkę. Było w niej coś oryginalnego i egzotycznego, widocznego nawet w wyszukanej prostocie jej sukni.

Przystanął w drzwiach, trochę speszony. Nadeszła chyba pora na wyjaśnienia. Dziewczyna jednak poderwała się z miejsca i z okrzykiem radości na ustach rzuciła mu się w ramiona.

- Przyszedłeś - zawołała. - Przyszedłeś! Niech będzie pochwalona Madonna i wszyscy święci.

Anthony, który nie należał do ludzi marnujących dobre okazje, gorąco odpowiedział na jej uścisk. Dziewczyna po chwili odsunęła się i spojrzała mu w twarz z pełną wdzięku nieśmiałością.

- Nigdy bym cię nie poznała - zauważyła. - Doprawdy, nigdy w życiu.

- Doprawdy? - zapytał Anthony niepewnie.

- Nawet twoje oczy wydają się inne. I jesteś dziesięć razy przystojniejszy, niż myślałam.

- Tak uważasz?

„Zachowaj spokój, chłopie - powtarzał sobie w myślach. - Sytuacja rozwija się całkiem przyjemnie, ale nie trać głowy.”

- Czy mogę cię jeszcze raz pocałować?

- Oczywiście - zgodził się Anthony ze szczerą chęcią. - Tyle razy, ile tylko zechcesz.

Nastąpiło słodkie interludium.

„Zastanawiam się, kim u diabła jestem? - pomyślał Anthony. - Mam nadzieję, że ten prawdziwy facet się nie zjawi. Jakież z niej słodkie stworzenie!”

Nagle dziewczyna odsunęła się od niego, a w jej oczach pojawił się przeblysł strachu.

- Nikt cię nie śledził?

- Na Boga, nie!

- Ach, oni są bardzo sprytni. Nie znasz ich tak dobrze jak ja. Boris udaje przyjaciela.

- Załatwię się z Borisem.

- Jesteś lwem... tak, prawdziwym lwem. A oni to sfera psów, wszyscy. Posłuchaj, ja to mam! Gdyby wiedzieli, zabiliby mnie. Bałam się... Nie wiedziałam, co robić, i wtedy pomyślałam o tobie... Pst, co to było?

Ze sklepu na dole dobiegł jakiś hałas. Dała znak ręką Anthony'emu, aby pozostał na miejscu, i wyszła na schody. Wróciła z pobladłą twarzą i przerażeniem w oczach.

- Madre de Dios! To policja. Idą tu. Masz nóż? Rewolwer?

- Moja droga, czy naprawdę oczekujesz, że zabiję policjanta?

- Och, jesteś szalony... szalony! Zabiorą cię i powieszą na stryczku.

- Co takiego zrobią? - zainteresował się pan Eastwood, czując na plecach nieprzyjemne ciarki. Na schodach zabrzmiały kroki.

- Nadchodzą - szepnęła dziewczyna. - Zaprzecz wszystkiemu. To jedyna nadzieja.

- To nie będzie trudne - powiedział półgłosem.

Po chwili do pokoju weszli dwaj mężczyźni. Mieli na sobie cywilne ubrania, ale ich urzędowa postawa świadczyła o długoletnim stażu. Odezwał się niższy z nich, ciemnowłosy mężczyzna o spokojnych, szarych oczach.

- Aresztuję pana, Konradzie Fleckman - powiedział - za zamordowanie Anny Rosenburg. Wszystko, co pan teraz powie, może zostać użyte jako dowód przeciwko panu. Oto nakaz sądowy. Dobrze pan zrobi, jeżeli spokojnie uda się z nami.

Z ust dziewczyny wyrwał się tłumiony krzyk. Anthony wystąpił krok do przodu, przybierając układny uśmiech.

- Myli się pan panie oficerze - odezwał się sympatycznym tonem. - Nazywam się Anthony Eastwood.

Nie wyglądało na to, aby detektywów poruszyło jego oświadczenie.

- Przekonamy się o tym później - powiedział ten, który do tej pory milczał. - A tymczasem pójdzie pan z nami.

- Konradzie - jęknęła dziewczyna. - Konradzie, nie pozwól, aby cię zabrali!

Anthony popatrzył na detektywów.

- Jestem przekonany, że panowie pozwolą mi pożegnać tę młodą damę?

Mężczyźni wykazali większą, niż oczekiwał, kulturę i odwrócili się w stronę drzwi. Anthony zaciągnął dziewczynę do kąta przy oknie i zaczął szybko mówić ściszym głosem:

- Słuchaj, to, co przed chwilą powiedziałem, jest prawdą. Nie nazywam się Konrad Fleckman. Dziś rano, kiedy do mnie zadzwoniłaś, musieli cię źle połączyć. Nazywam się Anthony Eastwood. Przybyłem na twoje wezwanie, ponieważ... Och, po prostu przybyłem.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Nie jesteś Konradem Fleckmanem?

- Nie.

- Och! - zawołała z rozpaczą. - A ja cię pocałowałam!

- Nic się nie stało - zapewnił ją pan Eastwood. - Już pierwsi chrześcijanie praktykowali te rzeczy, co im się zresztą chwali. A teraz posłuchaj, pójdę z tymi ludźmi. Niebawem udowodnię swoją tożsamość. Tymczasem nie będą cię niepokoić i możesz ostrzec tego swojego drogiego Konrada. A potem...

- Tak?

- Och, tylko to. 1743 Northwestern to mój numer telefonu. I uważaj, żebyś się nie pomyliła.

Obdarzyła go czarującym spojrzeniem, uśmiechając się przez łzy.

- Nie zapomnę... Naprawdę nie zapomnę.

- A więc wszystko w porządku. Do widzenia. Posłuchaj...

- Tak?

- Wracając do pierwszych chrześcijan... Jeszcze jeden raz nie robi różnicy, nieprawdaż?

Objęła go za szyję. Jej wargi lekko dotknęły jego ust.

- Lubię cię. Zapamiętaj, że cię lubię, cokolwiek by się wydarzyło.

Anthony z ociąganiem uwolnił się z objęć dziewczyny i podszedł do swej eskorty.

- Jestem gotów, panowie. Przypuszczam, że nie macie zamiaru zatrzymywać tej młodej damy.

- Nie - odparł niski mężczyzna uprzejmym tonem. - Pan w zupełności wystarczy.

Przywoici faceci pracują w tym Scotland Yardzie, pomyślał Anthony, schodząc za nimi po wąskich schodach.

Na dole nie było nikogo. Stara kobieta zniknęła bez śladu. Anthony dosłyszał ciężki oddech dobiegający zza drzwi w głębi sklepu i odgadł, że musiała tam stać i uważnie śledzić wypadki.

Kiedy znaleźli się na obskurnej Kirk Street, Anthony wciągnął głęboko powietrze i zwrócił się do niższego mężczyzny:

- A teraz, inspektorze... Przypuszczam, że pan jest inspektorem?

- Owszem. Detektyw inspektor Verrall. A to jest detektyw sierżant Carter.

- W porządku, inspektorze Verrall. Nadeszła pora, aby rozsądnie porozmawiać. Jak również posłuchać. Nie jestem jakimś tam Konradem. Nazywam się Anthony Eastwood i jestem z zawodu pisarzem. Jeśli zechce mi pan towarzyszyć do mojego mieszkania, myślę, że wkrótce przekonam pana o swej tożsamości.

Rozsądny sposób, w jaki Anthony przemówił, wywarł pewne wrażenie na detektywach. Na twarzy Verralla po raz pierwszy pojawił się cień wątpliwości.

Cartera najwyraźniej trudniej było przekonać.

- Możliwe - zadrwił. - Ale proszę pamiętać, że owa młoda dama nazywała pana Konradem.

- Och, to całkiem inna historia. Mogę panom wyznać, że z przyczyn... hmm... osobistych przedstawiłem się tej młodej damie jako człowiek o imieniu Konrad. Sprawa osobista, rozumiecie, panowie.

- Interesująca historia, nieprawdaż? - zauważył Carter. - Pójdzie pan z nami. Zatrzymaj taksówkę, Joe.

Zatrzymali przejeżdżającą taksówkę i wsiedli. Anthony raz jeszcze zwrócił się do Verralla, którego, jak sądził, łatwiej było przekonać:

- Proszę posłuchać, drogi inspektorze, cóż złego się stanie, jeśli udacie się do mojego mieszkania, aby przekonać się, czy mówię prawdę? Jeśli chcecie, możemy zatrzymać taksówkę - to dżentelmeńska propozycja. Wszystko razem nie potrwa dłużej niż pięć minut.

Verrall popatrzył na niego badawczo.

- Zgoda - powiedział nagle. - Może to zabrzmie dziwnie, ale wierzę, że mówi pan prawdę. Nie chcemy zrobić z siebie głupców na posterunku, przyprawiając niewłaściwego człowieka. Jaki jest pański adres?

- Brandenburg Mansons czterdzieści osiem.

Verrall wychylił się i podał adres kierowcy. W milczeniu dojechali do miejsca przeznaczenia. Tam Carter wyskoczył pierwszy, a Verrall ruchem ręki pokazał Anthony'emu, aby szedł za nim.

- Nie chcemy żadnych kłopotów - wyjaśnił wysiadając. - Pójdziemy jak przyjaciele, jakby pan Eastwood przyprawiał znajomych do domu.

Anthony był niezwykle wdzięczny za tę propozycję. Jego pozytywna opinia o Wydziale Kryminalno-Śledczym rosła z każdą chwilą.

Na klatce schodowej mieli szczęście spotkać Rogersa, portiera. Anthony przystanął.

- Ach, dobry wieczór, Rogers - rzucił zdawkowo.

- Dobry wieczór, panie Eastwood - odpowiedział portier z szacunkiem. .

Rogers przywiązał się do Anthony'ego, który był uosobieniem hojności, czego nie można było powiedzieć o wszystkich jego sąsiadach.

Anthony zatrzymał się na dolnym stopniu schodów.

- Aha, Rogers - powiedział obojętnie - jak długo ja tu mieszkam? Właśnie przekomarzam się na ten temat z przyjaciółmi.

- Niech no się zastanowię, proszę pana. To będzie już prawie cztery lata.

- Też tak myślałem.

Anthony spojrzał triumfalnie na detektywów. Carter chrząknął, a Verrall uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, ale nie całkiem - zauważył. - Idziemy na górę?

Anthony otworzył drzwi mieszkania. Z ulgą przypomniał sobie, że jego służący, Seamark, wyszedł. Im mniej świadków katastrofy, tym lepiej.

Maszyna do pisania stała niezmiennie na swoim miejscu. Carter zbliżył się do stołu i przeczytał tytuł widniejący na kartce.

- Tajemnica drugiego ogórka - oznajmił z ponurą miną.

- Moja powieść - wyjaśnił Anthony nonszalanckim łonem.

- Następnym punktem dla pana - powiedział Verrall, kiwając głową. - Nawiasem mówiąc, o czym to jest? Jakaż była tajemnica owego drugiego ogórka?

- Ach, tu mnie pan zażył - odparł Anthony. - Właśnie ten drugi ogórek leży u podstaw wszystkich kłopotów.

Carter przyglądał mu się uważnie, po czym nagle potrząsnął głową i znacząco stuknął się w czoło.

- Biedny zbzikowany facet - oznajmił scenicznym szeptem.

- A więc - ponaglił energicznie pan Eastwood - przystąpmy do rzeczy. Oto listy adresowane do mnie, moja książeczka bankowa i korespondencja z wydawcami. Czego jeszcze chcecie?

Verrall dokładnie przejrzał przedłożone mu papiery.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział z szacunkiem - nie potrzebuję niczego więcej. Przekonał mnie pan. Nie mogę jednak wziąć na siebie odpowiedzialności i pana zwolnić. Widzi pan, chociaż zapewne mieszka pan tu od kilku lat jako pan Eastwood, nie jest wykluczone, że Konrad Fleckman i Anthony Eastwood to ta sama osoba. Muszę dokładnie przeszukać mieszkanie, zdjąć pańskie odciski palców i zadzwonić do centrali.

- To wygląda na wszechstronnie opracowany plan - zauważył Anthony. - Daję panu absolutnie wolną rękę w dotarciu do wszystkich moich grzesznych tajemnic.

Inspektor uśmiechnął się szeroko. Jak na policjanta był wyjątkowo ludzkim człowiekiem.

- Zechce pan zatem udać się z Carterem do tego małego pokoju w głębi mieszkania, a ja tymczasem przystąpię do pracy.

- Dobrze - zgodził się niechętnie Anthony. - Przypuszczam, że nie może być na odwrót?

- To znaczy?

- To znaczy, że pan i ja wraz z dwiema szklaneczkami whisky zasiądziemy w małym pokoju, a nasz przyjaciel sierżant dokona tutaj gruntownej rewizji.

- Jeśli pan tak woli...

- Wolę.

Zostawili więc Cartera, który z metodyczną dokładnością zaczął przeszukiwać biurko. Kiedy wyszli z pokoju, usłyszeli, że sierżant podniósł słuchawkę i łączył się ze Scotland Yardem.

- Nie najgorsza - pochwalił Anthony whisky, sadowiąc się wygodnie i gościnnie zapraszając inspektora Verralla do poczęstunku. - Czy mam wypić pierwszy, aby udowodnić panu, że nie jest zatruta?

Inspektor uśmiechnął się.

- To wbrew przepisom - zauważył. - W naszym zawodzie ma się jednak pewne doświadczenie. Od początku zdawałem sobie sprawę, że popełniliśmy błąd. Ale oczywiście należy przestrzegać obowiązującego regulaminu. Nie można uchronić się przed biurokracją, nieprawdaż?

- Sądzę, że nie - przyznał Anthony z żalem. - Mimo wszystko sierżant nie wydaje się zbyt przyjaźnie usposobiony, czyż nie?

- Och, detektyw sierżant Carter to twarda sztuka. Niełatwo daje się przekonać.

- Zauważyłem - rzekł Anthony. - A przy okazji, inspektorze - dodał - czy nie mógłbym dowiedzieć się czegoś o sobie?

- Mianowicie?

- Przecież doskonale pan wie, że zżera mnie ciekawość. Kim była Anna Rosenberg i dlaczego ją zamordowałem?

- Przeczyta pan o tym jutro w gazetach.

- Jutro mogę być sobą z dziesiątkiem tysięcy wczorajszych lat - zacytował Anthony. - Naprawdę myślę, że mógłby pan zaspokoić moją całkowicie zresztą uzasadnioną ciekawość. Proszę odrzucić urzędową powściągliwość i opowiedzieć mi wszystko.

- To całkiem wbrew przepisom.

- Drogi inspektorze, kiedy stajemy się tak serdecznymi przyjaciółmi?

- A więc, dobrze. Anna Rosenberg była niemiecką Żydówką zamieszkałą w Hampstead. Nie posiadając widocznych źródeł dochodu, z roku na rok stawała się coraz bogatsza.

- To zupełnie odwrotnie niż ja - skomentował Anthony. - Mam widoczne źródła dochodu, a co roku staję się uboższy. Może lepiej bym prosperował mieszkając w Hampstead. Słyszałem, że Hampstead to bardzo inspirujące miejsce.

- W swoim czasie - ciągnął Verrall - zajmowała się sprzedażą używanych rzeczy...

- Wszystko jasne - przerwał Anthony. - Pamiętam, jak po wojnie sprzedawałem swój galowy mundur. Ekspozycja czerwonych spodni i marynarki ze złotymi galonami przesłaniała całe mieszkanie... Gruby facet w kraciastym garniturze przyjechał rolls-royce'em w towarzystwie swego totumfackiego, zaopatrzonego w torbę. Zaproponował mi funta i dziesięć pensów za wszystko. W końcu, gdy dorzuciłem myśliwską kurtkę i lornetkę Zeissa, aby podnieść cenę do dwóch funtów, na dany znak pomagier otworzył torbę i wepchnął rzeczy do środka, a grubas dał mi dziesięć funtów i zażądał reszty.

- Jakieś dziesięć lat temu - podjął inspektor - w Londynie przebywało wielu uchodźców politycznych z Hiszpanii, a wśród nich niejaki don Fernando Ferrarez z młodą żoną i dzieckiem. Byli bardzo biedni, a żona chorowała. Anna Rosenberg odwiedziła ich w miejscu, gdzie zamieszkali, i zapytała, czy nie mają czegoś do sprzedania. Kiedy don Fernando wyszedł, jego żona zdecydowała się sprzedać wspomniały, haftowany hiszpański szal, który dostała w prezencie od męża, zanim jeszcze uciekli z Hiszpanii. Gdy don Fernando wrócił i dowiedział się, że żona sprzedała szal, wpadł w straszliwą furję. Próbował szal odzyskać, ale bez skutku. W końcu udało mu się odnaleźć wspomnianą handlarzkę. Oświadczyła, że odsprzedała szal kobiecie, której nazwiska nie zna. Don Fernando był zrozpaczony. Dwa miesiące później ugodzono go nożem na ulicy i zmarł w wyniku zadanych ran. Od tego czasu Anna Rosenberg sprawiała wrażenie podejrzanie bogatej. W ciągu następnych dziesięciu lat co najmniej osiem razy usiłowano włamać się do jej domu w Hampstead. Czterokrotnie próby te udaremniiono i nic nie zostało skradzione. Łupem jednego z pozostałych włamań był między innymi jakiś haftowany szal.

Inspektor przerwał na chwilę i znowu podjął opowieść ponaglany gestem Anthony'ego.

- Tydzień temu przybyła do Anglii z klasztoru we Francji córka don Fernanda, Carmen Ferrarez. Jej pierwszym posunięciem było odszukanie Anny Rosenberg w Hampstead. Tam, zgodnie z relacją świadków, doszło do gwałtownej kłótni między obiema kobietami. Słowa wypowiedziane przez Carmen, gdy opuszczała dom, usłyszała jedna ze służących. „Ciagle go pani ma - krzyczała.

- Przez wszystkie te lata wzbogaciła się pani na nim - ale oświadczam uroczyście, że w końcu przyniesie on pani nieszczęście. Nie ma pani do niego moralnego prawa i nadzieje dzień, w którym pani pożałuje, że kiedykolwiek widziała „Szal Tysiąca Kwiatów”.

- Trzy dni później - ciągnął inspektor - Carmen Ferrarez tajemniczo zniknęła z hotelu, w którym się zatrzymała. W jej pokoju znaleziono wizytówkę Konrada Fleckmana oraz kartkę od mężczyzny podającego się za handlarza starzyzną z zapytaniem, czy jest skłonna rozstać się z haftowanym szalem, który prawdopodobnie znajduje się w jej posiadaniu. Adres zamieszczony na kartce okazał się fałszywy. Oczywiście, że szal stanowi klucz do całej tajemnicy. Wczoraj rano Konrad Fleckman odwiedził Annę Rosenberg. Rozmawiała z nim ponad godzinę, a gdy wyszedł, była tak wyczerpana i wstrząśnięta, że położyła się do łóżka. Wydała jednak polecenie, żeby wpuszczono pana Fleckmana, kiedykolwiek przyjdzie.

Wieczorem wstała i około dziewiątej wyszła. Na noc nie wróciła. Dziś rano znaleziono ją w domu Konrada Fleckmana z raną kłutą w sercu. Na podłodze obok niej leżał... Jak pan myśli?

- Szal? - wyszeptał Anthony. - Szal Tysiąca Kwiatów!

- Coś o wiele bardziej niesamowitego. Rzecz, która tłumaczy całą tajemniczą sprawę szala i wyjaśnia jego ukrytą wartość... Przepraszam, zastanawiam się czy to nie szef nadchodzi...

Rzeczywiście zabrzmiał dzwonek do drzwi. Anthony z wysiłkiem pohamował swą niecierpliwość i czekał na powrót inspektora. Teraz był już całkiem spokojny o swą sytuację. Gdy tylko wezmą jego odciski palców, zrozumieją swój błąd.

A potem, być może, zadzwoni Carmen...

Szal Tysiąca Kwiatów! Jaka dziwna historia - w sam raz znakomite tło dla niezwykle pięknej, ciemnowłosej dziewczyny.

Carmen Ferrarez...

Obudził się ze snu na jawie. Jak długo nie było inspektora? Wstał i otworzył drzwi. W mieszkaniu było przedziwnie cicho. Czy możliwe, żeby wyszli? Bez słowa pożegnania?

Przeszedł do następnego pokoju. Był pusty. Salon również... Dziwnie pusty! Jakis ogołocony! Wielkie nieba! Jego emalie... srebra!

Obleciał mieszkanie jak oszalały. Wszędzie to samo. Całe ogołocone. Wszystkie wartościowe przedmioty - a Anthony z dużym gustem kolekcjonował drobiazgi - zostały zabrane.

Jęcząc i słaniając się na nogach, chwycił się za głowę i opadł na krzesło. Poderwał go dzwonek do drzwi. Otworzył i stanął twarzą w twarz z Rogersem.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się Rogers - ale ci dżentelmeni przypuszczali, że może pan czegoś potrzebować.

- Dżentelmeni?

- Tych dwóch pańskich przyjaciół. Pomogłem im przy pakowaniu, najlepiej jak umiałem. Na szczęście w piwnicy miałem dwie duże skrzynki. - Zerknął na podłogę. - Staralem się dokładnie pozamiatać słomę...

- Pakowałeś tutaj rzeczy? - jęknął Anthony.

- Tak, proszę pana. Czy to nie było pańskie polecenie? Poprosił mnie o to ten wysoki dżentelmen, a widząc, że rozmawia pan z tym drugim panem w małym pokoju, nie chciałem przeszkadzać.

- Nie rozmawiałem z nim - powiedział Anthony. - To on mówił do mnie. Niech go diabli! Rogers chrząknął.

- Naprawdę ogromnie mi przykro z powodu tej konieczności.

- Konieczności?

- Rozstania się ze swoimi małymi skarbami.

- Co? Och, tak. Ha, ha, ha - roześmiał się niewesoło. - Przypuszczam, że już odjechali. Ci... ci moi przyjaciele?

- O tak, jakiś czas temu. Zapakowałem skrzynki do taksówki i wysoki dżentelmen wszedł jeszcze raz na górę, a potem obydwaj szybko zbiegli i natychmiast odjechali... Przepraszam pana, ale czy coś nie w porządku?

Rogers zapytał nie bez przyczyny. Głęboki jęk, który wydał Anthony, w każdym wzbudziłby podejrzenia.

- Wszystko nie w porządku. Dziękuję ci, Rogers. Dobrze wiem, że nie mogę cię winić. Zostaw mnie teraz samego. Porozmawiam chwilę przez telefon.

Pięć minut później Anthony wylewał swe żale przed inspektorem Drivierem, który siedział naprzeciw niego z notesem w ręku. Niewzruszony człowiek, ten inspektor Driver, i wcale nie wyglądał - zastanawiał się Anthony - jak prawdziwy inspektor! W istocie był bardzo teatralny. Oto kolejny uderzający przykład wyższości Sztuki nad Naturą.

Anthony doszedł do końca swej opowieści. Inspektor zamknął notes.

- No i co? - zapytał Anthony z niepokojem.

- Jasne jak słońce - rzekł inspektor. - To sprawka gangu Pattersona. Ostatnio wykonali dużo sprytniej roboty. Wysoki blondyn, niski szatyn i dziewczyna.

- Dziewczyna?

- Tak. Bardzo ładna brunetka. Zwykle służy za przynętę.

- Hiszpanka?

- Może tak o sobie mówić, ale urodziła się w Hampstead.

- Już raz powiedziałem, że to niezwykle inspirujące miejsce - wymamrotał Anthony.

- Tak, wszystko jasne - powiedział inspektor zbierając się do wyjścia. - Zadzwoiła do pana i opowiedziała bajeczkę, domyślając się, że pan przyjdzie. Potem udała się do starej mateczki Gibson, która chętnie przyjmie zapłatę za skorzystanie z jej pokoju, rozumiejąc, że publiczna randka może być krepująca. Chodzi o kochanków, wie pan - żadne przestępstwo. Pan przyjmuje wszystko za dobrą monetę, a potem przyjeżdżają z panem tutaj i podczas gdy

jeden plecie panu trzy po trzy, drugi wydostaje się z łupem. Na pewno Pattersonowie - to ich ręka.

- A co z moimi rzeczami? - zaniepokoił się Anthony.

- Zrobimy co w naszej mocy. Ale Pattersonowie to cwani oszuści.

- Na to wygląda - przyznał Anthony z goryczą.

Zaledwie inspektor wyszedł, rozległ się dzwonek do drzwi. Anthony otworzył. Stał tam mały chłopiec z paczką w ręku.

- Przesyłka dla pana.

Anthony przyjął paczkę z pewnym zdziwieniem. Nie spodziewał się żadnej przesyłki. Wrócił do salonu i przeciął sznurek.

W środku znajdował się komplet kieliszków do likieru!

- Do diabła! - zaklął Anthony.

Zauważył, że w jeden z kieliszków została włożona maleńka sztuczna róża. Myślami powrócił do pokoiku na górze przy Kirk Street.

- Lubię cię. Zapamiętaj, że cię lubię, cokolwiek by się wydarzyło.

Tak powiedziała. Cokolwiek by się wydarzyło... Czyżby miała na myśli...

Anthony wziął się mocno w karby.

- To bez sensu - skarcił się pod nosem.

Jego oczy spoczęły na maszynie do pisania; zasiadł do niej ze stanowczym wyrazem twarzy.

Tajemnica drugiego ogórka

Znów się rozmarzył. Szal Tysiąca Kwiatów. Co znaleziono na podłodze przy ciele ofiary? Wstrząsająca rzecz, która wyjaśniła całą tajemnicę?

Oczywiście nie znaleziono nic, cała bowiem historia była wyssana z palca. Chodziło o skupienie jego uwagi, a narrator niczym Szeherezada przerwał w najbardziej podniecającym momencie. Ale czyż nie mogła istnieć jakaś wstrząsająca rzecz, która wyjaśniałaby całą tajemnicę? Jeśli się człowiek nad tym głęboko zastanowi... Wyciągnął z maszyny kartkę papieru i założył nową. Wystukał tytuł:

Tajemnica hiszpańskiego szala

Przyglądał mu się przez chwilę w skupieniu.

Potem zaczął szybko pisać...

Złoty róg

George Dundas stał zamyślony w centrum londyńskiego City. Otaczał go ruchomy, falujący tłum ludzi ciężko pracujących na swoje pieniądze oraz takich, którym udało się zbić kapitał. George - pięknie ubrany, w nienagannie zaprasowanych spodniach - nie zwracał na nich uwagi. Zajęty był myślami, co ze sobą począć.

Coś się stało! Między Georgem a jego bogatym wujem (Efraimem Leadbetterem z firmy Leadbetter i Gilling) doszło do tego, co w języku gminu nazywa się „pyskówką”. Gwoli całkowitej dokładności słowa padły wyłącznie ze strony pana Leadbettera. Spłynęły z jego ust potoczystym strumieniem cierpkich wymówek, fakt zaś, że niemal w całości składały się z powtórzeń, nie przejmował go zbytnio. Dosadne stwierdzenie i pozostawienie rzeczy w spokoju nie było dewizą pana Leadbettera.

Temat był jeden - występne szaleństwo i niegodziwość młodego człowieka, który dopuścił się samowoli i wziął wolny dzień w środku tygodnia, nie pytając nawet o zgodę. Pan Leadbetter, kiedy już wypowiedział wszystko, co tylko przychodziło mu do głowy i niektóre uwagi powtórzył dwukrotnie, przerwał, aby zaczerpnąć powietrza i spytał George'a, co to miało oznaczać.

George odparł szczerze, że odczuwał pragnienie wzięcia wolnego dnia. Chodziło po prostu o krótki urlop.

Pan Leadbetter usilnie pragnął wiedzieć, czym wobec tego były sobotnie popołudnia i niedziele, nie wspominając już o niedawno minionych Zielonych Świątkach i nadchodzącym długim weekendzie sierpniowym.

George stwierdził, że nie przepada za sobotnimi popołudniami i niedzielami ani za Zielonymi Świątkami. Chciał mieć wolny zwykły dzień, w którym można znaleźć jakieś miejsce, gdzie jeszcze nie zgromadziło się pół Londynu.

Pan Leadbetter wówczas oznajmił, że zrobił wszystko co w jego mocy dla syna swej zmarłej siostry i nikt nie powie, że nie dał mu szansy. Okazało się to jednak bezużyteczne. A w przyszłości George może mieć pięć powszednich dni z sobotą i niedzielą na dokładkę do swojej wyłącznej dyspozycji.

- Miałeś, chłopcze, złoty róg - powiedział pan Leadbetter w przypiływie poetyckiej fantazji - ale nie potrafiłeś go zatrzymać.

George odrzekł, iż w swoim mniemaniu właśnie to uczynił, a wówczas pan Leadbetter porzucił poezję i rozgniewany kazał mu się wynosić.

Z tej właśnie przyczyny George snuł teraz rozważania. Czy wuj da się ubłagać, czy nie? Czy w głębi ducha żywi do niego jakieś cieplejsze uczucia, czy tylko chłodną niechęć?

Dokładnie w tym momencie jakiś głos - najmniej oczekiwany głos - odezwał się:

- Cześć!

Purpurowy sportowy samochód o niezmiernie długiej masce zatrzymał się przy krawężniku obok George'a. Za kierownicą siedziała owa piękna i popularna dziewczyna z towarzystwa, Mary Montresor (ta, której zdjęcia magazyny ilustrowane zamieszczały przynajmniej cztery razy w miesiącu), i uśmiechała się do George'a w czarujący sposób.

- Nigdy nie spotkałam człowieka, który do tego stopnia upodobiłby się do drogowej wysepki - powiedziała Mary Montresor. - Chciałbyś wsiąść?

- Ponad wszystko na świecie - odparł George bez wahania i usiadł obok niej.

Posuwali się naprzód wolno, ponieważ na jezdni panował spory tłok.

- Jestem zmęczona miastem - wyznała Mary Montresor. - Przyjechałam tylko zobaczyć, jak wygląda i wracam do Londynu.

George nie ośmielił się sprostować jej wiadomości z geografii, przyznał więc tylko, że to znakomity pomysł. Jechali na przemian wolno, to znów, gdy Mary Montresor dojrzała możliwość wyprzedzenia - szaleńczymi susami. George odnosił wrażenie, że cokolwiek optymistycznie mierzyła swe siły, ale doszedł do wniosku, że umiera się tylko raz. Wolał jednak nie nawiązywać rozmowy, aby pozwolić pięknemu kierowcy skoncentrować się na swym zadaniu.

To ona ponownie rozpoczęła konwersację, akurat w momencie gdy w wariackim tempie okrążała Hyde Park Corner.

- Co byś powiedział o poślubieniu mnie? - spytała lekkim tonem.

George'owi zaparło dech, równie dobrze jednak reakcję tę mógł spowodować widok dużego autobusu, który, jak się zdawało, nieuchronnie zwiastował katastrofę. Toteż George wielce był z siebie dumny za udzielenie błyskawicznej riposty.

- Byłbym zachwycony - powiedział swobodnie.

- Dobrze - udzieliła wymijającej odpowiedzi Mary Montresor. - Być może zrobisz to pewnego dnia.

Skęcili na prostą bez wypadku, i w tym momencie George spostrzegł wielkie, nowe afisze przy stacji metra Hyde Park Corner. Wtłoczone między „Niepokojąca sytuacja polityczna” i „Pułkownik na ławie oskarżonych” na jednym z afiszów widniało: „Dziewczyna z towarzystwa poślubia księcia”, na drugim zaś: „Księżę Edgehill i panna Montresor”.

- O co chodzi z tym księciem Edgehill? - spytał George ostro.

- Ja i Bingo? Och, jesteśmy zaręczeni.

- Ale przecież... powiedziałaś przed chwilą...

- Ach, to - rzuciła od niechcenia. - Widzisz, jeszcze się nie zdecydowałam, kogo naprawdę poślubię.

- Dlaczego się z nim zaręczyłaś?

- Tylko po to, aby sprawdzić, czy mogę. Wszystkim się zdawało, że to będzie niezmiernie trudne, a w rzeczywistości nie było ani trochę!

- Pechowo się złożyło dla... Binga - powiedział George, z pewnym zakłopotaniem nazywając prawdziwego księcia tym żartobliwym przezwiskiem.

- Wcale nie - zaprzeczyła Mary Montresor. - To mu dobrze zrobi, jeśli cokolwiek jest w stanie, w co zresztą wątpię.

George dokonał kolejnego odkrycia - znowu dzięki mijanym plakatom.

- Ależ, oczywiście, dzisiaj odbywa się pucharowa gonitwa w Ascot. Czy przypadkiem nie powinnaś tam być?

Mary Montresor westchnęła.

- Potrzebowałam dnia odpoczynku - wyznała ze skruchą.

- Zupełnie tak samo jak ja - ucieszył się George. - Z tego właśnie powodu wuj wyrzucił mnie na bruk.

- Rozumiem, że jeśli się pobierzemy - zauważyła Mary - moje dwadzieścia tysięcy rocznie się przyda?

- Zapewni nam odrobinę domowego luksusu - stwierdził George.

- A'propos domów - powiedziała Mary - pojedziemy teraz na wieś i poszukamy domu, w którym chcielibyśmy zamieszkać.

Plan zdawał się prosty i uroczy. Skręcili na Putney Bridge, dotarli do objazdu w Kingston, i z westchnieniem satysfakcji Mary nacisnęła pedał gazu. Wydostali się na wieś bardzo szybko. Pół godziny później Mary dramatycznym gestem ręki wskazała dom, wydając przy tym okrzyk zachwyty.

Do szczytu wzniesienia przytulony był domek z gatunku tych, które agenci nieruchomości zachwalają (rzadko jednak zgodnie z prawdą) jako „pełne staroświeckiego uroku”. Tym razem jednak opis, odnoszący się do większości domów na wsi, odpowiadał rzeczywistości.

Mary zatrzymała się przed białą bramą.

- Zostawimy samochód, wejdziemy i obejrzymy go. To nasz dom!

- Bez wątpienia to nasz dom - zgodził się George. - Tylko wydaje mi się, że w tej chwili zamieszkują go inni ludzie.

Mary skwitowała wzmiankę o innych ludziach machnięciem ręki. Podeszli krętym podjazdem. Z bliska dom sprawiał jeszcze korzystniejsze wrażenie.

- Zajrzymy do środka przez okna - zdecydowała Mary.

George zawahał się.

- Myślisz, że ci ludzie...

- Nie mam zamiaru zawracać sobie nimi głowy. To jest nasz dom, a oni mieszkają tu tylko przez przypadek. Poza tym jest piękna pogoda i na pewno wyszli. A jeśli ktokolwiek nas złapie, powiem... powiem mu, że myślałam, że to dom pani... pani Pardonstenger i że bardzo mi przykro z powodu pomyłki.

- To powinno wystarczyć - skwitował George.

Zagląдали do środka przez okna. Dom był wspaniale umeblowany. Akurat doszli do gabinetu, kiedy usłyszeli z tyłu chrzęst kroków na żwirowanej alejce. Odwrócili się i stanęli oko w oko z nienagannie prezentującym się lokajem.

- Och! - westchnęła Mary, a po chwili, przybierając swój najbardziej uroczy uśmiech, powiedziała: - Czy pani Pardonstenger jest w domu? Właśnie sprawdzałam, czy nie ma jej w gabinecie.

- Pani Pardonstenger jest w domu - odparł lokaj.

- Proszę pójść ze mną.

Mogli zrobić tylko jedno - pójść za lokajem. George obliczał w myślach, jakie istniały szanse takiego obrotu sprawy i doszedł do wniosku, że przy nazwisku Pardonstenger jedna do dwudziestu tysięcy.

- Zostaw to mnie - szepnęła jego towarzysza. - Wszystko będzie dobrze.

George'owi to oświadczenie było niezwykle na rękę. Uznał, że sytuacja wymaga kobiecej przebiegłości.

Zostali wprowadzeni do salonu. Gdy tylko lokaj wyszedł, drzwi natychmiast otworzyły się ponownie i do pokoju wkroczyła postawna, rumiana kobieta o tlenionych włosach.

Mary Montresor uczyniła krok w jej kierunku, po czym zatrzymała się z wyrazem dobrze udawanego zaskoczenia na twarzy.

- Ależ - krzyknęła - pani nie jest Amy! Co za niezwykła historia!

- Rzeczywiście to niezwykła historia - odezwał się jakiś gburowaty głos.

Potężny mężczyzna, który wszedł za panią Pardonstenger, miał twarz buldoga i wielce złowieszczą minę. George pomyślał, że nigdy nie widział równie odpychającego brutala. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

- Rzeczywiście niezwykła historia - powtórzył szyderczo. - Ale chyba przejrzelśmy waszą grę! - Nagle wyciągnął coś, co przypominało rewolwer niebywałego kalibru. - Ręce do góry! Ręce do góry, mówię. Bella, przeszukaj ich!

George czytając powieści kryminalne, zastanawiał się często, na czym polegało takie przeszukanie. Teraz już wiedział. Bella (alias pani Pardonstenger) upewniła się szybko, że ani on, ani Mary nie ukrywali przy sobie śmiertelnej broni.

- Wydawało się wam, że jesteście bardzo sprytni, co? - szydził mężczyzna. - Przychodźcie tu i udajcie niewiniątka. Tym razem popełniście błąd - poważny błąd. Wątpię, czy wasi przyjaciele i krewni kiedykolwiek was jeszcze zobaczą. A co? Chciałbyś, chciałbyś, nie? - zwrócił się do George'a, gdy ten się poruszył. - Żadnych sztuczek! Zastrzele was w okamgnieniu!

- Uważaj, George - powiedziała Mary drżącym głosem.

- Dobrze - odezwał się spokojnie George - będę ostrożny.

- A teraz, marsz! - nakazał mężczyzna. - Bello, otwórz drzwi. Trzymajcie ręce nad głową, wy dwoje. Pani pierwsza - o tak. Będę szedł za wami. Tędy, przez hol i na górę...

Usłuchali. Cóż innego mogli zrobić? Mary szła po schodach z wysoko uniesionymi rękami. George za nią. Z tyłu zamykał szereg potężny łotr z rewolwerem w ręku.

Mary weszła na górny podest schodów i skręciła za róg. W tej samej chwili George gwałtownym kopnięciem zniemacka wymierzył cios. Mężczyzna trafiony prosto w brzuch zleciał tyłem ze schodów. George odwrócił się, skoczył za nim na dół i klęknął mu na klatce piersiowej. Prawą ręką podniósł rewolwer, który tamten upuścił podczas upadku.

Bella krzyknęła i uciekła przez obite rypsem drzwi. Mary zbiegła ze schodów z twarzą białą jak papier.

- George, chyba go nie zabiłeś? Mężczyzna leżał nieruchomo. George pochylał się nad nim.

- Nie sądzę, żebym go zabił - powiedział skruszony. - Ale dostał za swoje.

- Dzięki Bogu. - Oddychała ciężko.

- Doskonała robota - pochwalił się George. - Sporo można się nauczyć od poczciwego staruszka muła. Mary pociągnęła go za rękę.

- Uciekajmy! - zawołała gorączkowo. - Uciekajmy stąd szybko.

- Przydałoby się coś, żeby tego faceta związać... - zastanawiał się George, pochłonięty swoimi planami.

- Nie mogłabyś znaleźć tu kawałka liny albo sznurka?

- Nie, nie mogłabym - odparła Mary stanowczo.

- Uciekajmy, proszę... Proszę! Jestem taka przerażona.

- Nie musisz się bać - powiedział George, pełen męskiej dumy. - Przecież ja tu jestem.

- George, kochany, proszę... dla mojego dobra. Nie chcę być w to zamieszana. Proszę cię, chodźmy!

Słowa „dla mojego dobra” wypowiedziała tak przejętym głosem, że George zaniechał swych zamiarów i pozwolił wyprowadzić się z domu. W pośpiechu przeszli podjazdem do stojącego samochodu.

- Prowadź ty. Czuję, że nie zdołam - odezwała się Mary słabym głosem.

George przejął władanie nad kierownicą.

- Musimy doprowadzić sprawę do końca - powiedział. - Bóg jeden wie, do jakiego łotrostwa zmierza ten ciemny typ. Jeśli nie chcesz, nie pójdę z tym na policję, tylko zajmę się sprawą na własną rękę. Łatwo znajdę ich ślad.

- Nie, George. Nie chcę, abyś to zrobił.

- Trafiła nam się przygoda pierwsza klasa, a ty chcesz, żebym się wycofał? Nigdy w życiu.

- Nie przypuszczałam, że jesteś taki krwiożerczy - powiedziała Mary płaczliwym tonem. .

- Nie jestem krwiożerczy. To nie ja zacząłem. Co za tupet miał ten gość, żeby grozić nam rewolwerem! A właściwie, u licha, dlaczego rewolwer nie wypalił, kiedy zepchnąłem faceta ze schodów?

Zatrzymał samochód i wyciągnął rewolwer z bocznej kieszeni w drzwiach, gdzie wcześniej go schował. Sprawdziwszy go, gwizdnął przeciągle.

- Nie do wiary! Nie jest nabity. Gdybym to wiedział... Urwał w zamyśleniu. - Mary, to bardzo podejrzana sprawa.

- Wiem. Dlatego błagam cię, zostaw ją w spokoju!

- Nigdy - powiedział George stanowczo.

Mary wydała westchnienie, które rozdzierało serce.

- Widzę, że będę musiała ci powiedzieć. Najgorsze, że nie mam pojęcia, jak na to zareagujesz...

- O czym chcesz mi powiedzieć?

- Widzisz, to jest tak... - Urwała. - Uważam, że w dzisiejszych czasach trzeba być przezorną; dziewczyna powinna więc uczynić wszystko, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, którego spotyka.

- Słucham? - powiedział George całkiem zbity z tropu.

- Przede wszystkim dziewczyna powinna wiedzieć, jak mężczyzna zachowa się w sytuacji krytycznej - czy posiada przytomność umysłu, odwagę i refleks? Brak tych cech na ogół rzuca się w oczy, gdy jest już za późno. Sytuacja krytyczna może przecież nastąpić wiele lat po ślubie... A my, cóż, często wiemy o mężczyźnie jedynie to, jak tańczy i czy potrafi sprawnie złapać taksówkę, gdy pada deszcz.

- Bardzo pożyteczne talenty - zauważył George.

- Tak, ale kobieta pragnie mieć świadomość, że mężczyzna jest prawdziwym mężczyzną.

- Szerokie, bezkresne przestrzenie, gdzie mężczyźni są mężczyznami - zacytował George w roztargnieniu.

- Właśnie. Ale w Anglii nie ma bezkresnych przestrzeni. Musiałam więc stworzyć sztuczną sytuację...

- Czy to znaczy, że...?

- Tak. Tak się składa, że ten dom faktycznie do mnie należy. Nie znaleźliśmy się tam przypadkowo. A mężczyzna - ten mężczyzna, którego omal nie zabiłeś...

- Tak?

- To Rube Wallace, aktor filmowy. Często gra zawodowych bokserów... W rzeczywistości wyjątkowo miły i delikatny człowiek. Zatrudniłam go. Bella jest jego żoną. Dlatego tak bardzo się przeraziłam, że mogłeś go zabić... Oczywiście rewolwer nie był nabit. To rekwizyt. Och, George, bardzo jesteś zły?

- Czy jestem pierwszym mężczyzną, którego... poddawałaś tej próbie?

- Och, nie. Było ich... daj mi się zastanowić... dziewięciu i pół.

- Kto był tą połówką? - zainteresował się George.

- Bingo - powiedziała Mary obojętnie.

- I nie przyszło nikomu do głowy wierzgnąć jak muł?

- Nie. Niektórzy próbowali się stawiać, inni poddali się bez oporu. Ale wszyscy pozwolili zaprowadzić się na górę, związać i zakneblować. Potem, oczywiście, udało mi się wyzwolić z więzów, jak to bywa w książkach, uwolniłam ich również, a stwierdziwszy, że dom jest pusty, uciekliśmy.

- I naprawdę nikt nie pomyślał o sztuczce muła ani niczym podobnym?

- Nie.

- W takim razie - powiedział George łaskawym tonem - wybaczam ci.

- Dziękuję ci, George - powiedziała Mary łagodnie.

- W istocie rzeczy - zauważył George - jedyne pytanie, które się rodzi, brzmi: dokąd jedziemy teraz? Nie jestem pewien czy do Lambeth Palace, czy do Doctor's Commons - O czym ty mówisz?

- O pozwoleniu. Myślę, że na ślub potrzebne jest specjalne pozwolenie. Zbyt lubisz zaręczać się z jednym, a zaraz potem prosić innego mężczyznę, aby cię poślubił.

- Nie prosiłam cię, żebyś mnie poślubił!

- Prosiłaś. Przy Hyde Park Corner. Nie jest to miejsce, które ja bym wybrał na oświadczyzny, ale, cóż, każdy ma swoje upodobania.

- Nie zrobiłam niczego podobnego. Spytałam po prostu żartem, czy miałbyś ochotę mnie poślubić. To nie było powiedziane na poważnie.

- Jestem przekonany, że każdy prawnik uznałby to za prawdziwe oświadczyzny. Poza tym, doskonale wiesz, że chcesz mnie poślubić.

- Nie chcę.

- Po doznaniu dziewięciu i pół porażek? Pomyśl tylko o poczuciu bezpieczeństwa, jakie cię czeka u boku mężczyzny, który potrafi wyciągnąć cię z każdej opresji.

Widać było, że Mary trochę zmiękła pod wpływem tego argumentu. Powiedziała jednak stanowczym tonem:

- Nie poślubię nikogo, zanim przede mną nie uklęknie.

George spojrział na nią. Była cudowna. Ale George, poza umiejętnością wierzgania, posiadał także inną cechę muła. Odezwał się z równą stanowczością:

- Upaść na kolana przed kobietą? To poniżające. Nie zrobię tego.

- Wielka szkoda - stwierdziła Mary z figlarnym uśmiechem.

Wracali do Londynu. George był posepny i milczący. Twarz Mary przesłaniało rondko kapelusza. Kiedy minęli Hyde Park Corner, poprosiła cichutko:

- Czy mógłbyś przede mną uklęknąć?

- Nie - powiedział George zdecydowanym tonem.

Czuł się supermenem. Własne zachowanie wprawiało go w podziw. Niestety, również Mary przejawiała upór godny muła. Nagle zatrzymał samochód.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedział.

Wysiadł z samochodu i pomaszzerował do straganu z owocami, który właśnie minęli. Wrócił szybciej niż policjant, który z bojową miną zmierzał w ich stronę, aby zażądać wyjaśnień.

George ruszył, rzucając jabłko na kolana Mary.

- Jedz więcej owoców - rzekł. - Również symbolicznie.

- Symbolicznie?

- Owszem. Najpierw Ewa dała Adamowi jabłko. Dzisiaj Adam daje jabłko Ewie.

Rozumiesz?

- Tak - odparła Mary z powątpiewaniem.

- Dokąd mam cię zawieźć? - rzucił George krótko.

- Do domu.

Pojechał w kierunku Grosvenor Square. Twarz miał kompletnie nieporuszoną. Wysiadł i obszedł samochód, aby pomóc dziewczynie. Po raz ostatni zwróciła się do niego z błagalną prośbą:

- Kochany George... nie mógłbyś? Po prostu... aby zrobić mi przyjemność?

- Nigdy - powiedział George.

I w tym momencie stało się. Poślizgnął się i, nie mogąc złapać równowagi, upadł. Klęczał przed nią w błocie. Mary pisnęła radośnie i klasnęła w dłonie.

- Kochany George! Teraz cię poślubię. Możesz jechać prosto do Lambeth Palace i załatwić wszystko z arcybiskupem Canterbury.

- Nie miałem zamiaru tego zrobić - zaprzeczył George żywo. - To była cholera... skórka od banana.

- Wzrokiem pełnym wyrzutu przyglądał się przyczynie swego upadku.

- Mniejsza z tym - powiedziała Mary. - Stało się. Kiedy kłóciliśmy się i wmawiałeś mi, że ci się oświadczyłam, odparłam, że musisz uklęknąć przede mną, zanim cię poślubię. A wszystko dzięki tej błogosławionej skórcie banana! Chciałeś powiedzieć... błogosławiona skórka banana, prawda?

- Coś w tym rodzaju - odparł George.

O piątej trzydzięci po południu poinformowano pana Leadbettera, że przyszedł jego siostrzeniec i pragnie się z nim zobaczyć.

„Wrócił, żeby mnie przeprosić”, pomyślał pan Leadbetter. „Chyba potraktowałem go zbyt surowo, ale to wyłącznie dla jego dobra.”

Wydał polecenie, aby wpuszczono George'a.

George wszedł zawadiackim krokiem.

- Muszę zamienić z tobą kilka słów, wuju - zaczął. - Dziś rano zachowałeś się wobec mnie bardzo niesprawiedliwie. Chciałbym wiedzieć, czy w moim wieku, gdy krewni by się ciebie wyrzekli, potrafiłbyś wyjść na ulicę i między godziną jedenastą piętnaście a wpół do szóstej zrobić interes przynoszący dwadzieścia tysięcy funtów rocznie. Bo ja właśnie to zrobiłem!

- Jesteś szalony, chłopcze.

- Nie szalony, tylko zaradny! Zamierzam poślubić młodą, bogatą i piękną dziewczynę z towarzystwa. Taką, która ponadto rzuciła dla mnie księcia.

- Poślubić dziewczynę dla pieniędzy? Nie spodziewałbym się tego po tobie.

- I miałbyś rację. Nigdy nie ośmieliłbym się jej o to poprosić, gdyby ona - szczęśliwym trafem - nie poprosiła mnie sama. Później wycofała się, ale sprawiłem, że zmieniła zdanie. A wiesz wuju, jak to wszystko się stało? Dzięki rozsądnemu ulokowaniu dwóch pensów odzyskałem złoty róg!

- Dlaczego dwóch pensów? - spytał pan Leadbetter zainteresowany finansową stroną zagadnienia.

- Banan ze straganu, ot co! Nie każdy wpadłby na pomysł z bananem. Gdzie załatwia się pozwolenie na ślub? W Doctor's Commons, czy w Lambeth Palace?

Szmaragd radzy

Z wielkim trudem James Bond ponownie skoncentrował uwagę na małej żółtej książce, którą trzymał w ręku. Na jej okładce widniał prosty, ale zachęcający tytuł: Czy chcesz, aby twoja pensja wzrosła o 300 funtów rocznie? Cena książki wynosiła jeden szyling. James właśnie przeczytał dwie strony zwięzłych pouczeń, jak patrzeć szefowi w twarz, jak kształtować dynamiczną osobowość i jak roztaczać wokół siebie atmosferę kompetencji. Teraz doszedł do bardziej subtelного zagadnienia: „Jest pora na szczerłość i pora na dyskrecję - pouczała go żółta książeczka. - Silny mężczyzna nie zawsze ujawnia wszystko, co wie”. James zamknął książkę, uniósł głowę i zapatrzył się w błękitną dal oceanu. Zrodziło się w nim okropne podejrzenie, że nie jest silnym mężczyzną. Silny mężczyzna zapanowałby nad obecną sytuacją, a nie stałby się jej ofiarą. Po raz sześćdziesiąty tego poranka James dokonał przeglądu swych krzywd.

Oto był jego urlop. Jego urlop! Ha, ha, ha! Sardoniczny śmiech. Kto namówił go na przyjazd do tej modnej nadmorskiej miejscowości, Kimpton-on-Sea? Grace. Kto skłonił go do wydatku większego, niż mógł sobie pozwolić? Grace. A on ochoczo poparł ten plan. Ściągnęła go tu - i czym się skończyło? Mieszkał w ponurym pensjonacie położonym jakieś dwa kilometry od morza, Grace zaś zamiast wynająć podobne lokum (nie to samo, rzecz jasna - w środowisku Jamesa reguły przyzwoitości były bardzo surowe), zdradziła go nikczemnie i zatrzymała się ni mniej, ni więcej tylko w hotelu Esplandade nad samym brzegiem morza.

Ponoć miała tam przyjaciół. Przyjaciół! James znów roześmiał się sardonicznie. Myślami powrócił do tych ostatnich trzech lat swoich niespiesznych zalotów do Grace. Była niebotycznie zadowolona, gdy po raz pierwszy zaszczycił ją swą uwagą. Działo się to, jeszcze zanim osiągnęła wyżyny sławy w salonach modniarskich państwa Bartles przy High Street. Z początku to James zadzierał nosa, teraz, niestety, sytuacja się odwróciła. Grace była osobą - jak to się mówi - dobrze zarabiającą. Z tej przyczyny stała się zarozumiała. Tak, właśnie, okropnie zarozumiała. Przyszedł mu na myśl fragment jakiegoś wiersza, coś o „dziękowaniu postem Bogu za miłość porządnego mężczyzny”. Niczego w tym rodzaju nie widziało się w zachowaniu Grace. Dobrze karmiona w hotelu Esplandade, kompletnie ignorowała miłość porządnego mężczyzny. Przyjmowała natomiast umizgi skończonego idioty o nazwisku Claud Sopworth, człowieka, który, zdaniem Jamesa, był całkowicie pozbawiony zasad moralnych.

James wbił obcas w ziemię i z posepną miną wpatrywał się w horyzont. Kimpton-on-Sea. Co go opętało, że przyjechał do takiej miejscowości? To był kurort dla

bogatyh i eleganckich ludzi; posiadał dwa duże hotele i ciągnące się na przestrzeni wielu kilometrów malownicze bungalowy, które należały do popularnych aktorek, zamożnych Żydów i tych członków angielskiej arystokracji, którym udało się bogato ożenić. Czyny za najmniejszy umeblowany bungalow wynosił dwadzieścia pięć gwinei na tydzień. Przerastało wyobraźnię, ile mógł wynosić za duży dom. Jeden z takich pałaców znajdował się bezpośrednio za plecami Jamesa. Należał do zapalonego wędkarza, lorda Edwarda Campiona, i obecnie pełen był znakomitych gości, włącznie z radzą Maraputny, którego bogactwo owiane było legendą. James przeczytał o nim wszystko dziś rano w lokalnym tygodniku; o jego posiadłościach w Indiach, pałacach i wspaniałej kolekcji klejnotów, w której wyróżniał się zwłaszcza sławny szmaragd, jak entuzjastycznie donosiła prasa, wielkości gołębiego jaja. James, wychowany w mieście, miał dość mgliste pojęcie o rozmiarach gołębiego jaja, mimo to informacja wywarła na nim odpowiednie wrażenie.

- Jeśli miałbym taki szmaragd - powiedział James, wpatrując się smutnym wzrokiem w horyzont - dopiero bym pokazał Grace!

Słowa te nie brzmiały zbyt przekonująco, ale już samo wypowiedzenie ich poprawiło Jamesowi nastrój. Usłyszał z tyłu roześmiane i przywołujące go głosy, odwrócił głowę i znalazł się oko w oko z Grace. Była z Klarą Sopworth, Alice Sopworth, Dorothy Sopworth i, niestety, również z Claudem Sopworthem. Dziewczęta trzymały się za ręce i chichotały.

- Rzadko się pokazujesz - zawołała figlarnie Grace.

- Tak - przyznał James.

Czuł, że mógł zdobyć się na lepszą ripostę. Nie sprawia się wrażenia dynamicznej osobowości, posługując się tylko jednym słowem „tak”. Z głęboką niechęcią patrzył na Clauda Sopwortha. Claud Sopworth wystrojony był niczym bohater wodewilu. James z tęsknotą wyczekiwał chwili, gdy biegający po plaży pies położy swe mokre, pobrudzone piaskiem łapy na nieskazitelnie białych flanelowych spodniach Clauda. Sam ubrany był w praktyczne ciemnoszare spodnie, których najlepsze dni należały do przeszłości.

- Czyż powietrze nie jest wspaniałe? - powiedziała Klara, wciągając je z lubością. - Prawda, że niezwykle orzeźwia? - Zachichotała.

- To ozon. Jest rześki jak tonik - zauważyła Alice i również zachichotała.

„Mam ochotę uderzyć o siebie tymi ich pustymi głowami”, pomyślał James. „Jaki sens ma ten bezustanny śmiech? Nie mówią przecież niczego śmiesznego.”

Nieskazitelny Claud odezwał się rozwlekłym głosem:

- Wykapiemy się, czy może jesteście zbyt zmęczone?

Pomysł kąpieli przyjęty został radosnym piskiem. James poszedł wraz z nimi. Dzięki odrobinie sprytu udało mu się przytrzymać Grace trochę z tyłu.

- Posłuchaj - poskarżył się - prawie cię nie widuję.

- Ale teraz jesteśmy przecież razem - odparła Grace.

- I możesz zjeść z nami lunch w hotelu, jeśli...

- O co chodzi? - rzucił James szorstko. - Zapewne nie prezentuję się wystarczająco elegancko?

- Myślę, kochanie, że mógłbyś dołożyć trochę starań - rzekła Grace. - Wszyscy są tu niezwykle eleganccy. Spójrz tylko na Clauda Sapwortha!

- Przyjrzałem mu się - stwierdził James ponuro. - Nigdy dotąd nie spotkałem mężczyzny, który w większym stopniu przypominałby osła.

- Niepotrzebnie krytykujesz moich przyjaciół, James'ie - obruszyła się Grace. - To nie świadczy o dobrym wychowaniu. Claud chodzi ubrany tak jak inni dżentelmeni w hotelu.

- Ach! - zawołał James. - Wiesz, co przeczytałem któregoś dnia w *Wiadomościach Towarzyskich*? Otóż, że książkę... książkę - nie pamiętam który - w każdym razie jeden z książąt uznany został za najgorzej ubranego mężczyznę w Anglii!

- Możliwe - powiedziała Grace. - Ale to był książę.

- I co z tego? - rzucił James. - Może i ja zostanę pewnego dnia księciem? No, może nie księciem, ale przynajmniej lordem.

Poklepał wciśniętą do kieszeni żółtą książeczkę i wyliczył długą listę lordów, którzy rozpoczynali karierę o wiele skromniej niż on. Grace zbyła tę uwagę chichotem.

- Nie bądź głupi, Jamesie - powiedziała. - Już cię widzę w roli księcia Kimpton-on-Sea!

James spojrział na nią z mieszaniną gniewu i rozpacz. Kimpton-on-Sea niewątpliwie uderzyło Grace do głowy.

Plaża w Kimpton to długi, prosty pas piachu. Wzdłuż niej, na przestrzeni około dwóch kilometrów, ciągnie się rząd domków kąpielowych i kabin. Całe towarzystwo zatrzymało się właśnie przed szeregiem sześciu takich domków-przebieralni, na których widniał okazały napis: „Tylko dla gości hotelu Esplanade”.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Grace z ożywieniem. - Obawiam się jednak, Jamesie, że nie możesz nam towarzyszyć. Musisz skorzystać z tych ogólnych namiotów. Spotkamy się w morzu. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia - powiedział James i odszedł we wskazanym kierunku.

Dwanaście podniszczonych namiotów stało sobie jak na paradzie przodem do oceanu. Stary marynarz, który je nadzorował, dzierżył w ręku rolkę błękitnego papieru. Przyjął od Jamesa monetę, wydarł niebieski bilet z rolki, rzucił mu ręcznik i znacząco stuknął go palcem w ramię.

- Ustaw się pan w kolejce - polecił ochrypłym głosem.

I wtedy James zdał sobie sprawę z istnienia konkurencji. Inni ludzie też wpadli na pomysł morskiej kąpeli. Wszystkie namioty były zajęte, a na zewnątrz kłębił się zdeterminowany tłum czekających na swoją kolej. James ustawił się w najkrótszej kolejce i czekał. Poły namiotu rozchyliły się i piękna młoda kobieta, skąpo przyodziana, wyszła jak na scenę. Nałożyła czepek kąpielowy z miną osoby, która ma przed sobą cały długi poranek, podeszła do wody i sennie spoczęła na piasku.

Źle się ustawiłem, pomyślał James i bezzwłocznie przyłączył się do następnej grupy.

Po upływie pięciu minut w namiocie dały się zauważyć oznaki poruszenia. Kilkakrotnie mocno pociągnięto za sznurki, po czym poły namiotu rozchyliły się i wyszła z niego rodzinka: ojciec, matka i czworo dzieci. Zważywszy niewielkie rozmiary namiotu, wyglądało to na magiczną sztuczkę. W tej samej chwili do przodu rzuciły się dwie kobiety. Każda z nich uchwyciła się poły namiotu.

- Przepraszam panią - powiedziała pierwsza młoda kobieta, lekko dysząc.

- To ja przepraszam - odezwała się druga młoda kobieta, patrząc na tamtą znacząco.

- Powinna pani wiedzieć, że byłam tu całe dziesięć minut przed panią - dodała szybko pierwsza z nich.

- Wszyscy mogą potwierdzić, że stoję tu już dobry kwadrans - sprostowała druga młoda kobieta wojowniczym tonem.

- O co chodzi? - wtrącił się stary marynarz.

Obydwie kobiety zaczęły mówić jedna przez drugą. Gdy skończyły, marynarz wskazał kciukiem na jedną z nich i powiedział krótko:

- Teraz pani.

Następnie odszedł, głuchy na protesty. Nie wiedział i wcale go nie obchodziło, która z nich była pierwsza, ale jego decyzja - jak to mówią sportowi dziennikarze - była ostateczna. James, doprowadzony do rozpacz, chwycił marynarza za ramię.

- Niechże pan posłucha!

- O co chodzi?

- Ile czasu upłynie, nim dostanę się do środka? Stary marynarz obrzucił oczekujący tłum beznamiętnym spojrzeniem.

- Może godzinę, może półtorej. Trudno powiedzieć.

W tej chwili James spostrzegł, że Grace i pozostałe dziewczęta beztrąsko biegną po piasku do morza.

Do diabła, zaklął w duchu. Do wszystkich diabłów!

Jeszcze raz zaczepił starego marynarza:

- Nie mógłbym dostać się do innego namiotu? A co z tamtymi domkami? Wszystkie wydają się puste.

- Tamte przebieralnie - odparł marynarz z godnością - są prywatne. - Udzieliwszy tej reprimendy, oddalił się.

Z gorzkim uczuciem zawodu James porzucił kolejkę i, wściekły, pomaszerował wzdłuż plaży. To był koniec! Całkowity i nieodwołalny koniec! Złym okiem spozierał na porządne kabiny kąpielowe, które mijał. W tym momencie niezależny liberał ustępował w nim miejsca wojującemu socjaliście. Dlaczego bogaci mogą mieć własne przebieralnie i zażywać kąpeli, kiedy zechcą, bez czekania w kolejkach? Cały nasz system, pomyślał James z pewnym wahaniem, jest do niczego.

Od strony morza dobiegały go kokietyjne okrzyki chlapiących się dziewczyn. To był głos Grace! A nad jej piskiem górowało bezmyślne „ha, ha, ha” Clauda Sopwortha.

- Do licha - powiedział James, zgrzytając zębami, czego nigdy dotąd nie próbował robić, a jedynie czytywał o tym w powieściach.

Stanął, wściekle kręcąc patykiem, i ostentacyjnie odwrócił się plecami do morza. Zamiast na morze, ze skupioną nienawiścią patrzył na Eagle's Nest*, Buena Vista** i Mon Desir***. Mieszkańcy Kimpton-on-Sea mieli zwyczaj nadawać swym kąpielowym domkom wymyślne nazwy. Nazwę Eagle's Nest uznał za głupkowatą, Buena Vista zaś przerastała jego lingwistyczne talenty. Ale wystarczająco znał francuski, aby zdawać sobie sprawę z trafności trzeciej nazwy.

- Mon Desir - powiedział. - Cholernie trafne określenie!

W tym momencie spostrzegł, że w przeciwieństwie do pozostałych domków kąpielowych, których drzwi były dokładnie zamknięte, drzwi do Mon Desir pozostawiono uchylone. James rozejrzał się bacznie po plaży. W tym miejscu zajmowały ją głównie matki pochłonięte pilnowaniem swych pociech. Była dopiero dziesiąta rano - pora zbyt wczesna, aby arystokracja z Kimpton-on-Sea pojawiła się na plaży.

Niechybnie jedzą teraz w łózkach przepiórki z grzybami, przyniesione na tacy przez upudrowanych lokajów! Nikt z tego towarzystwa nie pokaże się tu przed dwunastą, pomyślał James.

Znowu spojrzął w kierunku morza. Jak przystało na dobrze przeciwiczony lejtmotyw, w powietrzu roznosiły się piskliwe okrzyki Grace. Wtórowało im niezmiennie „ha, ha, ha” Clauda Sapwortha.

- Tak zrobię - zdecydował James, zaciskając zęby.

Pchnął drzwi do Mon Desir i wszedł do środka. Na początku poczuł strach, widząc wiszące na kołkach różne części garderoby, ale szybko się opanował. Wnętrze podzielone było na dwie części. W damskiej, po prawej stronie, na jednym kołku wisiał żółty sweter, podniszczony kapelusz panama i para plażowych sandałów; po lewej stronie zaś, w części męskiej, stare szare flanelowe spodnie, pulower i nieprzemakalny rybacki kaptur. James, aby się rozebrać, przemieścił się pospiesznie do męskiej części. Trzy minuty później był już w morzu. Dysząc i głośno parszkając, wykonywał krótkie i sprężyste ruchy niczym zawodowy pływak; głowa pod wodą, ramiona tnące fale - ten styl.

- Och, jesteś wreszcie! - zawołała Grace. - Bałam się, że oczekiwanie w tym tłumie zajmie ci całą wieczność!

- Doprawdy? - spytał James.

Czule pomyślał o swojej żółtej książeczce. „Silny mężczyzna potrafi w pewnych sytuacjach zachować dyskrecję”. Na chwilę powrócił mu dobry humor. Mógł nawet odezwać się spokojnie, lecz stanowczo do Clauda Sapwortha, który uczył Grace pływać kraulem:

- Nie, nie, przyjacielu, to całkiem nie tak. Sam jej to pokażę.

W głosie Jamesa zabrzmiało tyle pewności siebie, że Claud wycofał się niepyszny. Szkoda tylko, że jego triumf był krótkotrwały. Temperatura angielskich wód nie zachęca amatorów kąpieli do przebywania w niej dłużej. Grace i pozostałe dziewczęta miały już sine brody i szczękały zębami. Całe towarzystwo wybiegło więc z powrotem na brzeg, a James samotnie podążył do Mon Desir. Kiedy dziarsko wycierał się ręcznikiem i wciągał przez głowę koszulę, był z siebie wielce zadowolony. Czuł, że zaprezentował dynamiczną osobowość.

I nagle zamarł w bezruchu z przerażenia. Z zewnątrz dobiegły go dziewczęce głosy, całkiem inne niż głosy Grace i jej przyjaciółek. W chwilę później zrozumiał - nadchodzili prawowici właściciele Mon Desir! Gdyby James był kompletnie ubrany, możliwe, że przyjąłby ich spokojnie i próbował wyjaśnić całą sprawę. W sytuacji, w jakiej się znalazł,

wpadł w panikę. Okna Mon Desir były gwoli skromności przysłonięte zielonymi firankami. James rzucił się więc desperacko do drzwi i kurczowo przytrzymał gałkę. Daremnie ktoś z zewnątrz próbował ją przekręcić.

- No i okazuje się, że zamknięte - powiedział dziewczęcy głos. - A Peg powiedziała, że są otwarte.

- Nie, to Woggle tak mówiła.

- Woggle jest nieznośna - odezwała się druga dziewczyna. - Teraz, jak skończone idiotki, musimy wracać po klucz.

James usłyszał oddalające się kroki. Odetchnął głęboko. W gorączkowym pośpiechu wciągnął na siebie resztę garderoby. Dwie minuty później spacerował nonszalancko po plaży z wyzywającą miną niewiniątka. Po kwadransie przyłączyła się do niego Grace z dziewczętami. Reszta poranka sympatycznie upłynęła na rzucaniu kamykami, pisaniu na piasku i żartobliwym przekomarzaniu się. W końcu Claud zerknął na zegarek.

- Pora na lunch - zauważył. - Wracajmy.

- Jestem okropnie głodna - stwierdziła Alice Sopworth.

Pozostałe dziewczęta przyznały, że również umierają z głodu.

- Jamesie, idziesz z nami? - zapytała Grace.

Niewątpliwie James był przewrażliwiony, poczuł się bowiem dotknięty jej tonem.

- Moje ubranie nie jest dla was wystarczająco szykowne - powiedział z goryczą. - Lepiej będzie, skoro jesteście tak wymagające, jeśli nie pójdę.

Teraz Grace powinna zaprotestować, ale widać powietrze morskie nastroiło ją nieprzychylnie. Powiedziała tylko:

- Bardzo dobrze. Jak sobie życzysz. Zobaczymy się więc po południu. James osłupiał.

- No cóż - westchnął, patrząc za oddalającym się towarzystwem. - Trudno...

W ponurym nastroju pomaszerował do miasta. W Kimpton-on-Sea były dwie jadłodajnie - obie duszne, hałaśliwe i zatłoczone. Powtórzył się przedpołudniowy scenariusz z przebieralniami na plaży. James musiał czekać w kolejce; musiał czekać dłużej niż powinien, bowiem pewna pozbawiona skrupułów matrona, ledwie weszła, ubiegła go w wyścigu o wolne miejsce. W końcu zasiadł przy stoliku. Tuż koło jego lewego ucha trzy niezdobnie podrygujące panienki wyśpiewywały bez ładu i składu melodie z włoskich oper. Na szczęście James nie był muzykalny. Obojętnie, z rękami wsuniętymi głęboko do kieszeni, studiował menu.

„Cokolwiek bym nie zamówił, na pewno to już »skończyło się«, rozmyślał. - Taki mój los.”

Jego prawa ręka, myszkująca bezwiednie po kieszeni, natrafiła nagle na jakiś przedmiot. W dotyku przypominał kamyk - duży, okrągły kamyk.

Po cóż, u diabła, miałbym wkładać kamyk do kieszeni, zastanawiał się James.

Zacisnął na nim palce, kiedy do stolika podeszła kelnerka.

- Smażoną płastugę z frytkami, poproszę - zdecydował się James.

- Skończyła się - mruknęła kelnerka, wbijając znudzony wzrok w sufit.

- W takim razie wołowinę w sosie curry - powiedział James.

- Wołowina też się skończyła.

- Czy jest coś w tym przeklętym jadłospisie, co się jeszcze nie skończyło? - spytał James.

Kelnerka ze zboląłą miną umieściła bladoszary palec wskazujący na ragout baranim. James pogodził się z nieuchronnym i zamówił ragout baranie. Kipiąc jeszcze wściekłością na restauracyjne porządki, wyjął rękę z kieszeni. Otworzył dłoń i z roztargnieniem spojrzął na znajdujący się w niej przedmiot. Doznał takiego wstrząsu, że wszystkie mniej ważne sprawy uleciały mu z głowy. Szeroko otwartymi oczami gapił się na znalezisko. To, co trzymał w ręku, nie wyglądało na kamyk. Był to - prawie nie miał co do tego wątpliwości - szmaragd, ogromny, zielony szmaragd! James zeszywniał z przerażenia. Nie, to nie mógł być szmaragd, to z pewnością było kolorowe szkiełko... Szmaragdy nie osiągają takich rozmiarów, chyba że... Wydrukowane słowa zatańczyły mu przed oczami: „Sławny szmaragd wielkości gołębiego jaja należący do radży Maraputny”. Czyż był... czyż mógł być to szmaragd, który miał właśnie przed oczami?

Kelnerka wróciła z baraniną. James kurczowo zacisnął palce. Gorące i zimne dreszcze przechodziły mu po plecach. Czuł, że stanął przed koszmarnym dylematem. Jeśli był to szmaragd... Ale czy rzeczywiście był? Czy mógł być? Otworzył dłoń i nerwowo zerknął. James nie znał się na drogich kamieniach, ale głębia koloru i blask klejnotu utwierdziły go w przekonaniu, że miał do czynienia z prawdziwym szmaragdem. Oparłszy łokcie o stół, pochylił głowę i błędnym wzrokiem patrzył na ragout wolno stygnące na półmisku. Musiał przemyśleć sprawę. Jak miał postąpić, jeśli był to szmaragd radży? Słowo „policja” przemknęło mu przez myśl. Jeśli znajdzie się wartościowy przedmiot, należy odnieść go na posterunek policji. James został wychowany zgodnie z taką właśnie zasadą.

Tak, ale jak, na Boga, szmaragd znalazł się w kieszeni jego spodni? Niewątpliwie zapytają go o to na policji. Pytanie było krępujące i, co więcej, chwilowo nie miał na nie odpowiedzi. W jaki sposób szmaragd dostał się do jego kieszeni? Spuścił rozpaczliwie wzrok na swoje nogi i w tym momencie wstrząsnęło nim złe przeczucie. Przyjrzał się dokładnie. Para starych szarych flanelowych spodni do złudzenia przypomina inną parę starych szarych flanelowych spodni, mimo to James wyczuł instynktownie, że to nie są jego spodnie. Oparł się o krzesło, oszołomiony tym odkryciem. Teraz już wiedział, co się stało. Kiedy w pośpiechu starał się opuścić domek kąpielowy, założył cudze spodnie. Pamiętał, że powiesił swoje na kołku obok innych starych spodni. Tak, dotąd sprawa była jasna - założył cudze spodnie. Mimo wszystko jednak, co, u licha, robił tam szmaragd wart setki tysięcy funtów? Im więcej o tym myślał, tym bardziej sprawa wydawała się podejrzana. Oczywiście, mógł wyjaśnić policji...

To było żenujące, bez wątpienia zdecydowanie żenujące. Musiałby wspomnieć, że umyślnie wszedł do cudzego domku kąpielowego. Nie było to oczywiście poważne przestępstwo, ale ukazałoby go w złym świetle.

- Czy mam podać panu coś jeszcze?

To była kelnerka. Patrzyła znacząco na nie tknięte ragout baranie. James pospiesznie włożył trochę potrawy na talerz i poprosił o rachunek. Zapłacił i wyszedł. Gdy stał niezdecydowany na ulicy, nagle jego uwagę przykuł afisz umieszczony naprzeciwko. Widniały na nim nagłówki z wydawanej w sąsiednim miasteczku Harchester popołudniowej gazety. Zwięźle powiadamiano o sensacyjnym wydarzeniu. Kradzież szmaragdu należącego do radży.

- O Boże! - szepnął James i oparł się o słup.

Kiedy oprzytomniał, wyciągnął pensa i kupił gazetę. Szybko znalazł to, czego szukał. Nie było dużo sensacyjnych wiadomości z okolicy. Wielkie nagłówki zdobyły pierwszą stronę. Sensacyjna kradzież w domu lorda Edwarda Campiona. Kradzież słynnego, historycznego szmaragdu. Ogromna strata dla radży Maraputny. Okoliczności zdarzenia były proste. Poprzedniego wieczoru lord Edward Campion przyjmował przyjaciół. Radża, chcąc pokazać klejnot jednej z obecnych dam, poszedł po niego i wówczas okazało się, że kamień zniknął. Wezwano policję. Do tej pory nie natrafiono na żaden ślad.

James bezwiednie wypuścił gazetę z rąk. Ciągle nie miał pojęcia, w jaki sposób szmaragd znalazł się w kieszeni starych szarych flanelowych spodni, które wisały sobie spokojnie w domku kąpielowym, ale narastało w nim przeświadczenie, że policja podejrzliwie

odniesie się do jego opowieści. Co, na Boga, miał począć? Stał sobie oto na głównej ulicy Kimpton-on-Sea, a w jego kieszeni spoczywał spokojnie poszukiwany przez siły policyjne całego okręgu skradziony klejnot wart bająnskiej sumy. Miał przed sobą alternatywę: albo pójść prosto na policję i opowiedzieć całą historię (należy jednak zaznaczyć, że James bardzo się tego obawiał), albo pozbyć się w jakiś sposób szmaragdu. Przyszedł mu do głowy pomysł zrobienia zgrabnej paczuszki i przesłania jej radzy. Potrząsnął jednak głową z dezaprobatą. Za dużo naczytał się powieści kryminalnych, aby uczynić podobne głupstwo. Doskonale wiedział, że wytrawny detektyw potrafi zrobić użytek z lupy i innych pomysłowych urządzeń. Każdy szanujący się detektyw, który zajmie się paczką Jamesa, w niespełna pół godziny ustali zawód, wiek, zwyczaje i wygląd nadawcy. A później wystarczy zaledwie kilka godzin, żeby go złapać.

I właśnie wtedy wpadł mu do głowy zadziwiająco prosty pomysł. Była pora lunchu. Na plaży musiało być względnie pusto. Wróci więc do Mon Desir, odwiesi spodnie i odzyska własne. Szybkim krokiem ruszył w kierunku plaży.

Mimo wszystko dręczyło go sumienie. Przecież szmaragd powinien zostać zwrócony radzy. Doszedł do wniosku, że zanim dokona zamiany spodni, może sam podjąć próbę małego śledztwa. Realizując ten pomysł pomaszerował w kierunku starego marynarza, którego słusznie uznał za niewyczerpane źródło wiadomości o Kimpton.

- Przepraszam pana - rzekł James grzecznie - sędzę, że mój przyjaciel, pan Charles Lampton, posiada swój domek kąpielowy. Chyba nazwa się Mon Desir...

Marynarz z fajką w zębach siedział wyprostowany na krześle i patrzył na morze. Przemieścił nieznacznie fajkę i odpowiedział, nie odrywając wzroku od horyzontu:

- Mon Desir należy do jego lordowskiej mości Edwarda Campiona. Każdy o tym wie. Nigdy nie słyszałem o panu Charlesie Lamptonie. Musiał chyba przybyć niedawno.

- Dziękuję - powiedział James i wycofał się.

Ta informacja nim wstrząsnęła. Z pewnością radza nie mógł sam włożyć kamienia do kieszeni i o tym fakcie zapomnieć. James potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nasuwający się wniosek nie zadowalał go, ale stawało się oczywiste, że złodziejem musiał być ktoś z gości zaproszonych na przyjęcie. To przypominało Jamesowi wątki niektórych jego ulubionych powieści.

Trwał jednak w swym zamierzeniu. Wszystko układało się nie najgorzej. Tak jak przypuszczał, plaża była prawie pusta. Co więcej, drzwi do Mon Desir pozostawały

szczęśliwie otwarte. Na wślizgnięcie się do środka wystarczyła chwila. James właśnie zdejmował swe spodnie z kołka, gdy dobiegł go z tyłu czyjś głos. Odwrócił się raptownie.

- Mam cię, ptaszku! - odezwał się nieznajomy.

James gapił się z otwartymi ustami. W drzwiach Mon Desir stał porządnie ubrany mężczyzna około czterdziestki, o ostrej, podobnej do jastrzębia twarzy.

- A więc złapałem cię! - powtórzył nieznajomy.

- Kim... kim pan jest? - wyjąkał James.

- Detektyw inspektor Merrilees z Yardu - przedstawił się mężczyzna szorstkim tonem.

- Zechce mi pan łaskawie zwrócić szmaragd.

- Szma... szmaragd?

James usiłował zyskać na czasie.

- Tak właśnie powiedziałem, nieprawdaż? - zauważył inspektor Merrilees.

Ton jego głosu był oschły i urzędowy. James próbował wziąć się w karby.

- Nie wiem, o czym pan mówi - oświadczył, przybierając minę pełną godności.

- Och, mój chłopcze, myślę, że dobrze wiesz.

- Zaszła pomyłka - powiedział James. - Mogę ją z łatwością wyjaśnić... - Urwał, widząc, na twarzy swego rozmówcy wyraz znudzenia.

- To stara śpiewka - skwitował krótko pracownik Scotland Yardu. - Zapewne znalazłeś go podczas spaceru na plaży, co? Tak się zwykle mówi.

James musiał przyznać w duszy, że to właśnie miał na końcu języka, nadal jednak starał się zyskać na czasie.

- Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? - spytał niepewnie.

Merrilees uchylił nieco kłapę marynarki, aby zaprezentować odznakę. James wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami.

- No i widzisz, w co się wplątałeś - powiedział Merrilees niemal dobrodusznie. - Jesteś nowicjuszem, to widać. Pierwsza robota, co?

James skinął głową.

- Tak myślałem. A teraz, bratku, oddasz mi ten szmaragd, czy mam cię zrewidować?

James odzyskał mowę.

- Nie mam go przy sobie - oświadczył, rozpaczliwie szukając jakiejś wymówki.

- Zostawiłeś w hotelu?

James przytaknął.

- A więc udamy się tam razem - oświadczył detektyw. Wziął Jamesa pod ramię i dodał łagodnie: - Nie mogę dopuścić, żebyś uciekł. Pójdziemy do hotelu i zwrócisz mi kamień.

James odezwał się niepewnym głosem:

- Czy jeśli tak uczynię, puści mnie pan?

Merrilees sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Wiemy, w jaki sposób ten kamień skradziono - wyjaśnił. - Zamieszana jest w to pewna dama. Oczywiście, jeśli idzie o... Cóż, radza pragnie sprawę zatuszować. Już tacy są ci egzotyczni władcy.

James, który niewiele wiedział o egzotycznych władcach, skinął głową z wyrazem zrozumienia na twarzy.

- Oczywiście to będzie wbrew przepisom - wtrącił detektyw - ale może ci to ująć na sucho.

James znowu skinął głową. Przeszli obok hotelu Esplanade i skręcili w stronę miasta. James prowadził, ale detektyw ani na chwilę nie zwolnił mocnego uchwytu wokół jego ramienia.

Nagle James zawahał się i drgnął. Merrilees spojrzał nań ostro, potem zaś uśmiechnął się. Mijali właśnie posterunek policji. James obrzucił to miejsce wzrokiem pełnym bóleści.

- Najpierw dałem ci szansę - zauważył dobrotliwie.

I w tej samej chwili zaczęło się. James wydał z siebie głośny ryk, kurczowo schwycił tamtego za rękę i zaczął wrzeszczeć najgłośniejszym, jak potrafił:

- Na pomoc! Złodziej! Na pomoc! Złodziej!

W niespełną minutę otoczył ich tłum. Merrilees usiłował gwałtownie wyszarpnąć rękę z uścisku Jamesa.

- Oskarżam tego człowieka - krzyczał James. - Oskarżam tego człowieka o kradzież mojego portfela!

- O czym ty mówisz, głupcze? - krzyczał drugi.

Wreszcie posterunkowy przejął sprawę w swoje ręce. Merrilees i James zostali odprowadzeni na posterunek. James cały czas ponawiał swoją skargę.

- Przed chwilą ukradł mi portfel - mówił podniecony. - Ma mój portfel w prawej kieszeni, o tu!

- Ten człowiek jest szalony - oponował drugi.

- Może pan sam, inspektorze, sprawdzić, że mówię prawdę.

Na znak dany przez inspektora, policjant posłusznie wsunął rękę do kieszeni Merrileesa. Wyciągnął rzecz, której widok zaparł mu dech w piersiach ze zdziwienia.

- Mój Boże! - jęknął inspektor wyprowadzony z zawodowej rutyny. - Ależ to z pewnością szmaragd radży.

Merrilees sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonego niż pozostali.

- To potworne - bełkotał - potworne... Ten człowiek musiał wsunąć to do mojej kieszeni, kiedy razem szliśmy. To zaplanowana intryga.

Niewzruszona pewnośc siebie Merrileesa sprawiła, że inspektor zawahał się na moment. Teraz skierował swe podejrzenia na Jamesa. Szepnął coś do policjanta i tamten wyszedł.

- A teraz - powiedział inspektor - poproszę panów kolejno o zeznania.

- Służę panu - odparł James. - Spacerowałem sobie po plaży, gdy nagle ten dżentelmen podszedł do mnie. Twierdził, że się znamy. Nie mogłem go sobie przypomnieć, ale nie chciałem być nieuprzejmy. Szliśmy więc razem. Wzbudził jednak moje podejrzenia. Gdy przechodziliśmy obok posterunku, nagle poczułem jego rękę w swojej kieszeni. Przytrzymałem go i zawołałem o pomoc.

Inspektor przeniósł teraz wzrok na Merrileesa.

- Pana kolej.

Merrilees wyglądał na trochę zmieszanego.

- Ta opowieść jest prawdziwa - powiedział wolno - ale nie całkiem. Nie ja podszedłem bezceremonialnie do tego człowieka, było dokładnie na odwrót. Niewątpliwie chciał pozbyć się szmaragdu i wsunął mi go do kieszeni, kiedy byliśmy zajęci rozmową.

Inspektor przestał pisać.

- Aha - powiedział bezstronnie. - Za chwilę zjawi się tu pewien dżentelmen, który pomoże nam rozwikłać sprawę.

Merrilees zmarszczył brwi.

- Doprawdy nie mogę czekać - wymamrotał, spoglądając na zegarek. - Mam umówione spotkanie. Nie sądzi pan chyba, inspektorze, że ukradłem szmaragd i spacerowałem mając go w kieszeni?

- Zgadzam się, że to mało prawdopodobne - powiedział inspektor. - Musi pan jednak zaczekać pięć albo dziesięć minut, aż wyjaśnimy sprawę do końca. Ach! Jest jego lordowska mość.

Wysoki mężczyzna około czterdziestki wszedł dziarskim krokiem do pokoju. Miał na sobie zniszczone spodnie i sfatygowany sweter.

- A zatem, inspektorze, jak to się stało? - spytał.

- Twierdzicie, że odzyskaliście szmaragd? Wspaniale! Doskonała robota. Kim są ci panowie?

Jego oczy zmierzyły Jamesa i spoczęły na Merrileesie. Niezachwiana pewność siebie tego ostatniego nagle wyparowała.

- Ależ to Jones! - zawołał lord Edward Campion.

- Rozpoznaje pan tego człowieka, lordzie Campion? - spytał inspektor.

- Oczywiście, że poznaję - przyznał lord Campion z poważną miną. - To mój służący. Zatrudniłem go miesiąc temu. Ten funkcjonariusz przysłany z Londynu od razu go podejrzewał, ale wśród jego rzeczy nie było szmaragdu.

- Nosił go w kieszeni marynarki - wyjaśnił inspektor.

- To ten pan sprowadził go do nas. - Wskazał na Jamesa.

- Drogi przyjacielu - powiedział lord Campion.

- A więc cały czas go pan podejrzewał?

- Tak - potwierdził James. - Musiałem wymyślić tę historię o kradzieży portfela, aby doprowadzić go na posterunek.

- Wspaniale, doprawdy wspaniale - pochwalił lord Campion. - Musi pan koniecznie zjeść z nami lunch, oczywiście jeśli jeszcze pan nie jadł. Jest już późno, wiem, dochodzi druga.

- Jeszcze nie jadłem - odparł James - ale...

- Ani słowa, ani słowa - przerwał mu lord Campion.

- Radza z pewnością zechce podziękować panu za odnalezienie klejnotu. A poza tym nie orientuję się jeszcze dobrze w całej tej historii.

Stali już na zewnątrz, na schodach.

- Istotnie - przyznał James. - Sądzę, że powinienem powiedzieć panu całą prawdę.

Kiedy to uczynił, lord był niezwykle ubawiony.

- Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - oświadczył. - Teraz już wszystko rozumiem. Jones, jak tylko ukradł szmaragd, musiał popędzić na plażę, przeświadczony, że policja dokładnie przeszuka dom. Czasami zakładam te stare spodnie, gdy idę łowić ryby. Mało prawdopodobne, żeby ktoś je ruszał. Mógł więc odzyskać klejnot w dowolnym czasie. Wyobrażam sobie, jakiego musiał doznać szoku, gdy poszedł tam dzisiaj po niego i okazało

się, że szmaragd zniknął. Gdy pan się tam pojawił, zrozumiał, że to pan zabrał kamień. W dalszym ciągu nie pojmuję jednak, w jaki sposób udało się panu w fałszywym detektywie rozpoznać złodzieja!

„Silny mężczyzna - pomyślał James - wie, kiedy być szczerym, a kiedy zachować dyskrecję.”

Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem, a jego palce, przesuwając się dyskretnie po wewnętrznej stronie klapy marynarki, dotknęły małej srebrnej odznaki mało znanego Klubu Cyklistów w Merton Park. Zadziwiający zbieg okoliczności, ale ten człowiek, Jones, również należał do tego klubu.

- Cześć, Jamesie!

Odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy stała Grace i panny Sopworth.

- Przepraszam pana na chwilę - zwrócił się do lorda Campiona i podszedł do dziewcząt.

- Idziemy do kina - powiedziała Grace. - Może chcesz pójść z nami?

- Przykro mi - odparł James - ale właśnie idę na lunch z lordem Edwardem Campionem. Tak, to ten człowiek w wysłużonym, starym ubraniu. Chce mnie przedstawić radży Maraputny.

Grzecznie uchylił kapelusza i dołączył do lorda Campiona.

Łabędzi śpiew

I

Była jedenasta rano pewnego majowego poranka w Londynie. Pan Cowan wyglądał przez okno, mając za plecami nader wystawny salonik apartamentu w hotelu Ritz. Apartament ów zarezerwowany został dla Pauli Nazorkoff, słynnej gwiazdy operowej, która przybyła właśnie do Londynu. Pan Cowan, jej główny impresario, oczekiwał na spotkanie. Dźwięk otwieranych drzwi sprawił, że odwrócił nagle głowę. Była to jednak tylko panna Read, sekretarka madame Nazorkoff, blada dziewczyna o kompetentnym wyglądzie.

- Och, to ty, moja droga - powiedział pan Cowan. - Madame jeszcze nie wstała?

Panna Read potrząsnęła przecząco głową.

- Kazała mi przyjść koło dziesiątej - wyjaśnił pan Cowan. - Czekam już od godziny.

Nie okazał złości ani zdziwienia. Pan Cowan nawykł do kaprysów właściwych ludziom o artystycznych duszach. Był wysokim, gładko ogolonym mężczyzną nader okazałej postury, ubranym z nieco przesadną dbałością. Miał kruczoczarne lśniące włosy i wyzywająco białe zęby. Gdy mówił, niewyraźnie wymawiał „s”, czego nie można było jeszcze nazwać seplenieniem, ale czymś niebezpiecznie tego bliskim. Bez nadmiaru domyślności rodziło się przypuszczenie, że nazwisko jego ojca musiało prawdopodobnie brzmieć Cohen. W tejże chwili drzwi po drugiej stronie pokoju otworzyły się i wbiegła przez nie wymuskana francuska dziewczyna.

- Czy madame wstaje? - spytał Cowan tonem nadziei. - Przekaż nam nowiny, Elise. Elise wzniosła ręce do nieba.

- Dziś rano w madame jakby sam diabeł wstąpił. W niczym nie można jej dogodzić. Te piękne żółte róże, które przysłał jej pan wczoraj wieczór... Och, twierdzi, że są w sam raz na Nowy Jork, ale że to imbecyle przysyłanie jej żółtych róż w Londynie. W Londynie, mówi, pasują wyłącznie czerwone róże i z miejsca otwiera drzwi i wyrzuca żółte róże na korytarz prosto na pewnego pana, tres comme il faut, wojskowego jak myślę, który nie bez racji poczuł się urażony!

Cowan uniósł brwi, ale nie zareagował. Wyjął z kieszeni mały notes i ołówkiem zapisał w nim słowa „czerwone róże”.

Elise pospiesznie wyszła, a Cowan raz jeszcze odwrócił się do okna. Vera Read usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać korespondencję. Dziesięć minut minęło w milczeniu, aż

wreszcie drzwi do sypialni otworzyły się na oścież i do salonu jak burza wpadła Paula Nazorkoff. Z jej pojawieniem się jakby wszystko zmniejszyło swój wymiar. Vera Read wydawała się jeszcze bardziej bezbarwna, Cowan zaś usunął się niepostrzeżenie na drugi plan.

- Ach, moje dzieci - powiedziała primadonna - czyżbym była spóźniona?

Była wysoką kobietą i jak na śpiewaczkę niezbyt tęgą. Ręce i nogi miała ciągle szczupłe, a jej szyja przypominała piękną kolumnę. Włosy, zwinięte w gruby wałek w połowie karku, były ciemnorude i lśniły jak płomień. Jeśli nawet zawdzięczały ten kolor hennie, rezultat był efektowny. Nie była zbyt młoda, miała co najmniej czterdziestkę, ale rysy jej twarzy zachowały urok, choć wokół czarnych, błyszczących oczu rysowały się już zmarszczki. Miała śmiech dziecka, żołądek strusia, usposobienie diabła i była uznana za największy sopran swych czasów. Zwróciła się bezpośrednio do Cowana:

- Czy zrobiłeś to, o co cię prosiłam? Czy zabrałeś to obrzydliwe angielskie pianino i wrzuciłeś je do Tamizy?

- Sprowadziłem ci inne - powiedział Cowan, wykonując ruch ręką w stronę kąta, gdzie stał instrument.

Nazorkoff popędziła ku niemu i uniosła wieko.

- Erard - powiedziała - to już lepiej. Zaraz sprawdzimy.

Piękny sopranowy głos zabrzmiał w arpeggio, potem dwukrotnie przebiegł przez górne i dolne tony oktawy, następnie podniósł się do wysokiego górnego c, przytrzymał je - siła głosu stopniowo wzrastała - wreszcie znowu opadł i zamarł.

- Ach, jakież mam wspaniały głos - powiedziała z naiwną satysfakcją Paula Nazorkoff.

- Nawet w Londynie brzmi pięknie.

- To prawda - przyznał Cowan ze szczerym podziwem. - Idę o zakład, że Londyn przyjmie cię tak samo entuzjastycznie jak Nowy Jork.

- Tak uważasz? - dopytywała się śpiewaczka. Na jej ustach igrał nieuchwytny uśmiešek świadczący, że uznawała to pytanie za retoryczne.

- Z pewnością - powiedział Cowan.

Paula Nazorkoff opuściła klawisz pianina i podeszła do stołu wolnym, kołyszącym krokiem, który tak efektownie prezentował się na scenie.

- Przejdźmy zatem do interesów - rzekła. - Masz wszystkie kontrakty, mój drogi?

Cowan wyjął papiery z teczki leżącej na krześle.

- Niewiele się zmieniło - zauważył. - Zaśpiewasz pięć razy w Covent Garden. Trzy razy Toskę, dwa razy Aidę.

- Aida - westchnęła primadonna - zanudzi mnie śmiertelnie. Tosca to zupełnie co innego.

- Wiem - przyznał Cowan. - Tosca to twoja rola. Nazorkoff wyprostowała się dumnie.

- Jestem najwspanialszą Toską na świecie - wyznała szczerze.

- To prawda - zgodził się Cowan. - Nikt ci nie dorównuje.

- Przypuszczam, że partie Scarpiei zaśpiewa Roscari?

Cowan przytaknął.

- I Emile Lippi.

- Co?! - krzyknęła Nazorkoff. - Lippi? Ta szkaradna mała żaba - rech-rech-rech... Nie będę z nim śpiewać. Pogryzę go, podrapię mu twarz!

- No, no, już dobrze - uspokajał Cowan.

- On nie potrafi śpiewać! Powtarzam ci - to szczekający kundel!

- Dobrze, zobaczymy - powiedział Cowan. Był zbyt mądry, aby przeciwstawiać się kapryśnym śpiewaczkom.

- A partia Cavaradossiego? - dopytywała się Nazorkoff.

- Amerykański tenor, Hensdale. Paula Nazorkoff skinęła głową.

- Miły chłopiec, śpiewa uroczo.

- Sądzę, że raz wystąpi w tej roli Barrére.

- O, to prawdziwy artysta - przyznała primadonna wielkodusznie. - Ale żeby ta rechocząca żaba Lippi śpiewał Scarpie! O nie, nie wystąpię z nim!

- Zostaw to mnie - powiedział Cowan uspokajająco. Chrząknął i wziął do ręki kolejny plik papierów. - Staram się o specjalny koncert w Albert Hall.

Nazorkoff skrzywiła się nieznacznie.

- Wiem, wiem - powiedział Cowan - ale wszyscy tak robią.

- Będę doskonała - oświadczyła Nazorkoff. - Sala będzie wypełniona po brzegi i zarobię mnóstwo pieniędzy. Ecco!

Cowan znów zaszeleścił papierami.

- A oto całkiem odmienna propozycja od lady Rustonbury - powiedział. - Pragnie, żebyś przyjechała do niej i zaśpiewała.

- Rustonbury?

Primadonna ściągnęła brwi, jakby z wysiłkiem starała się sobie coś przypomnieć.

- Niedawno... całkiem niedawno natknęłam się gdzieś na tę nazwę. To jakieś miasteczko lub wieś, czyż nie?

- Owszem. Ładna mała miejscowość w Hertfordshire. Wśród posiadłości lorda Rustonbury, Rustonbury Castle to prawdziwie feudalna rezydencja, z duchami i portretami przodków, tajemnymi przejściami i wspaniałym prywatnym teatrem. Oni opływają w pieniądze i często organizują kameralne przedstawienia. Lady Rustonbury sugeruje, żeby wystawić całą operę, najchętniej *Butterfly*.

- *Butterfly*.

Cowan przytaknął.

- Są gotowi słono zapłacić. Oczywiście, będziemy musieli pogodzić to jakoś z Covent Garden, ale mimo wszystko to ci się opłaci finansowo. Prawdopodobnie przedstawienie zaszczyca członkowie rodziny królewskiej. To będzie znakomita reklama.

Madame uniosła swój nadal piękny podbródek.

- Czyżbym potrzebowała reklamy? - spytała dumnie.

- Dobrego nigdy za wiele - odparł Cowan, nie tracąc kontenansu.

- Rustonbury - szepnęła śpiewaczka - gdzie ja widziałam...

Podniosła się raptownie i podbiegłszy do stołu zaczęła wertować leżący tam magazyn. Nagle zastygła z ręką uniesioną nad jedną ze stron. Czasopismo niepostrzeżenie zsunęło się na podłogę, Paula Nazorkoff zaś wolno wróciła na swoje poprzednie miejsce. Łatwo zmieniała nastroje i teraz sprawiała wrażenie całkiem innej osoby. Zachowywała się powściągliwie, niemal surowo.

- Przygotuj wszystko do występu w Rustonbury. Chciałabym tam zaśpiewać, ale pod jednym warunkiem. To musi być Tosca.

Cowan zrobił niezdecydowaną minę.

- Na prywatnym przedstawieniu to będzie raczej trudne, rozumiesz, dekoracje i cała reszta.

- Albo Tosca, albo nic.

Cowan przyjrzał się jej z uwagą. To, co zobaczył, widać przekonało go, bowiem wstał.

- Zobaczymy, co się da zrobić - powiedział rzeczowym tonem.

Nazorkoff podniosła się również. Zdawało się, że bardziej niż zazwyczaj pragnie wyjaśnić motywy swej decyzji.

- To moja największa rola, Cowan. Potrafię zaśpiewać tę partię tak, jak nie uczyniła tego żadna kobieta.

- Rzeczywiście, wspaniała rola - przyznał Cowan. - Jeritza odniosła w niej niebywały sukces w zeszłym roku.

- Jeritza! - prychnęła śpiewaczka ze wzmagającym się rumieńcem na twarzy i przystąpiła do długiego wywodu, co też sądzi o swej konkurentce.

Cowan, który przywykł do wysłuchiwania opinii śpiewaków o innych artystach, wyłączył swą uwagę, póki nie zakończyła tyrady, potem zaś dodał z uporem:

- Tak czy owak, ona śpiewa *Vissi d'arte* leżąc na brzuchu.

- Czemu by nie? - rzuciła Nazorkoff. - Co temu stoi na przeszkodzie? Zaśpiewam tę arię leżąc na plecach i wymachując nogami w powietrzu!

- Nie sądzę, żeby zyskało to szczególny poklask - stwierdził z niezmaconą powagą. - Niemniej jednak takie rzeczy się podobają.

- Nikt nie potrafi zaśpiewać *Vissi d'arte* tak jak ja - oświadczyła Nazorkoff z niezachwianą pewnością siebie. - Śpiewam tę arię tak, jak niegdyś śpiewałam w klasztornej chorze, nauczona przez dobre siostry - anielskim chłopięcym sopranem pozbawionym wzruszenia i namiętności.

- Wiem - wyznał Cowan. - Słyszałem cię, jesteś cudowna.

- To jest sztuka - powiedziała primadonna - zapłacić cenę, cierpieć, przetrwać i w końcu osiągnąć nie tylko pełnię umiejętności, ale również siłę, aby powrócić - powrócić do samego początku i odzyskać utraconą niewinność dziecięcego serca.

Cowan przyglądał się jej z zaciekawieniem. Patrzyła gdzieś poza niego, dziwnym, nieobecnym wzrokiem, i coś szczególnego w tym jej spojrzeniu sprawiło, że przeszły go dreszcze. Rozchyliła lekko usta i wyszeptała kilka słów do siebie, tak cicho, że ledwie je usłyszał.

- Nareszcie - wymamrotała - nareszcie... po tylu latach.

II

Lady Rustonbury była kobietą ambitną i rozmiłowaną w sztuce. Obie te cechy potrafiła z powodzeniem wykorzystać. Ku swemu wielkiemu szczęściu posiadała męża, który nie troszczył się ani o sztukę, ani o ambicję, dlatego też w żaden sposób jej nie kępował. Hrabia Rustonbury był wielkim, kwadratowym mężczyzną interesującym się wyłącznie końmi i niczym więcej. Uwielbiał żonę, był z niej dumny i cieszył się, że jego wielkie bogactwo umożliwiało jej realizację wszelkich pomysłów. Prywatny teatr na zamku wybudował prawie sto lat temu jego dziadek. Teatr ów stał się ulubioną zabawką lady Rustonbury. Wystawiła już dramat Ibsena, sztukę jakiegoś ultranowoczesnego nurtu traktującą o rozwodach i narkotykach oraz poetycką fantazję osadzoną w kubistycznej scenerii. Zapowiedziane przedstawienie Toski spotkało się z dużym zainteresowaniem. Lady Rustonbury przygotowywała z tej okazji niezwykle wytworne przyjęcie, na które wybierał się każdy, kto liczył się w Londynie.

Madame Nazorkoff ze swą siostrą przybyła tuż przed lunchem. Niedawno odkryty, młody amerykański tenor, Hensdale, miał śpiewać partię Cavaradossiego, słynny zaś włoski baryton, Roscari, partię Scarpia. Koszt przedstawienia był ogromny, ale nikt się tym zbytnio nie przejmował. Paula Nazorkoff była w doskonałym nastroju, urocza, życzliwie usposobiona - światowa dama w najbardziej czarującym wydaniu. Cowan, mile zaskoczony, modlił się, aby ten stan rzeczy trwał wiecznie.

Po lunchu całe towarzystwo udało się do sali teatralnej, aby obejrzeć dekoracje i resztę wyposażenia. Orkiestrą dyrygował Samuel Ridge, jeden z najznamienitszych dyrygentów w Anglii. Wszystko toczyło się bez żadnych komplikacji, a fakt ten - o dziwo - denerwował Cowana. Był przyzwyczajony do nieustannych kłopotów, więc ten niecodzienny spokój niepokoił go.

- Wszystko idzie o wiele za gładko - mruknął do siebie. - Madame zachowuje się jak kot, który napił się śmietanki. To zbyt dobre, aby trwało długo. Coś się musi stać.

Prawdopodobnie w wyniku długoletniego obcowania ze światem operowym pan Cowan rozwinął szósty zmysł, jego przewidywania bowiem rychło się ziściły. Dochodziła siódma, gdy Elise, francuska pokojówka, wparowała do jego pokoju niezmiernie podekscytowana.

- Ach, panie Cowan, proszę szybko przyjść. Błagam, niech pan szybko idzie!

- Ale co się stało? - spytał Cowan z niepokojem. - Madame się o coś złości? Mała awanturka, czy tak?

- Ależ nie, to nie madame, to signor Roscari. On jest chory, umiera!

- Umiera? Och, już idę.

Cowan pospieszył za dziewczyną do sypialni złożonego chorobą Włocha. Mały mężczyzna leżał na łóżku, lub raczej skręcał się spazmatycznie, co mogłoby nawet wzbudzić rozbawienie, gdyby nie świadczyło o prawdziwym cierpieniu. Paula Nazorkoff pochylała się nad nim.

- Ach, jesteś nareszcie - powitała Cowana władcym tonem. - Nasz biedny Roscari okropnie cierpi. Na pewno mu coś zaszkodziło.

- Umieram - jęczał mały mężczyzna. - Strasznie boli! Ooch!

Zwinał się znów w kłębek, przyciskając ręce do brzucha i miotał się po łóżku.

- Trzeba zawołać lekarza - powiedział Cowan. Paula zatrzymała go, gdy zmierzał w stronę drzwi.

- Doktor jest już w drodze. Zrobi wszystko co w jego mocy dla tego cierpiącego biedaka... Ale w żadnym razie Roscari nie będzie w stanie zaśpiewać dziś wieczorem.

- Nigdy już nie zaśpiewam, umieram... - jęczał Włoch.

- Nie, nie umierasz - uspokoiła go Paula. - To tylko niestrawność. Wykluczone jednak, żebyś dzisiaj zaśpiewał.

- Zostałem otruty.

- Tak, to z pewnością ptomaina - powiedziała Paula.

- Zostań z nim, Elise, nim nadejdzie doktor.

Śpiewaczka wyciągnęła Cowana ze sobą z pokoju.

- I co teraz zrobimy? - spytała.

Cowan bezsilnie wrzucił ramionami. Było zbyt późno na sprowadzenie kogoś z Londynu na miejsce Roscariego. Lady Rustonbury, którą dopiero przed chwilą powiadomiono o chorobie gościa, pojawiła się właśnie na korytarzu i prędko do nich podeszła. Na sercu leżał jej przede wszystkim, podobnie jak Pauli, sukces przed-stawienia.

- Żeby tak mieć kogoś pod ręką... - westchnęła primadonna.

- Ach! - Lady Rustonbury wydała gwałtowny okrzyk. - Oczywiście! Breon.

- Breon?

- Tak, Edouard Breon, sławny francuski baryton. Mieszka nie opodal. W ostatnim „Country Homes” zamieszczono zdjęcie jego domu. To odpowiedni człowiek.

- Rozwiązanie spadło nam z nieba! - wykrzyknęła Nazorkoff. - Breon jako Scarpia... Pamiętam go doskonale. Była to jedna z jego najlepszych ról. Ale on chyba zakończył karierę?

- Sprowadzę go - oświadczyła lady Rustonbury.

- Zostawcie to mnie.

Jak przysłało na kobietę zdecydowaną, natychmiast poleciła wyprowadzić z garażu hispano suizę. Dziesięć minut później wparowała do wiejskiej samotni Edouarda Breona. Należała do tego gatunku kobiet, które, jeśli sobie raz coś postanowią, działają z determinacją. Breon z miejsca pojął, że jedynym rozsądnym wyjściem będzie kapitulacja. Będąc człowiekiem bardzo skromnego pochodzenia, tylko dzięki zdobyciu sławy na scenie mógł przestawać na równej stopie z hrabiami i książętami. Fakt ten nadal niezmiernie go cieszył. Od czasu jednak gdy osiadł w staroświeckiej angielskiej posiadłości, poznawał smak gorzkości. Tęsknił za życiem pełnym pochlebstw i aplauzu, lecz angielska prowincja, ku jego głębokiemu rozczerowaniu, nie przyjęła go tak, jak tego oczekiwał. Toteż propozycja lady Rustonbury wreszcie schlebila jego próżności i wprawiła go niemal w zachwyt.

- Zrobię, co tylko potrafię - powiedział z uśmiechem. - Od dłuższego czasu, jak pani wiadomo, nie śpiewam publicznie. Nawet nie biorę uczniów - tylko jednego lub dwóch w drodze wyjątku. Ale skoro... ponieważ signor Roscari jest cierpiący...

- To był straszny cios - powiedziała lady Rustonbury.

- Niewątpliwie, aczkolwiek nie uważam go za artystę z prawdziwego zdarzenia - skomentował Breon.

Następnie wyłożył swój pogląd w całej rozciągłości, z czego, jak się zdawało, wynikał jednej wniosek: od czasu Edouarda Breona nie pojawił się żaden wybitny baryton.

- Toskę zaśpiewa madame Nazorkoff - wtrąciła lady Rustonbury. - Sądzę, że pan ją zna?

- Nigdy jej nie poznałem - powiedział Breon. - Raz w Nowym Jorku słyszałem jej śpiew. Wielka artystka, rozumie sztukę.

Lady Rustonbury poczuła ulgę. Nigdy nie wiadomo z tymi śpiewakami... Tyle w nich było dziwacznych zazdrości i antypatii.

Dziesięć minut później wkroczyła do zamkowego holu, wymachując triumfalnie ręką.

- Mam go! - zawołała ze śmiechem. - Drogi pan Breon okazał doprawdy wielką uprzejmość. Nigdy mu tego nie zapomnę.

Towarzystwo otoczyło wianuszkami Francuza. Słowa wdzięczności i uznania spływały na niego jak balsam. Edouard Breon, mimo iż dobiegał sześćdziesiątki, był nadal bardzo przystojnym mężczyzną, wysokim, ciemnowłosym, o pociągającej osobowości.

- A teraz... - powiedziała lady Rustonbury. - Gdzie jest madame...? Och! Oto i ona.

Paula Nazorkoff nie brała udziału w gremialnym powitaniu Francuza. Siedziała spokojnie w wysokim, dębowym fotelu, ukryta w cieniu kominka. Oczywiście ogień się nie palił, ponieważ wieczór był ciepły. Śpiewaczka leniwie wachlowała się ogromnym wachlarzem z palmowego liścia. Była tak nieobecna duchem i oderwana od reszty, że lady Rustonbury wystraszyła się, czy przypadkiem Paula Nazorkoff nie poczuła się urażona.

- Pan Breon. - Hrabina dokonała prezentacji. - Podobno nigdy dotąd nie poznał pan madame.

Paula Nazorkoff ostatni raz zamasyżuje poruszyła wachlarzem, po czym odłożyła go i wyciągnęła rękę do Francuza. Kiedy ujął ją i skłonił się nisko, z ust artystyki wyrwało się lekkie westchnienie.

- Madame - odezwał się Breon - nigdy nie miałem szczęścia z panią śpiewać. To wina mego wieku! Ale los był dla mnie łaskawy i przybył mi na odsiecz.

Paula roześmiała się z cicha.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Breon. Kiedy byłam biedną, nikomu nie znaną śpiewaczką, wpatrywałam się w pana jak w obraz. Pański Rigoletto - jakież kunszt, co za perfekcja! Nikt nie mógł się z panem równać.

- Niestety! - powiedział Breon z udawanym westchnieniem. - Mój czas przeminął. Scarpia, Rigoletto, Radames, Sharpless - ileż to razy śpiewałem te partie? A teraz? Nigdy więcej!

- Ależ tak, dziś wieczór.

- Słusznie, madame, zapomniałem. Dziś wieczór.

- Śpiewał pan w Tosce z wieloma artystkami - powiedziała Nazorkoff wyniośle - ale nigdy ze mną! Francuz skłonił się nisko.

- Prawdziwy dla mnie honor - rzekł cicho. - To wielka rola, madame.

- Trzeba być nie tylko śpiewaczką, ale i aktorką - wtrąciła lady Rustonbury.

- Właśnie - podchwycił Breon. - Pamiętam, jak w czasach swej młodości, będąc we Włoszech, udałem się pewnego razu do mało znanego mediolańskiego teatru. Bilet kosztował mnie tylko dwa liry, ale usłyszałem śpiew, jakiego nigdy nie słyszałem w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Bardzo młoda dziewczyna śpiewała Toskę - śpiewała jak anioł. Nigdy nie

zapomnę jej głosu w *Vissi d'arte*, jego czystości i niewinności. Brakowało mu tylko dramatycznej siły. Nazorkoff przytaknęła.

- To przychodzi później - dodała cicho.

- To prawda. Ta dziewczyna nazywała się Bianca Capelli. Zainteresowałem się jej karierą. Dzięki mnie miała szansę na wspaniałe kontrakty, ale była głupia, rozpaczliwie głupia. - Wzruszył ramionami.

- Dlaczego była głupia?

Pytanie zadała Blanche Amery, dwudziestoczteroletnia córka lady Rustonbury - smukła dziewczyna o dużych błękitnych oczach.

Francuz natychmiast zwrócił się do niej uprzejmie.

- Niestety, mademoiselle, związała się z pewnym ciemnym typem, przestępcą, członkiem camorry. Został aresztowany i skazany na śmierć; przyszła do mnie z błaganiami, abym próbował ocalić jej kochanka.

Blanche Amery wpatrywała się w niego szeroko Otwartymi oczami.

- I zrobił pan to? - spytała z zapartym tchem.

- Ależ, mademoiselle, coż ja mogłem zrobić? Byłem obcy w tym kraju.

- Może miał pan jednak jakieś wpływy? - zasugerowała Nazorkoff cichym, drżącym głosem.

- Nawet gdybym miał, wątpię, czy powinienem je wykorzystać. Ten człowiek na to nie zasługiwał. Zrobiłem, co mogłem, dla dziewczyny.

Uśmiechnął się lekko, ale młodą Angielkę nagle uderzyło coś dziwnie nieprzyjemnego w tym uśmiechu. Odniosła wrażenie, że słowa te rozmiijają się z jego myślami.

- Zrobił pan, co pan mógł - powiedziała Nazorkoff. - Zachował się pan życzliwie, a ona zapewne była wdzięczna?

Francuz wzruszył ramionami.

- Mężczyzna został stracony - wyjaśnił - a dziewczyna wstąpiła do klasztoru. Eh, voila! Świat stracił śpiewaczkę.

Nazorkoff cicho się roześmiała.

- My, Rosjanki, nie jesteśmy tak stałe w uczuciach - rzuciła lekkim tonem.

Gdy śpiewaczka mówiła. Blanche Amery przypadkowo zerknęła na Cowena i zauważyła jego szybkie zdziwione spojrzenie i na wpół otwarte usta, które zaraz posłusznie zamknął na widok ostrzegawczego wzroku Pauli.

W drzwiach pojawił się lokaj.

- Obiad - zawiadomiła lady Rustonbury, wstając. - Biedacy, współczuję wam - to musi być okropne tak głodzić się przed występem. Ale później czeka nas dobra kolacja.

- Będziemy jej oczekiwać - powiedziała Paula Nazorkoff. Uśmiechnęła się lekko i dodała: - Później!

III

W teatrze pierwszy akt Toski dobiegł właśnie końca. Widzowie poruszyli się i zaczęli cicho wymieniać komentarze. Członkowie rodziny królewskiej, pełni wdzięku i łaskawości, zajmowali trzy obite welwetem fotele w pierwszym rzędzie. Każdy szeptał coś do drugiego; panowało ogólne odczucie, że w pierwszym akcie Nazorkoff nie potwierdziła swej wielkiej klasy. Większość widzów nie zdawała sobie sprawy, że właśnie w ten sposób śpiewaczka pokazała swój kunszt - w pierwszym akcie oszczędzała głos i siły. Uczyniła z Toski niefrasobliwą i figlarną dziewczynę, traktującą miłość jak zabawkę, w kokieteryjny sposób zazdrosną i podniecającą. Breon, choć swe najlepsze lata miał już za sobą, spisał się wspaniale jako cyniczny Scarpia. Zgodnie z własną koncepcją roli, nie uczynił z bohatera lubieżnego starca, lecz przystojnego, niemal dobrotliwego mężczyznę, którego perfidia, zawoalowana zewnętrznymi pozorami, ledwie dawała się zauważyć. W ostatniej scenie, z organami i procesją, gdy Scarpia stoi zatopiony w myślach, rozkoszując się swym planem zdobycia Toski, Breon popisał się nadzwyczajnym kunsztem. Teraz kurtyna podniosła się przed aktem drugim, rozpoczynającym się sceną w apartamentach Scarpia.

Tym razem, kiedy Tosca pojawiła się na scenie, talent Nazorkoff od razu dał się zauważyć. Była tutaj kobietą ogarniętą panicznym strachem, która gra swą rolę z pewnością wyrafinowanej aktorki. Jej swobodne powitanie Scarpia, jej nonszalancja, jej układne uśmiechy! W tej scenie Nazorkoff zagrała oczami; zachowywała się ze śmiertelnym spokojem, pokazała kamienną, uśmiechniętą twarz. Tylko oczy, którymi przesywała Scarpia, zdradzały jej prawdziwe uczucia. Historia potoczyła się dalej; nastąpiła scena tortur, załamanie się Toski, jej nieokiełznana rozpacz, gdy rzuca się do nóg Scarpia, na próżno błagając go o litość. Stary lord Leconmere, koneser muzyki, był poruszony, a siedzący obok niego zagraniczny ambasador wyszeptał:

- Dziś Nazorkoff przechodzi samą siebie. Operowa scena nie zna drugiej takiej artystyki.

Leconmere przytaknął.

Teraz Scarpia postawił już swoje warunki. Przerażona Tosca ucieka od niego do okna. Z oddali słychać werble plutonu egzekucyjnego. Tosca rzuca się wyczerpana na sofę. Scarpia stoi nad nią i opowiada o przygotowaniach do egzekucji. Zapada cisza - z daleka dochodzi tylko odgłos werbli. Nazorkoff leży wyciągnięta na sofie, z głową zwieszoną niemal do podłogi, twarz jej przysłaniają włosy. I nagle, w żywym kontraście z namiętnością i napięciem

ostatnich dwudziestu minut, rozbrzmiewa jej głos, wysoki i czysty, głos - jak to powiedziała Cowanowi - przypominający chłopięcy anielski sopran.

Vissi d'arte, vissi d'arte, no feci mai male and anima viva. Con man furtiva quante miserie conobbi, aiutai.

Był to głos zdziwionego, zagubionego dziecka. Następnie raz jeszcze klęka i błaga, do chwili gdy pojawia się Spoletta. Tosca, wyczerpana, poddaje się i Scarpia wygłasza nieuchronne, dwuznaczne słowa. Spoletta wychodzi. Następuje dramatyczny moment: Tosca chwyta drżącą ręką kielich wina, a widząc leżący na stole nóż, ukrywa go za sobą.

Breon zbliża się ku niej - przystojny, skupiony, płonący namiętnością. Tosca, finalmente mia! Przeszywające pchnięcie nożem i mściwy syk Toski:

- Questo e il bacio di Tosca! Tak całuje Tosca.

Nigdy przedtem Nazorkoff nie wyraziła z takim przekonaniem mściwości Toski. Ostatni, pełen zawziętości szept: Muori dannato, a potem dziwnie spokojny głos wypełnił teatr:

- Or gli perdono! Teraz mu wybaczam!

Przy dźwiękach wyciszonej, pozgonnej melodii, Tosca dopełnia ceremonii - ustawia świece u wezglowia zmarłego, kładzie mu krucyfiks na piersi. Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na drzwi, rytmiczny dźwięk werbli z oddali i kurtyna opada.

Tym razem widownię ogarnął prawdziwy entuzjazm; był on jednakże krótkotrwały. Ktoś wybiegł szybko zza kulis i zwrócił się do lorda Rustonbury, ten zaś powstał i po chwili konsultacji przywołał sir Donalda Calthorpa, sławnego lekarza. Niemal natychmiast wieść rozeszła się po widowni. Coś się stało, wypadek, ktoś został ranny. Przed kurtynę wyszedł jeden ze śpiewaków i wyjaśnił, że panu Breonowi przytrafił się nieszczęśliwy wypadek i przedstawienie trzeba przerwać. Znow rozległy się głośne szepty. Breon został zasztyletowany... Nazorkoff straciła głowę, tak dalece utożsaiała się z rolą, że naprawdę zabiła swego partnera ze sceny... Lord Leconmere, zajęty rozmową z ambasadorem, poczuł nagle czyjąś rękę na swoim ramieniu; odwrócił się i napotkał wzrok Blanche Amery.

- To nie był wypadek - powiedziała dziewczyna. - Jestem przekonana, że to nie był wypadek. Czy słyszał pan tę historię o włoskiej dziewczynie, którą Breon opowiadał tuż przed obiadem? Tą dziewczyną była Paula Nazorkoff. Zaraz potem nadmieniła, że jest Rosjanką. Zobaczyłam zdziwiony wzrok pana Cowana. Przybrała rosyjskie nazwisko, ale on przecież wiedział doskonale, że jest Włoszką.

- Droga Blanche... - wtrącił lord Leconmere.

- Jestem tego pewna, proszę pana. Miała ilustrowany magazyn w swej sypialni, otwarty dokładnie na stronie, gdzie pokazywano wiejską posiadłość pana Breona. Wiedziała o tym, zanim tu przyjechała. Przypuszczam, że temu biednemu Włochowi podała coś specjalnie, aby się rozchorował.

- Ale dlaczego? - zawołał lord Leconmere. - Dlaczego?

- Nie rozumie pan? To przecież powtórzenie historii Toski. Zapragnął jej we Włoszech, ale ona była wierna swemu kochankowi. Chcąc ratować kochanka, zwróciła się do Breona z prośbą, aby go ocalił. Breon udawał, że jest w stanie to uczynić, ale tego nie zrobił. Pozwolił mu umrzeć. I teraz wreszcie wybiła godzina jej zemsty. Czy zauważył pan sposób, w jaki wycedziła: „Ja jestem Toską”? Widziałam twarz Breona, kiedy padły te słowa. Wtedy już wiedział - rozpoznał ją!

W garderobie Paula Nazorkoff siedziała nieruchomo, otulona etolą z gronostajów. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - powiedziała primadonna. Weszła Elise. Pochlipywała.

- Proszę pani, proszę pani, on nie żyje! I...

- Tak?

- Jak mam to pani powiedzieć? Jest tu dwóch panów z policji, chcą z panią rozmawiać. Paula Nazorkoff podniosła się z godnością.

- Schodzę do nich - powiedziała spokojnym głosem. Zdjęła z szyi naszyjnik z pereł i wręczyła młodej Francuzce.

- To dla ciebie, Elise. Jesteś dobrą dziewczyną. Nie będę go już potrzebowała. Rozumiesz, Elise? Nigdy już nie zaśpiewam Toski.

Stała przez chwilę w drzwiach, omiatając spojrzeniem garderobę, jak gdyby podsumowywała minione trzydzieści lat swojej kariery.

Potem cichutko, przez zęby, wyszeptała ostatnie zdanie z innej opery:

- *La commedia e finita!*